



NR 9

SIERPIEŃ 2017

# MOKOPOLITAN

## MISTRZOWIE POLSKIEJ FANTASTYKI

PROZA:

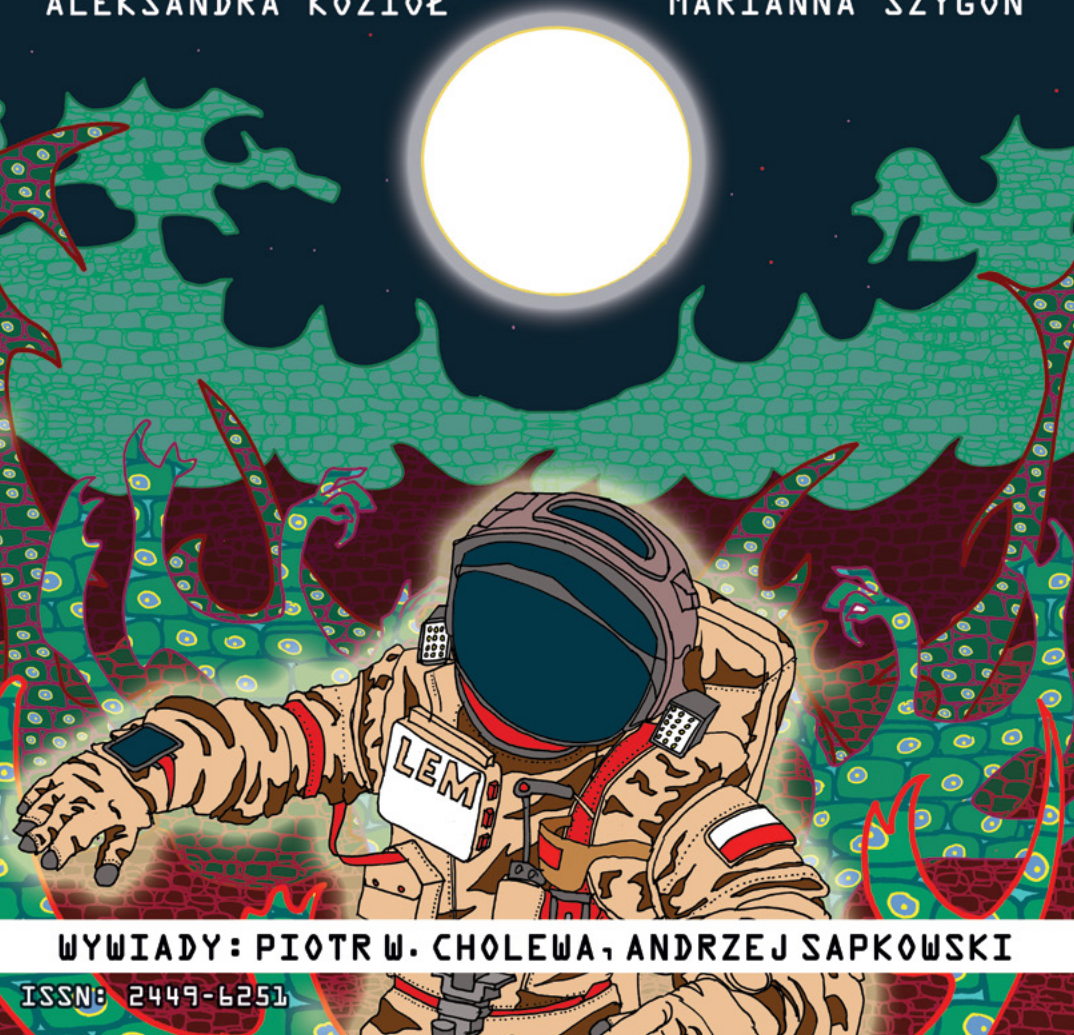
ALIETTE DE BODARD

ALEKSANDRA KOZIÓŁ

PAWEŁ MAJKA

MAGDALENA OGIŃSKA

MARIANNA SZYGOŃ



WYWIADY: PIOTR W. CHOLEWA, ANDRZEJ SAPKOWSKI

ISSN: 2449-6251

# Kalendarium oraz dwa ważne pytania

W ciągu ostatnich miesięcy wydarzyło się kilka ważnych dla „Smoko” rzeczy. W styczniu ogłosiliśmy konkurs na opowiadanie w klimatach słowiańskich. Nadesłaliście nam ponad sześćdziesiąt tekstów. W numerze, który trzymacie w ręku, opublikowaliśmy dwa, które naszym zdaniem były zdecydowanie najlepsze. Pierwsze klimatem przypomina bajki Disneya, tyle że w wersji słowiańskiej, drugie nieco *Amerykańskich bogów*. Ich dodatkowym atutem są piękne ilustracje autorstwa Joanny Kowalskiej i Żanety Kociołek.

W marcu ogłoszono nominacje do nagrody im. J. Zajdla. Teksty ze „Smokopolitana” zdobyły aż dwie. *Lo faresti per me?* Juliusza Brauna to moim zdaniem najlepsze opowiadanie w klimatach realizmu magicznego, jakie opublikowaliśmy na łamach „Smoko”. *Paradoks bliźniąt* Magdaleny Kucenty stanowi z kolei doskonały przykład rozwoju pisarskiego młodego autora. Takie właśnie historie pokazują, że warto było założyć czasopismo publikujące polską fantastykę. Pozostaje zastanowić się jedynie, czy wobec faktu, że nowe ziny i periodyki wyrastają jak grzyby po deszczu, powód pozostaje wciąż aktualny? Czy potrzebujemy nowych magazynów, oraz czy nakład sił i środków na tworzenie kolejnych inicjatyw jest współmierny do efektów? To pierwsze z pytań, nad którym chcielibyśmy się wspólnie z Wami zastanowić.

I tak nadeszło lato. W czerwcu zdobyłam Śląkę w kategorii „Fan roku”. A właściwie

otrzymałm ją My – Redakcja. Śląka to nagroda Śląskiego Klubu Fantastyki, która istnieje od 1983 r. i co istotne, w odróżnieniu od Zajdli i Żuławii przyznawana za inne osiągnięcia niż te na polu literackim. Co w tym ważnego? Wewnątrz redakcji „Smokopolitana” od jakiegoś czasu krąży temat nagród, które byłyby przyznawane publicystom. W końcu – fantastyka nigdy nie była tylko i wyłącznie literaturą, a dobrych publicystów jest chwilowo jak na lekarstwo. Kto wie, może nagroda w tej dziedzinie pozwoliłaby zaktywizować środowisko i docenić tych, którzy potrafią napisać dobry tekst i zorganizować porywającą prelekcję? To drugi temat do dyskusji. Może chcielibyście wziąć w niej udział?

Natomiast na sierpień zorganizowaliśmy aż dwie rzeczy. Po pierwsze, udało się nam zdobyć fundusze na dodruk Eurosmoko, z którym polscy fani pojechali na WordCon w Helsinkach. Po drugie, rzecz oczywista – oto najnowsze „Smoko”. Z okładką Autuna Pursera (zapowiadającą rok Stanisława Lema) i wywiadami z mistrzami polskiej fantastyki.

Pozostaje mi tylko życzyć Wam miłej lektury,

*Elin Kamińska*

\* Jeżeli tak, wypatrujcie 28 sierpnia (czyli tuż po Polconie) ankiety na „fanpage’u Smoko”. Będzie aktywna przez miesiąc. Mamy nadzieję na dyskusję o roli publicystyki i magazynów w polskim fandomie! Zapraszamy!

**REDAKTOR NACZELNY:** Elin Kamińska

elin.kaminska@historiavita.pl

**WYDAWCA:** Fundacja „Historia Vita”

**ADRES REDAKCJI:** os. Akademicka 6/22, 31-866 Kraków,

redakcja@historiavita.pl, www.smokopolitan.pl

**ISSN** 2449-6251

**REDAKCJA TEKSTÓW:** Paweł Majka, Karolina Łukasik, Katarzyna Koćma, Michał Szymański, Magdalena Kucenty, Anna Jakubowska, Elin Kamińska, Piotr Zawada, Anna Grzanek, Magdalena Grajar.

**KOREKTA TEKSTÓW:** Michał Szymański, Katarzyna Koćma, Magdalena Kucenty, Anna Jakubowska, Anna Dudalo, Anna Grzanek, Natalia Tront, Samanta Rakoczy

**PRZEKŁAD OPOWIADANIA:** Piotr Zawada

**SKŁAD I ŁAMANIE TEKSTU:** Olga Furman-Szozotowska

**WYDANIE ELEKTRONICZNE:** Anna Jakubowska

**PROJEKT LOGOTYPU:** Adrianna Depta

**PROJEKT OKŁADKI:** Anna Jakubowska

**RYSunEK NA OKŁADCE:** Autun Purser

www.apillustration.com

**ILUSTRACJE:** Elżbieta Głowacka, Monika Filipiak,

Monika Gluza, Joanna Cyd Petruczenko,

Joanna Kowalska, Żaneta Kociołek

**WSPÓŁPRACA:** Paweł Majka, Klaudia Heinze,

Piotr W. Cholewa, Beata Atlas-Leśniewicz,

Błażej Kardyś, Marcin Klak, Magdalena Stonawska,

Aleksandra Miaskowska, Marta Krajewska,

Martyna Walerowicz, Paweł Walerowicz

**WSPÓŁPRACA MEDIALNA:**

Nie czytasz? Nie idę z Tobą do łóżka



# SMOKOPOLITAN

## ROZMOWA

- 2 Andrzej Sapkowski **Pieniądz gorszy wypiera pieniąż lepszy**



- 6 Piotr W. Cholewa **Jest dobrze**

## TEMAT NUMERU

- 12 Beata Atlas-Leśniewicz **Smutek transhumanisty albo...**  
19 Katarzyna „Ophelia” Koćma **Solaris od innej strony...**  
26 Aleksandra Miaszkowska **Czarna fantastyka czyli robak się lęgnie...**

## OPOWIADANIA

- 31 Magdalena Ogińska **Zagubiona owieczka**



- 40 Aleksandra Kozioł **Czaruś**  
48 Marianna Szygoń **Trojańczycy**  
63 Aliette de Bodard **Wyławianie duchów**

## POWIEŚĆ



- 72 Paweł Majka **Oko Cyklonu**

## FANDOM

- 80 Fyszyscy (Potencjalni) **zajdliści dla „Smoko”, czyli rozmowy...**

## LITERATURA

- 90 Karolina Łukasik **W nowej skórze SF, posthumanizm i pleć...**

## KONWENTY



- 97 Elin Kamińska, Michał Szymański, Martyna Walerowicz **Pyrkon 2017**

## RECENZJA

- 101 Katarzyna „Ophelia” Koćma **Impresja z lektury Zabawy...**  
103 Marcin Kłak **Dobro złem czyż**  
105 Magdalena Kucenty **Nowy grubszy Paweł Majka**



Z Andrzejem Sapkowskim, autorem bodaj najpopularniejszego polskiego cyklu fantasy, przez wielu uznawanym za mistrza gatunku, rozmawia Klaudia Heintze, zasłużona osobistość polskiego fandomu. Wywiad odbył się tuż po ogłoszeniu prac nad serialem *The Witcher*, jednak nie ogranicza się tylko do tego tematu – na początek trochę refleksji na temat dawniejszych czasów i twórczości...

# Pieniądz gorszy wypiera pieniądz lepszy

**Kludia Heintze:** Lata 80. Człowiek sukcesu, handlowiec zawierający duże, międzynarodowe umowy, postanawia napisać opowiadanie fantastyczne. Dlaczego?

**Andrzej Sapkowski:** Aby odpowiedzieć na to pytanie, zacząć trzeba będzie klasycznie, to znaczy od początku. A na początku, zupełnie jak w Piśmie, było słowo. Jakoś kiedyś żał mi się zrobiło, że w języku polskim jest wyłącznie wiedźma, czyli rodzaj żeński. Jeśli jest wiedźma, to powinien, do cholery, być też wiedźmin. Dobra nazwa, pomyślałem sobie. Jeśli kiedyś siądę i napiszę coś fantasy, to wykorzystam. No i proszę, rok nie minął, a mnie wpada w ręce egzemplarz „Fantastyki”, a w owym ogłasza się konkurs na opowiadanie. A ja, tknięty niewytłumaczalnym i do dziś niewyjaśnionym impulsem, postanawiam opowiadanie napisać i na ów konkurs wysłać.

**K.H.:** I powstaje *Wiedźmin*. Pełna akcji, często rubaszna opowieść fantasy – jakże odmienna od wielkiego, mistycznego światotworzenia, stanowiącego dziedzictwo Tolkiena, lecz zarazem, w przeciwieństwie do opowieści nurtu howardowskiego, prezentująca czytelnikowi bohatera wrażliwego i pełnego wątpliwości.

**A.S.:** Kontynuujemy. Postanowiłem napisać na wspomniany konkurs opowiadanie fantasy. Fantasy zaś – w wielkim

uproszczeniu – dzieli się na trzy główne rodzaje. Pierwszy z nich to *The Quest*, czyli Wyprawa. Jakaś drużyna wędruje, by odnaleźć jakiegoś Graala i ocalić świat od Zła i zagłady. Drugi rodzaj zwany bywa *hack and slay*, rąb i zabijaj – są to opowieści, w których wątlutka fabuła wypełnia luki pomiędzy kolejnymi rąbaninami. Trzecim wreszcie rodzajem jest *retelling*, inaczej euhemeryzacja, czyli baśń na nowo opowiedziana, przy czym to „na nowo” oznacza zwykle zaprzeczenie bajkowego stereotypu i totalne przemieszanie bajkowych wartości. I ten trzeci rodzaj najbardziej mi pasował do mojego konkursowego opowiadania. Wziąłem na warsztat bajkę zapamiętaną z dzieciństwa. W jakimś Zasiadmiogórogrodzie sroży się jakiś potwór, król obiecuje nagrodzić śmiałka, który potwora zlikwiduje, wielu bezskutecznie próbuje, wreszcie zjawia się ubogi szewczyk itp., itd. Tyle bajka. Ale jeśli bajkę euhemeryzować na fantasy, stereotyp bajeczny musi zniknąć. Szewczyk z potworem nie ma szans, nikt rozumny nie zleci szewczykowi takiego zadania, a gdyby szewczyk sam chciał, to się go przepędzi. Na potwory potrzebny jest specjalista. I tu jak ułał pasował mi mój wiedźmin – zawodowiec, za pieniądze robiący to, co w bajkach ze szlachetności robią szewcykowie, krawczykowie, królewicze i błędni rycerze.

**K.H.:** Wraz z *Wiedźminem* przyszła sława. Niewielu pisarzy w historii polskiej literatury mierzyło się z taką popularnością. Powiedz, proszę, jak zmienia się życie, kiedy stajesz się bożyszczem nastolatki i nie tylko? Cieszy Cię to czy już tylko męczy?

**A.S.:** Przedni żart z tym „bożyszczem”, ze śmiechu pękne zaraz. Z tym „mierzeniem się” równie zabawna krotochwila. Że użyję zwrotu zapożyczonego od polityków: nie ma takiej opcji. Problem nie występuje. Ani w jedną, ani w drugą stronę.

**K.H.:** Popularność sagi wiedźmińskiej nie spowodowała, że spocząłeś na laurach. Stworzyłeś cykl oceniany jako bardziej wymagający: „Trylogię husycką”?

**A.S.:** Temat rzeczywiście wydaje się trudniejszy, a sam tekst wymagał sięgania do źródeł i potężnej pracy włożonej w zgłębianie realiów.

**K.H.:** Czy „Trylogia husycka” miała pokazać światu Twoje możliwości? Zmienić sposób postrzegania Ciebie jako autora? Czemu wybrałeś akurat ten okres historyczny?

**A.S.:** „Trylogię husycką” zacząłem pisać po zakończeniu cyklu wiedźmińskiego, materiały do niej zacząłem gromadzić jeszcze podczas pracy nad książkami o wiedźminie, wówczas też powstał zarys fabuły. Inny zupełnie rodzaj fantasy miał być w założeniu odskocznią od poetyki wiedźmińskiej. I medium na groźbę popadnięcia w rutynę. A dlaczego ten okres historyczny? Bo mało wyeksploatowany. A ciekawy, moim skromnym zdaniem.

**K.H.:** Gdybyś miał porównać proces powstawania Twoich największych dzieł – „Sagi wiedźmińskiej” i „Trylogii husyckiej” – czy praca nad tymi, odmiennymi przecież, tekstami różniła się bardzo? Jeśli tak, to czym?

**A.S.:** „Trylogia husycka” to fantasy historyczna, tłem fabuły jest autentyczna historia, faktyczne wydarzenia historyczne, faktyczne

epoka, faktyczne realia. To wykluczało dezynwolturę, na którą w fabule „wiedźminów” mogłem sobie niekiedy pozwolić. Fabuła fabułą, *licentia poetica* licencją, ale tło musiało być w trylogii autentyczne. A to wymagało studiów nad materią i żmudnego nieraz dokopywania się do źródeł. I wystrzegania się błędów i ahistoryzmów. Wiedźmin, dla przykładu, mógł jeść ziemniaki. Reynevan nie mógł, w drugiej dekadzie XV było to nieznanne w Europie warzywo. Wiedźmin mógł podróżować karetą lub dylizanssem. Reynevan nie mógł, w jego czasach takich wehikułów nie znano.

**K.H.:** Znany jesteś z ostrego jak brzytwa poczucia humoru – zarówno w tekstach, jak i w życiu. Powiedz proszę, co Cię bawi? Prywatnie. Czy trudno jest przełać zaskakujące, nietuzinkowe poczucie humoru w tekst, który – jak sam mówiłeś – masz zawsze szczegółowo rozplanowany, a plan egzekwujesz bezlitośnie.

**A.S.:** Bawią mnie rzeczy zabawne. Śmieję się często i dużo, bo raz, śmiech to zdrowie, dwa, wystarczy włączyć telewizor. We własnym zaś mniemaniu jestem typem *everymana*, toteż zakładam, że jeśli coś śmieszy mnie, rozśmieszy również czytelnika. Czasami płonna to nadzieja, ale się nie zrażam.

**K.H.:** Twoje teksty pełne są tak zwanych *easter eggów* – nawiązań do klasyki literatury i nie tylko. O tym, że piszesz dla ludzi, których iloraz inteligencji jest większy niż obwód w pasie, wszyscy wiemy. Sam to powiedziałeś. Mnie interesuje proces nadziewania tekstu tymi wszystkimi atrakcyjnymi niespodziankami. Robisz to spontanicznie, czy planujesz? Twoje inspiracje są bardzo szerokie. Jak decydujesz, co znajdzie się w tekście, a co do niego nie wejdzie?

**A.S.:** Owszem, lubię prowadzić z czytelnikiem taką grę. Ponownie: mnie samego to bawi, sam chciałbym w lekturach trafić na coś takiego. Czytelnik, zakładam, też. Zaś

decyzje, co wejdzie, a co nie, bywają trudne. Ale fabuła nie jest z gumy, a intryga to nie worek bez dna. Trzeba ciąć, wycinać to, co niepotrzebne, co fabule nie służy wcale albo służy jej źle. A operację cięcia własnego tekstu można porównać do dokonywania na własnym przyrodzeniu obrzezania za pomocą tępej żyłtki. Ale to jest konieczne. Zawsze, bez wyjątku.

**K.H.:** Co myślisz o współdzieleniu światów przez różne media? Mam na myśli przeniesienie świata książki w komiks, gry, na srebrny ekran? Czy Twoim zdaniem służy to literaturze? Zachęca do sięgania po książkę?

**A.S.:** Zaczynamy może od tego, że książki i jej świata nie da się z niczym innym współdzielić ani donikąd indziej przenieść. Jest książka i są jej adaptacje na inne gatunki. Z akcentem na „inne”. Że pozwolę sobie zacytować Kiplinga: „East is East and West is West, and never the twain shall meet”. Czytaj: nie można stawiać książki i jej adaptacji na tym samym poziomie, porównywać ich i łączyć, bo są to rzeczy nieporównywalne i nie do połączenia. Nie ma żadnych punktów stykowych. A czy możliwe jest, że jakiś miłośnik adaptacji dowie się, że był oryginał książkowy i sięgnie poń? Tak, jest to możliwe, dzięki temu czytelnictwo zyska nowego partyzanta. Ale będą to, uważam, przypadki sporadyczne. Częściej zdarzy się, że adaptacja wyprze oryginał książkowy i wręcz zatrze po nim ślad. Każdy wie, dla przykładu, kim są Zorro, Święty Simon Templar, doktor Kildare czy James Bond. A kto, ręka do góry, pamięta nazwiska pisarzy, twórców tych postaci? Kto w ogóle wie, że to oryginalnie postaci z książek? Z literatury? Prawo Kopernika i Greshama: pieniądź gorszy wypiera pieniądź lepszy.

**K.H.:** Myślisz, że kino i gry „pozerają” czytelnictwo? Sprawiają, że ludzie zamiast po książkę sięgną po grę? Wiem, że trudno jest wymagać protract od pisarza, nawet

fantastycznego (sic!), ale jakie są Twoje prognozy dotyczące rozwoju czytelnictwa? Będzie nas więcej, czy mniej?

**A.S.:** Nie podejmuję się prognozować. Sam nie wiem, czy ludzie nie czytają, bo są głębami, czy też może stają się głębami, bo nie czytają? Oto metafizyczne pytanie o przyczynowość. A wszak bez metafizyki, gołym okiem stwierdzić można, rozglądając się, że głębowi wokół jest bez liku.

**K.H.:** W roku 2017 pojawia się oficjalna informacja, że kolejną wielką ekranizacją Netflixa będzie właśnie opowieść o GERALCIE z Rivii. Czy już czujesz się Polakiem Georgem Martinem? Czy taka sława w ogóle jest dla Ciebie atrakcyjna, akceptowalna?

**A.S.:** Nie przesadzajmy z tą sławą, bo i cóż to jest ta sława? Ani tego dotknąć, ani polizać, ani zjeść, ani na półce postawić. Polakiem Georgem Martinem nie czuję się absolutnie, będąc wszak, co mogę udowodnić, czysto polskim Sapkowskim.

**K.H.:** Przy tworzeniu wcześniejszych opartych na sadze wiedźmińskiej dzieł – gier, filmów i komiksów – zachowywałaś spory dystans, nie ingerując w ich treść i proces twórczy. Czy tym razem coś się zmieni? Czy planujesz większy wpływ na losy swojego (przecież) bohatera?

**A.S.:** Nie wiem jeszcze. Czas pokaże.

**K.H.:** Na koniec zadam pytanie, które zapewne jest dla Ciebie nieznośnie nudne, ale Czytelnicy „Smokopolitana” nie darują mi, jeśli nie zapytam: co dalej? Jaka będzie kolejna książka ASA? I kiedy dostaniemy ją w swoje ręce?

**A.S.:** Pytanie jest nieznośnie nudne, ale ja jestem zawodowcem i nie pozwalam pytającemu odgadnąć, że coś mi jest nieznośnie, a coś mnie nudzi. Mam wypracytowaną odpowiedź: czytelnik dostanie nową książkę do rąk mniej więcej pół roku po tym, gdy skończę ją pisać.

# Jest dobrze

Przygotowując ten numer „Smokopolitana”, staraliśmy się zmieścić w nim teksty związane z naszymi faworytami z różnych obszarów poletka zwanego fantastyką. O jednych wiedzieliśmy od razu, że muszą się znaleźć w „mistrzowskim” wydaniu zinu, inni przychodzili nam do głowy dopiero w trakcie prac, jednak przy kategorii „mistrz fantastycznego przekładu” nie było żadnych wątpliwości. Zwłaszcza że najbardziej znany polski tłumacz fantastyki jest również od lat zaangażowanym członkiem fandumu i bez wahania zgodził się odpowiedzieć na kilka pytań.

Z Piotrem W. Cholewą (alias „PeWuCem”) rozmawiają nasi redakcyjni koledzy, Piotr Zawada i Marcin „Alqua” Kłak.

**„Smokopolitan”:** Czemu Piotr W. Cholewa, a nie Piotr Cholewa?

**Piotr W. Cholewa:** To dłuższa historia, i jeśli teraz dobrze ją pamiętam, to miała swój początek w czasach jeszcze przedtłumaczeniowych. Pisałem pracę magisterską na temat pewnego uogólnienia zasady dualności Sierpińskiego–Erdösa, a jednym ze źródeł była praca niejakiego Johna C. Morgana II (taka trochę o topologicznej teorii gier). Bardzo mi się spodobało to „John C. Morgan II” i pomyślałem sobie, że też tak mogę przecież (no, bez tej dwójki na końcu). Tak podpisałem pracę i poszło. Przyzwyczaiłem się. Zresztą tak jest wygodniej. Bez tego „W” podpisywałem się nie „PWC”, tylko „PC”, co z różnych względów gorzej wygląda. Nie byłbym Pewucem, tylko Pecem – sam rozumiesz, nie jest to najlepsze.

**K.S.:** Co w fantastyce jako gatunku jest takiego ciekawego, że się nią zainteresowałeś? Jakie były Twoje pierwsze książki fantastyczne?

**P.W.C.:** Co takiego? To, że jest ciekawa. Poważnie. Nie tylko ona, oczywiście, ale to była taka miłość od pierwszego wejrzenia (w książkę). Jako dziecię nieletnie kupiłem (albo dostałem, nie pamiętam) książkę zatytułowaną *Wakacje cyborga* – mam ją do dzisiaj, to była taka antologia fantastycznych opowiadań francuskich. Zrobiła na mnie wrażenie, które dzisiaj, z perspektywy lat, nazwałbym „piorunującym”. Pomyślałem wtedy, że od dzisiaj będę czytać tylko fantastykę.

Z postanowienia nic nie wyszło i dobrze – bardzo by mi to ograniczyło znajomość

literatury – ale fantastyki trzymam się od tej szkoły podstawowej właśnie. Potem już poszło, czytałem, co zdobyłem (mam wrażenie, że następne książki to były opowiadania Konrada Fiałkowskiego i chyba *Jeźdźcy znikąd* Abramowa – obie, podobnie zresztą jak *Wakacje cyborga* – z serii „Fantastyka – Przygoda” w Iskrah). Chyba dopiero potem trafiłem do Lema.

Czemu właśnie fantastyka? Chyba dlatego, że pokazuje światy. Inne albo nasze, ale trochę zmienione. W powieści realistycznej często mi tego brakowało – w fantastyce możemy sobie prowadzić pewne eksperymenty myślowe, psychologiczne, socjologiczne... Poza tym fantastyka opowiada historie – mam chyba jeszcze takie dziecięce zamiłowanie do książek, które o czymś opowiadają. O czymś w miarę nowym (choć oczywiście zawsze istnieją schematy, które można dostrzec w każdym tekście – jak mówi stare przysłowie, jest tylko sześć historii do opowiedzenia, wszystkie je opowiedział Shakespeare i nie był pierwszy). Ale nawet znany motyw w nowych dekoracjach potrafi zaskoczyć i zachwycić.

**K.S.:** Tłumacząc *Pasterską koronę*, wiedziałeś, że to już ostatnia część cyklu. Jakie to uczucie rozstawać się ze Światem Dysku po tylu latach?

**P.W.C.:** Smutne. Wiesz, uważam Pratchetta za znakomitego twórcę. Pisał o sprawach bardzo poważnych w sposób zabawny. I jego książki były właśnie zabawne, ale wcale nie wesołe, a ponure. Przynajmniej w ogólnym wydźwięku. Pratchett był aforystą, filozofem, komentatorem ludzi i świata. Kiedy w 2008 dowiedzieliśmy się o jego chorobie, to był szok. To, że tak długo walczył z nią, że wciąż pisał – to również zaskakiwało i cieszyło.

Miałem wrażenie, że od tego momentu, od 2009 roku, w swoich powieściach

Pratchett żegnał się z bohaterami i światem. I próbował szybko opowiedzieć to, co uważał za ważne. Może czasem zbyt szybko.

W każdym razie pożegnaliśmy się z Vimesem, w pewnym sensie z Marchewą i Anguą, mniej więcej z Uniwersytetem i Rincewindem... *Pasterska korona* była pożegnaniem z babcią i – również – w pewnym sensie – z Tiffany. I ze światem, bo tam widzimy, że świat czarownic się zmienia, że już nie będzie taki sam. Mamy motywy trochę podobne do *Równoumagicznienia* (tyle że na odwrót).

A tłumacząc tę książkę, widziałem, że to koniec. Więcej nie będzie, ten świat umarł razem ze swoim twórcą i możliwe są już tylko badania „historyczne”. Nie dowiem się, co dalej z dyskową cywilizacją, z kulturą Ankh-Morpork. Oraz – to interesowało mnie bardzo – co będzie z Vetinarim. Umrze zapewne, bo i tak był już coraz starszy i bardziej miękki. Ale kto po nim? I jak Ankh-Morpork zniesie tę zmianę? To naprawdę chciałbym odkryć (jest kilka hipotez, ale żadna nie porywa).

**Z.S.:** Myślisz, że Świat Dysku mocno wpłynął na Twoje postrzeganie świata?

**P.W.C.:** Widzisz, Pratchett był trochę ironiczny, trochę kpiący, ale mądry przy tym, i wydaje się, że lubił ludzi (na pewno lubił swoich bohaterów). Pokazywał zagrożenie płynące... bo ja wiem? Najbardziej chyba z głupoty. W jego książkach to widać. I nauczył mnie pewne elementy w świecie dostrzegać – a może nie dostrzegać, bo one są zawsze widoczne, ale zwracać na nie większą uwagę. Trudno powiedzieć. Pamiętaj, że wszystko, co czytamy, jakoś na nas wpływa, jakoś zmienia widzenie świata. Świat Dysku zmienił je mocniej i w dobrą stronę.

**Z.S.:** Poza Pratchettem tłumaczyłeś innych ważnych dla fantastyki autorów: Carda, Le Guin, Zelaznego, Gibsona. A czy przekładałeś też książki niefantastyczne?



fol. Ela Gepfert

**P.W.C.:** Rzadko. Pewnie mógłbym na palcach policzyć. Robiłem kiedyś *Firefoxa* (czy może drugiego *Firefoxa*), taką całkiem średnią sensacyjną książkę (film też był taki, z Clintem Eastwoodem, który kradnie Rosjanom super-hiper myśliwiec sterowany myślą). Takie sobie.

Robiłem też świetną (naprawdę) książkę Robbinsa *I kowbojki mogą marzyć*. Też był taki film, z Umą Thurman. Klasyka, w pewnym okresie kultowa (w USA), u nas czytana, ale bez szaleństw.

Z takiej klasyki mainstreamu robiłem jeszcze kiedyś *Rezerwuar* Doctorowa (ale to

był Edgar Lawrence Doctorow, a nie Cory Doctorow), znanego raczej w USA. Ale to akurat była taka lekka fantastyka (raczej w stylu Verne'a) – nie będę opisywał.

No i całkiem ostatnio tłumaczyłem trzy kryminały Holta (*Bluźnierstwo*, *Herezja*, *Rozgrzeszenie*) – raczej thrillery, powieści sensacyjne i polityczne w jednym (i w trzech tomach). Nieźle.

To chyba wszystko, choć zdarzały się także mało fantastyczne teksty fantastycznych autorów (choćby *Trzynaście widoków tekturowego miasta* Gibsona – bardzo ładne opowiadanie, całkiem niefantastyczne).

No, może jeszcze popularnonaukowe, *Utracony księżyc* Lovella, *I ty zostaniesz matematykiem* albo coś w tym rodzaju.

Horror i rozmaite książki dla dzieci/ młodzieży uznają za fantastykę i już.

Sam widzisz, że nie było tego wiele. Z różnych powodów, ale najważniejszy jest ten, o którym mówiłem wcześniej – lubię fantastykę i o wiele przyjemniej mi się ją tłumaczy (na ogół).

**K.S.:** Co w takim razie sprawia Ci największą frajdę w tłumaczeniu? Co jest dla Ciebie najciekawszym aspektem pracy tłumacza, a co największym wyzwaniem? Czy często kontaktujesz się z autorami?

**P.W.C.:** Tu jest kilka pytań razem, więc po kolei. Najfajniejsze w tłumaczeniu jest tłumaczenie, jeśli udane. Znaczący: przepisujesz ten tekst, który był w oryginale świetny, a to, co wychodzi (i pojawia się na ekranie), też nie jest – twoim zdaniem – całkiem złe. No, przyzwoite jest nawet... To daje satysfakcję (choć oczywiście bywa, że kiedy na drugi dzień czytasz ten sam własny tekst, okazuje się on całkiem mierny, albo wręcz marny. Zdarza się.).

Ciekawe jest – między innymi – szukanie nawiązań, cytatów itp., i znajdowanie ich odpowiedników. I trochę smutna świadomość, że niektóre będą nieczytelne, choćby nie wiem co. Wiersze, nawiązania kulturowe, zwłaszcza te nieobecne w języku polskim – to wszystko ciekawe wyzwania. Gra słów też, ale o tym wszyscy słyszeli.

Natomiast z autorami kontaktuję się nieczęsto. Poważnie. Ze dwa-trzy razy pisałem do Pratchetta, kilka razy rozmawiałem z Cardem... To wszystko. Nie to, żebym nie chciał, ale czasem nie ma możliwości (np. Żelazny – kiedy istniała szansa, nie istniał e-mail – a chętnie bym wtedy spytał, co planuje w kolejnych tomach Amberu. Teraz już wie).

**Z S.:** Jakie masz związane z tłumaczeniem rytuały?

**P.W.C.:** Żadne. To znaczy myślę, że żadne. Muszę wypić kawę, oczywiście, ale to przecież niezależnie od tego, czy siadam do tłumaczenia, czy gdzieś wychodzę. Przy komputerze zwykle robię kilka rzeczy naraz – to znaczy pracuję, co jakiś czas czytam newsy, czasem odpalam jakąś grę (taką, która się kończy w parę minut, jakieś pasjansy, tetrysy itd., nic poważnego). I tak leci. Te newsy, gry czy blogi to moja metoda na jakąś zmianę tematu myślenia, może szybki reset umysłu. Podobnie niekiedy idę do okna i gapię się, żeby popatrzeć na coś dalekiego, bo wtedy oczy odpoczywają. Takie tam.

To ten fizyczny aspekt pracy, czyli stukanie w klawiaturę. Bo oczywiście zdarzają się problemy poważniejsze i wtedy zwyczajnie myślę. Z krótkimi przerwami. Żeby jakoś się wszystko ułożyło i rozwiązanie samo przyszło do głowy. Żeby podać przykład: tak było z tytułem *Czarodzielstwa*, które w oryginale brzmi *Sourcery* i chodzi w nim o „source of magic”, czy też wręcz „source of sorcery”. Przetłumaczyłem już spory kawałek, a jeszcze nie wiedziałem, jak się książka będzie nazywała. Wymyśliłem czarodzielca – pewnie można lepiej, ale mnie nic nie przyszło do głowy.

**Z.S.:** Jaki najbardziej matematyczny tekst literacki zdarzyło Ci się przetłumaczyć? Jesteś w końcu matematykiem z wykształcenia.

**P.W.C.:** Bo ja wiem? Pomijając te popularnonaukowe matematyczne książki, raczej młodzieżowe, a biorąc pod uwagę beletrystykę, przychodzą mi do głowy *Dywany Wanga* Grega Egana – krótki tekst, o ile pamiętam, włączony potem do *Diaspory* (ale to już nie ja), *Ślepy geometra* Kima Stanleya Robinsona, no i „Trylogia ciągu” Gibsona. Czy są matematyczne? Trudno powiedzieć, ale mam wrażenie, że przed laty dostałem do tłumaczenia *Neuromancera* właśnie dlatego, że byłem (jestem) matematykiem.

**K.S.:** Było o tłumaczeniach, więc przejdźmy do fandomu. Bez wątplenia jest dla Ciebie bardzo ważny – zasadniczo siedzi w nim cała Twoja rodzina. Czy to samo czeka wnuki?

**P.W.C.:** No proszę cię... Oczywiście. Chłopcy są mali jeszcze, ale staramy się, żeby oglądali odpowiednie filmy. Na dobranoc czytamy im odpowiednie książki. Dostają odpowiednie zabawki. I trzymamy kciuki.

Uda się albo nie, trudno przewidzieć przyszłość. W każdym razie staramy się wszyscy.

Można to nazwać programowaniem (czy też warunkowaniem) umysłu. Ale w końcu te książki, zabawki i filmy to te, które nam się podobają. Przecież nie będę wnukowi czytał do spania książki, którą uważam za marną, prawda? Tak to idzie. Na szczęście nie ma specjalnych problemów, chłopcy są fanami *Gwiezdnych Wojen* i *Minionków*, *Transformersów* i *Hobbita*. Zobaczymy.

**Z.S.:** Zapewne w ten sam sposób zaaszczepiłeś w bardzo młodym wieku swojego syna Michała. Czy jego sukces pisarski zmienił w jakiś sposób Wasze relacje? Czy Michał to dalej syn tłumacza, czy już Piotr ojciec pisarza?

**P.W.C.:** Nasze normalne stosunki pozostały chyba takie same – większą zmianę wprowadziły wnuki. Natomiast w sensie fandomowym, owszem, teraz jestem raczej ojcem tego pisarza Michała, niż on jest synem tego tłumacza. Sam rozumiesz, napęłnia mnie to oczywistą dumą.

**Z.S.:** Kontynuując temat fandomu i rodziny, to razem z Elą Gepfert wspólnie wykonałiście (i wciąż wykonujecie) ogrom pracy na rzecz promowania fantastyki. A jak bardzo różnią się Wasze literackie gusta?

**P.W.C.:** Niezbyt. To znaczy owszem, są drobne różnice: Ela lubi bardziej „miękkie”

teksty, aktywnie nie lubiła Stephena Donaldsona (zarówno w cyklu o Thomasie Coenancie, jak i w cyklu Skoku), którego ja z kolei bardzo lubiłem (choć jest dołączący). *Neuromancera* Gibsona Ela uważa za romans (świąteczny, ale romans), a ja za taką hi-techową przygodówkę, też świetną. Oboje jesteśmy fanami *Perfekcyjnej niedoskonałości* Dukaja (i w ogóle Dukaja).

Wiesz, kiedy próbuję jakoś sformułować odpowiedź na twoje pytanie, dochodzę do wniosku, że w przeważającej większości te same teksty nam się podobają, choć niewykluczone, że nie zawsze z tych samych powodów.

No i trzeba pamiętać, że to moja ocena, Ela może mieć całkiem inne zdanie w tej kwestii.

**K.S.:** Jeździsz na dużą liczbę konwentów – co w nich najbardziej doceniasz? Jak zmieniły się przez lata?

**P.W.C.:** To się łączy. Najbardziej cenię możliwość spotkania z kumplami, z potencjalnymi kumplami, z przyszłymi... i takimi, z którymi po tym spotkaniu już się więcej spotykać nie chcę (to cenna funkcja ostrzegawcza). Krótko mówiąc, cenię w konwentach ich rolę budowania społeczności – czyli fandomu. Oczywiście, te spotkania, o których wspominałem, odbywają się przy przysłowiowym piwie, na prelekcji, na panelu, na korytarzu po prelekcji i tak dalej – cały program konwentu tak naprawdę służy integracji fandomu.

Przez te lata zmieniło się chyba podejście. Mam wrażenie, że uczestnicy często traktowani są jak klienci, a w efekcie zachowują się jak klienci zachowywać (wiesz: płacę – wymagam). Konwent ma być wielki i tyle. Oczywiście, nie zawsze tak jest, ale coraz częściej – konwent staje się (w wizji organizatorów) czymś w rodzaju koncertu czy seansu kinowego (płacisz, wchodzisz, oglądasz, wypad). Trochę przesadzam, oczywiście. Nie wszystkich konwentów to dotyczy, nie zawsze jest to tak mocno widoczne. Ale

mam wrażenie, że taki jest kierunek zmian. Uczymy uczestników pewnych zachowań, a potem przywołujemy te zachowania jako argument, że tak być musi.

Co jednak nie zmienia faktu, że lubię konwenty, jeżdżę na konwenty i pewnie dalej będę jeździł.

**K.S.:** Zasadniczo od zawsze byłeś związany ze Śląskim Klubem Fantastyki – jakie są dla Ciebie najważniejsze elementy życia klubu? I czemu, w Twoim mniemaniu, służą kluby fantastyki?

**P.W.C.:** To się zmienia. Za dawnych lat klub był jedyną możliwą formą zbiorowego działania. Nie w sensie politycznym, ale – powiemy – prawnym. Jak chciałeś zrobić konwent, trzeba było podpisać umowę choćby z dysponentem sal. Z drukarnią, żeby wydać fanzin. Trzeba było mieć pieczętkę, konto (żeby wysyłać przelewy) i takie tam. To oficjalnie. A realnie? Klub miał bibliotekę, spotykali się ludzie, nowi – przyszli fani – mieli jakiś punkt orientacyjny, żeby tam docierać. Taka wiesz, oaza fantastyki, do której wszyscy zmierzali (oaza także geograficznie). ŚKF miał swoją siedzibę i ci, którzy lubili fantastykę, mieli adres, pod których mogli pójść.

Sytuacja trochę się zmieniła, zwłaszcza prawnie – choć sprawy finansowe prawdopodobnie ciągle wymagają pewnych formalnych podstaw. Ale nadal klub ma adres (a więc stanowi miejsce, do którego fan może pójść), ma bibliotekę, zbiór planszówek, mistrzów gry... No i można z kumplami iść na nowe *Gwiezdne wojny*, a potem w knajpie pogadać o tym, co nam się nie podobało. To ważne.

Był okres, kiedy na rozmaitych forach rozmaici dyskutanci przekonywali, że czas klubów się skończył (a nawet czas konwentów), że teraz to już wszystko będzie w sieci, a normalne kontakty w RL to przeżytek. Teraz widać, że nie mieli racji i sami jeżdżą

(fizycznie) na konwenty i bywają na rozmaitych spotkaniach.

**K.S.:** Czy wydawany od lat „Miesięcznik” jest „tylko” biuletynem, czy jednak uważasz go za fanzin?

**P.W.C.:** Nie rozumiem pytania. To znaczy nie rozumiem, czemu to ma się wykluczać. To jest fanzin, który jest biuletynem – to znaczy zawiera głównie informacje i publicystykę, a nie ma tekstów literackich. To była świadoma decyzja (choć w historii zdarzyło się kilka wyjątków), ale przecież nie wpływa to na „fanzinowość” „Miesięcznika”.

**K.S.:** Na koniec połączmy obydwa tematy – zanim zostałeś tłumaczem, byłeś już członkiem fandomu. Czym różni się przejście z fana w profesjonalistę? Oprócz zarobków.

**P.W.C.:** To nie tak. Przecież moje źródła utrzymania nie wpłynęły na moją „fandomowość”. Nadal działam w klubie, pomagam przy konwentach, jeżdżę i tak dalej. Zapewne jako tłumacz stałem się bardziej znany i trochę częściej mnie zapraszają. Ale poza tym? Nie, nie dostrzegam dramatycznych różnic. Zapewne gdybym został nie tłumaczem, a szefem korporacji (choćby tej, która mnie sama praktycznie zaprasza, bo w większości dużych miast stoją biurowce z wielkimi literami PWC... Przypadek? Nie sądzę), to musiałbym to bycie w fandomie (i działalność) drastycznie ograniczyć. Ale póki jedno z drugim jakoś do siebie pasuje, jest dobrze.

**PIOTR W. CHOLEWA** – ZWIĄZANY ZE ŚLĄSKIM KLUBEM FANTASTYKI; OD WIELU LAT DZIAŁACZ FANDOMU POLSKIEGO I EUROPEJSKIEGO ORAZ PROMOTOR FANTASTYKI; Z WYKSZTAŁCENIA DOKTOR MATEMATYKI; UZNANY TŁUMACZ ANGLOJĘZYCZNEJ FANTASTYKI; ZA TŁUMACZENIE *KOLORU MAGII* OTRZYMAŁ W 1995 ROKU NAGRODĘ STOWARZYSZENIA TŁUMACZY POLSKICH; OD 2010 R. CZŁONEK HALL OF FAME EUROPEJSKIEGO STOWARZYSZENIA SCIENCE FICTION.

**ROZMAWIALI** MARCIN KŁAK I PIOTR ZAWADA

# Smutek transhumanisty albo czy transformery śnią o Krzywej Progresu?

Beata Atlas-Leśniewicz

Nie sposób pisać o tym, jak omawia się w rodzimej fantastyce koncepcję transhumanizmu, czyli przekraczania ograniczeń ludzkiej kondycji przy użyciu zdobyczy nauki oraz zaawansowanych technologii – interwencji w kod genetyczny kolejnych pokoleń, cyborgizacji czy digitalizacji świadomości – bez wspomnienia o twórczości Jacka Dukaja. I odwrotnie: kto pominąłby ten wątek, omawiając dzieła wybitnego autora, uszczupliłby swoją analizę o bezmiar pytań, sensów i predykcji, które nadają utworom pisarza ponadczasową wartość. Myślą się bowiem ci, którzy twierdzą, że fantastyka naukowa niezależnie od swej jakości starzeje się wraz z postępem cywilizacyjnym. Najwyższej próby science fiction nie pyta o przyszłość technologii, ale człowieka zmieniającego się pod jej wpływem lub przeciwnie: pośród otaczającego go pędu pozostającego w swej bazowej zwierzęcości niezmiennym. I właśnie te wizje stają się częścią transhumanistycznego dialogu pełnego lęków, ale i nadziei.

Najpełniejszą wizję możliwej ewolucji człowieka Dukaj wykreował w *Perfekcyjnej*

*niedoskonałości*, która została napisana jako pierwsza część zarzuconej trylogii. Już w wywiadzie z 2010 roku pisarz przyznał, że początkowo czekał na naświetlenie przez naukowców niektórych problemów fizycznych, następnie jednak odstąpił od projektu i chociaż plan następnych części istnieje, prawdopodobnie nie zostaną one napisane<sup>1</sup>. Nie sposób zatem odczytać ostatecznego wydzwieku powieści, gdy nie wiemy, jak miały zakończyć się losy bohatera oraz całej ludzkości znajdującej się na drodze transhumanistycznego progresu. Moje zaklasyfikowanie *Perfekcyjnej niedoskonałości* jako powieści o pozytywnym podejściu do idei takiego rozwoju musi więc mieć wymiar jedynie spekulatywny. Wyraźnie widać w utworze podjęcie myśli, którą rozwija prężny i inspirujący artystycznie nurt transhumanizmu zwany immortalizmem. Jak sama nazwa wskazuje, ów ruch stawia sobie za cel

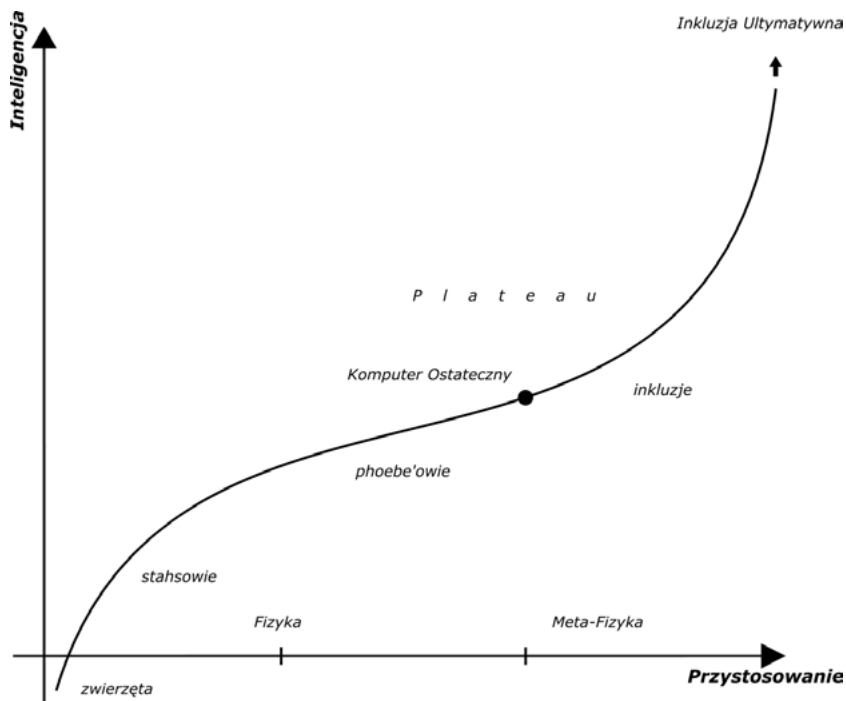
1 J. Dukaj, *Moc generowania sensów*, „Magazyn Kultury Popularnej Esensja”, <http://esensja.stopklatka.pl/ksiazka/wywiady/tekst.html?id=10943&strona=1#strony>, dostęp: 14.05.2015.

oszukiwanie śmierci – ukierunkowanie badań naukowych tak, by możliwe było przetrwanie świadomości mimo ustania procesów życiowych człowieka. Dwie najważniejsze technologie, w których pokładają nadzieje immortaliści, to kryptonika – przede wszystkim dająca szansę na nieśmiertelność ludziom zmarłym przed wynalezieniem przedłużających życie kuracji – oraz tak zwany *mind uploading* (wgranie umysłu). Jest to technologia znacznie trudniejsza do opracowania, polegająca na przeniesieniu ludzkiego umysłu w stan cyfrowy, gdzie będzie on całkowicie niezależny od upływu czasu. Oczywiście nie oznacza to, że stanie się absolutnie bezpieczny w tej formie – tak samo jak każdemu programowi zagrażać mu będzie zainfekowanie lub utrata danych, odłączenie lub wyczerpanie źródła zasilania czy zniszczenie systemu, w którym funkcjonuje. Jednakże ten pomysł na nieśmiertelność uważany jest przez teoretyków i entuzjastów nurtu za najbardziej obiecujący i wart badania. To także idea niezwykle chętnie rozwijana przez pisarzy science fiction również na polskim gruncie. Na wiele sposobów omawiał ją Stanisław Lem w swoich powieściach już niemal pół wieku temu. Właśnie taki „sposób na nieśmiertelność” wykorzystuje także Dukaj w *Perfekcyjnej niedoskonałości*.

Najprościej rzecz ujmując, akcję powieści zbudowano wokół postaci kosmonauty, którego ciało odtworzono na podstawie zapisu genetycznego odzyskanego z rozbitego w XXI wieku wraku statku kosmicznego „Wolszczan”. Adam Zamojski powraca do życia osiem stuleci później i doznaje szoku, dowiadując się, że człowieczeństwo w znanym mu kształcie to tylko jedna z wielu możliwych opcji – taki rodzaj bytu znajduje się na dole drabiny rozwoju, po której wspina się arystokracja tego świata, odchodząc coraz dalej od swojego biologicznego,

śmiertelnego kształtu. Astronauta został odtworzony jako stahs (Standard Homo Sapiens), który mimo nazwy tak całkiem standardowy w oczach czytelnika nie jest: posiada co prawda organiczne ciało, ale w razie jego zniszczenia zdigitalizowana świadomość właściciela zostaje wczytana do nowego nośnika, identycznej kopii zapasowej. Następnym krokiem w ewolucji to już byt postludzki, czyli phoebe (Post-Human Being) – całkowite oderwanie się od biologii, przebywanie świadomości w czymś na kształt sieci informacyjnej (zwanej Plateau) i manifestowanie się w postaci dowolnie zbudowanych z nanobotów awatarów. Te wcielenia realizują wizje teoretyków transhumanistycznych nurtów, takich jak abolicjonizm bioetyczny (dążący do wyeliminowania bólu i chorób) oraz postgenderyzm (postulujący zniesienie binarnego podziału płci). Możliwości intelektualne oferowane przez taki rodzaj egzystencji również dalece przekraczają to, do czego ograniczony jest człowiek i stahs – phoebe’owie są na stałe podłączeni do całej wiedzy gromadzonej w wirtualnym wymiarze tego świata oraz do nieprzerwanego strumienia informacji, który tamtędy płynie.

Dukaj niewiele miejsca poświęcił formom wykraczającym poza znaną fizykę, czyli inkluzjom zwanym osca (Out-of-Space Computer). Wiadomo o nich tyle, że są niejako „kieszonkowymi” wszechświatami – stworzonymi dzięki sztuce kraftunku, czyli modelowania czasoprzestrzeni – całkowicie niezależnymi od otoczenia. Panują w nich takie stałe fizyczne, jakie tylko wybiorą sobie same. Są świadome, ponieważ tak jak wszystkie inteligentne byty posiadają fren, czyli ośrodek życia psychicznego. Dla istot położonych niżej na Krzywej Progresu inkluzje to niejako półbogowie, nawet phoebe’owie nie podejmują się prób zrozumienia ich toku myślenia czy motywacji.



Tak jak dla ludzi i phoebe'ów granicę rozwoju bez zmiany stałych fizycznych stanowi Komputer Ostateczny, tak dla inkluzji podobnym konstruktem jest Inkluzja Ułtymatywna. Ten abstrakcyjny byt w powieści oznacza Formę Doskonałą, która z założenia najlepiej wykorzystuje dostępne warunki; to optymalna kombinacja stałych fizycznych, pozwalająca na osiągnięcie inteligencji przewyższającej wszystkie inne. Ów mityczny konstrukt pojawia się na kartach powieści, lecz jego pozycja na Krzywej Progresu nie wynika z ewolucji rasy ludzkiej. To jednak jasne, że osiągnięcie tego niemal boskiego statusu jest możliwe i jak można wnioskować z konstrukcji pierwszego tomu nieukończony trylogii, prawdopodobnie właśnie tam zaprowadziłaby głównego bohatera jego

droga w kolejnych tomach. Adam Zamoycki, podobnie do istot, które spotyka w rzeczywistości XXIX wieku, zafascynował się ideą progresu. Każde kolejne rozszerzenie możliwości ciała (lub ciała) i umysłu budzi w nim początkowe zagubienie, później jednak czytelnik obserwuje, jak bohater bawi się swoim zmodyfikowanym ciałem i umysłem, testuje je niczym high-endowy gadżet, a każda nowo opanowana umiejętność daje mu rosnące poczucie siły i stawania się równorzędnym graczem w politycznych rozgrywkach technokracji. Zazwyczaj postaci spotykane na kartach powieści, wzorem wszystkich wysoce ekskluzywnych elit (stahsowie i reszta stanowią 1% populacji), wypowiadają się o swoim statusie i możliwościach z dużym dystansem i ironią. Pod koniec jednak czysty entuzjazm wobec idei

technologicznego progresu wyrażony jest bez tego cudzysłowu:

*To jest zbyt silne, zbyt piękne, zbyt kuszące – kolejny etap na drodze do doskonałości, następny stopień schodów od zwierzęcia do Boga. Nie da się uciec, nie da się zapomnieć, przestać myśleć, przestać marzyć, skoro raz wstąpiło się na tę ścieżkę, a każdy krok na niej tak oczywisty.*

*Tęsknota jest wręcz fizyczna, ciało, umysł – tęsknią do UI [Inkluzji Ułtymatywnej – przyp. aut.], pragną jej, wyciągają się ku niej jak roślina ku światłu. Tóż wyrzeka się perfekcji, darmo oddaje ideał?*<sup>2</sup>

Te słowa mogłyby być fragmentem transhumanistycznego manifestu – tak samo jak kończący powieść cytat z chrześcijańskiego filozofa de Chardina, który ekstatycznie woła o zjednoczenie się z boskością, stanowiące ostatni krok w ewolucji człowieka.

Pomiędzy tym okrzykiem zachwyty nad możliwościami postępu a wydaną w 2015 roku *Starością aksolotla* mija jedenaście lat. Mimo iż w tym czasie Dukaj opublikował monumentalny *Lód* oraz okazały zbiór opowiadań pod nazwą *Król Bólu*, można odnieść wrażenie, że minęły zaledwie sekundy, a autor kontynuuje myśl rozpoczętą przed ponad dekadą. Już otwierające słowa obu powieści wydają się ze sobą korespondować – *Perfekcyjna niedoskonałość* rozpoczyna się sceną przyjęcia, na którym jeden z bohaterów ginie. Ta śmierć, chociaż jak najbardziej rzeczywista, nie jest do końca prawdziwa – świadomość mężczyzny niedługo potem zostaje wczytana do nowego, zapasowego ciała. Mamy więc świat, w którym ludzie umierają, nie umierając.

*Starość aksolotla* zaczyna się jeszcze mocniej, niż chciał tego Hitchcock. Przez Ziemię przechodzi fala energii nazywana później Promieniem Śmierci, niszcząca

wszystkie żywe organizmy. Główny bohater, specjalista od hardware'u Grześ, oraz garstka innych nerdów, którzy wpadli na pomysł użycia konsoli do wirtualnej rzeczywistości, zachowują świadomość mimo destrukcji biologicznych ciał. Już pierwsze zdanie powieści podaje jednak w wątpliwość, czy Grześ istotnie przeżył. Technologia transferu świadomości do świata wirtualnego nie była wystarczająca zaawansowana, by skopionąć cały umysł (i duszę?) człowieka. To, co przetrwało, okazało się niekompletne i obciążone błędami systemu, którego użyli szczególnie grzecznie do zachowania osobowości – tak przynajmniej tłumaczyły dziwności swojego nowego stanu niektóre z „transformerów”, osobowości wczytanych w roboty. Po zagładzie to właśnie one przemierzają gigantyczne cmentarzysko, gdzie nie przeżyły nawet bakterie: zamknięte w maszynach produkcyjnych, seksbotach, mechanicznych towarzyszach i opiekunach ludzkości w jej ostatnich dniach. To świat, w którym ludzie nie żyją, choć być może przeżyli.

W ten sposób podjęta zostaje wątpliwość krytyków transhumanizmu, którzy nie podzielają entuzjazmu immortalistów wobec koncepcji nieśmiertelności. Podstawowe pytanie zadawane przez niechętnych idei badaczy brzmi: czy wieczne życie pozwoli nam nadal się rozwijać? Ważnym napędem człowieka do działania jest przecież świadomość własnej przemijalności. Tworzymy, zdobywamy wiedzę, próbujemy odcisnąć swoje piętno na obrazie świata między innymi dlatego, że nasz czas pozostaje limitowany, a cykl życia ustala inne zadania na każdym jego etapie. Nieśmiertelność przerwałaby ów cykl i tym samym mogłaby położyć kres ludzkiemu pragnieniu rozwijania się. Gdyby tak się stało, w ironiczny sposób samo spełnienie transhumanistycznego marzenia doprowadziłaby do zniszczenia wartości najwyższej cenionej

2 J. Dukaj, *Perfekcyjna niedoskonałość*, Kraków 2004, s. 450.

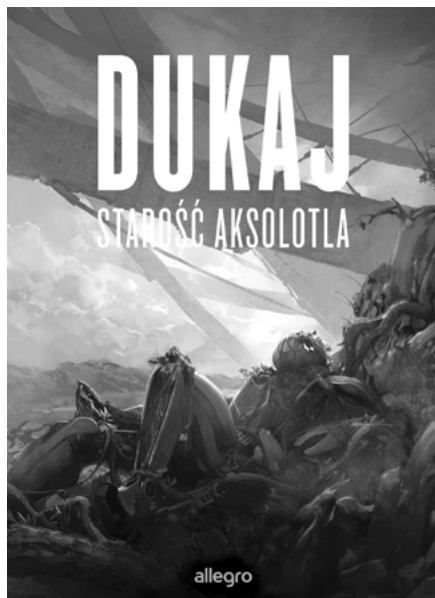
w tym systemie myślowym. Wieczne życie mogłoby stać się równoznaczne z wieczną stagnacją – oznaczającą w kategoriach ewolucyjnych śmierć – lub wręcz regresem związanym z utratą stymulowanych przez egzystencjalną niepewność zdolności i pragnień. Można pokusić się o tezę, że gdy dynamika rytmu życia nie będzie zmuszała ludzi do podejmowania prorozwojowych działań, człowiek sam będzie stawiał sobie wyzwania. Tak właśnie dzieje się w najnowszej powieści Dukaja – i również ta droga prowadzi u autora w stronę upadku bohatera.

Tym sposobem wizje transhumanistycznej przyszłości zawarte w *Perfekcyjnej niedoskonłości* i *Starości aksolotla* stają się komplementarne: mamy przed sobą zestawienie najlepszego i najgorszego z możliwych scenariuszy porzucenia biologicznych ograniczeń przez człowieka. Spotykają się tutaj nadzieje entuzjastów i ideologów nurtu oraz obawy jego krytyków. Najważniejszy cel sformułowany przez transhumanistów zostaje w obu powieściach zrealizowany – wolność od chorób, starzenia się i śmierci stają się faktem. A jednak to, co budzi fascynację i zapal w *Perfekcyjnej...*, w najnowszej powieści autora staje się spełnionym koszmarem. Dlaczego tak się dzieje? W którym momencie ludzkość sięgająca do słońca nie jest już tyle pragnącą się rozwinąć rośliną, co Ikarem z jego nieodwracalnym upadkiem?

Pierwszą i po prawdzie oczywistą odpowiedź jest różnica w samym momencie transgresji. W optymistycznej wizji proces odchodzenia od biologii pozostaje odwracalny. Raz szczytana świadomość może zostać załadowana do ciała, i jeśli dana osoba wyrazi takie życzenie, może to być pojedyncze, śmiertelne ciało bez kopii zapasowych. Podróż w górę Krzywej Progresu to proces całkowicie dobrowolny, poza samym progiem wejścia, trudnym do pokonania – jak wspomniałam,

jedynie finansowa i polityczna elita ma możliwość takiego rozwoju. Nie wiadomo, czy ktokolwiek podejmował decyzję o zmianie swojego stanu w pośpiechu czy pod groźbą unicestwienia – co z kolei miało miejsce w *Starości...*, gdzie w ten sposób przetrwanie zapewniła sobie cała pozostała ludzkość. Nawet gdyby nie zaistniały inne problemy, sam przymus czyni sytuację koszmarną. Szok, niepewność swojego statusu i przyszłości, całkowicie obce środowisko i niewiedza, czy ktokolwiek inny przetrwał – jeśli tak miałby narodzić się postczłowiek, byłby to poród obarczony straszliwą traumą.

Jak w historii, tak i w nieudanym transhumanistycznym progresie, rewolucja okazuje się drogą znacznie bardziej dramatyczną niż ewolucja. Ludzie przypadkowo poddani radykalnej zmianie nie mają żadnej wizji przyszłości, która z założenia musiałaby być zupełnie inna niż dotychczasowa historia. Dlatego niczym przymusowi rewolucjoniści – sięgający po metody rządu, który sami obalili – transformery



próbują odtworzyć znane. Nie było czasu na to, by zastanowić się nad nową formą istnienia ludzkości, a istnienie domaga się celu. Dlatego maszyny postanawiają stworzyć ludzi, a raczej zbudować ich od nowa na podstawie ocalałych zapisów genetycznych. Nawet to nie jest więc do końca aktem twórczym – nie tyle dokonują transformery boskiego aktu stworzenia „czegoś z niczego”, co raczej lepią kukły z biologicznej gliny na podobieństwo utraconego Raju sprzed Promienia Śmierci. Widzimy to wyraźnie w scenie, w której powołano do życia przez transformery chłopiec je jabłko. Dziecko narzeka, że dar robotów – symbol poznania dobrego i złego oraz zyskania wolnej woli – nie smakuje mu. Historia, zamiast toczyć się naprzód, zakreśla więc koślawy krąg. Takie są zresztą podejrzenia transformerów co do intencji kosmicznej cywilizacji, która wystrzeliła niszczycielski strumień energii w stronę Ziemi – chodziło nie tyle o zabicie ludzi, co o zatrzymanie biegu historii (skądinąd podobna koncepcja co w *Lodzie*). Wymuszony progres nie tylko nie rozwija człowieka, ale również powoduje dewiację z kursu całej cywilizacji oraz powrót do znanego ustroju i struktur społecznych, wojen toczonych z tych samych powodów co niedyś.

W *Starości...* obserwujemy również punkt widzenia bardzo nietypowy dla bohaterów Dukaja – zachwyt nad biologią. W *Perfekcyjnej...* życie w pojedynczym, przyrodzonym ciele oraz czerpanie radości i sensu życia z prostych przyjemności materii sprawdza człowieka niemal do poziomu zwierzęcia. Organiczność i gnucie są powtarzającymi się wątkami w twórczości autora, który turpistycznie pochyła się nad ohydą życia. W *Starości...* również pojawia się szczegółowa obserwacja biologicznego procesu: we wspomnianej wcześniej scenie transformery podziwiają, w jaki sposób wyhodowany przez nie chłopiec zjada jabłko, i zachwycają



się pracą mięśni jego szczęk. Nieśmiertelny byt pragnący paść na kolana przed człowieczym „mięsem” – to obraz dość popularny w fantastyce, zwłaszcza w powieściach grozy, a jednak tak niespotykany u Dukaja. Pozbawione ciała roboty marzą o nim, opowiadają legendy o powrocie do zmysłów, szukają sposobów na stworzenie wirtualnej rzeczywistości na tyle zaawansowanej, by pomogła im przenieść się w sen o biologii. Odtwarzają rytuały ciała: seks, picie, palenie papierosów, bójki. Przypominają udręczone wampiry z klasycznych powieści, dla których jedzenie nie ma smaku, fizyczne pożądanie przestało istnieć, a człowiek z jego śmiertelnością jest piękną, kruchą zabawką, coraz bardziej odległą od nich samych.

Transformery rozważające, co w zasadzie utraciły, wspominają nie tylko przyjemności zmysłów. Uważają, że razem z ciałem umarło w nich coś znacznie ważniejszego: chęć formułowania egzystencjalnych pytań i szukania

odpowiedzi na nie. Tuż po Zagładzie miały dla nich znaczenie wątpliwości, czy są ludźmi, co stało się z ich osobowościami, czy przetrwała dusza – czymkolwiek by nie była. Po latach spędzonych w mechanicznych ciałach te pytania przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jak się okazuje, sens ich zadawania istniał tylko w obliczu śmiertelności oraz porównania z innymi bytami. W opustoszałym świecie pozbawionym kierunku, gdzie czas nie ma znaczenia, pytania stanowiące istotę człowieczeństwa rozwiewają się. Człowiek wraca do poziomu zwierzęcia, które nie kwestionuje swojego bytu i przyjmuje to, co jest. To jednak powrót tragiczny, obarczony świadomością pustych miejsc w myślach, w rozmowach, w kulturze. Takiej ani podobnej ceny nie zapłaciło społeczeństwo opisane w *Perfekcyjnej...* Tam nowy wymiar bytu generuje nowe pytania i kolejne obszary do odkrycia w sobie samych. Istnieje więc w ewoluujących postludziach wewnętrzny ruch, który transformery ze *Starości...* definiują jako życie. W robotach ruch jest jedynie pozorny. Ich cele stawiane są dla samego posiadania celów, praca nie stanowi warunku koniecznego do przetrwania, a fascynacja nią szybko się wypala. Nawet bunt i odwrót od cywilizacji tracą na znaczeniu w sytuacji, w której można bez trudu skopiować świadomość i wpisać ją w nową maszynę. Błogosławieństwo w *Perfekcyjnej...*, pozwalające zamieszkiwać kolejne ciała, w *Starości...* staje się przekleństwem. To, co zostało z człowieka po Zagładzie, nie tylko nie jest potrzebne samemu sobie – nie jest też potrzebne nikomu innemu, skoro zawsze w miejsce opornego oryginału można stworzyć kopię.

Porównanie transformatorów do tytułowych aksolotli okazuje się w zasadzie zbyt łagodne. Choć dorosła postać aksolotla jest bezpłodna tak jak ludzkość ocalała w skorupach maszyn, to jednak instynkty nadal

nakazują zwierzęciu podtrzymywać życie. Pozbawiony tego napędu, cierpiący na nawracającą depresję Grześ ostatecznie wybiera odrzucenie celów, które mogłyby utrzymywać go w istnieniu. Rozczarowany projektem odtworzenia człowieka odchodzi w samotność, nie chcąc być kreatorem nowego, dziwnego, niepodobnego do jego wspomnień świata.

Nie wszystkie transformery podążają jednak tą samą drogą, co główny bohater. Powstaje ruch o nazwie Heavy Metal, postulujący odejście od marzeń i powrocie do biologii i promujący postawę zanurzenia się w nowej kondycji. Niemniej ten ruch jest mniejszościowy, uznawany za szalony i ostatecznie przegrywa wojnę. Wygrywa nostalgia i projekt odtworzenia człowieka, co wydaje się ostatecznym dowodem na fiasco idei transhumanizmu w powieści.

Odpowiadając zatem na tytułowe pytanie: niektóre transformery śnią o Krzywej Progresu. Nigdy nie wychodzą jednak za jej próg, osiągając jedynie akceptację swojej egzystencji w nowej formie. Ogromna większość, jeśli marzy o Krzywej, to w sposób, jaki nigdy nie przyszedłby do głowy bohaterom *Perfekcyjnej niedoskonałości*: spogląda w jej dół ze smutkiem.

**BEATA ATLAS-LEŚNIEWICZ** ABSOLWENTKA  
POLONISTYKI NA UNIWERSYTECIE ŚLĄSKIM. PRACĘ  
LICENCJACKĄ NAPISAŁA O TWÓRCZOŚCI DUKAJA,  
KU ROZPACZY SWOJEGO PROMOTORA.  
MIMO ZASTRZEŻENIA, ŻE W PRACY MAGISTERSKIEJ NIE  
NALEŻY OMAWIAĆ DZIEŁ TEGO SAMEGO AUTORA CO  
POPRIEDNIO, DZIĘKI WRODZONEMU SPRYTOWI UDAŁO JEJ  
SIĘ PRZEPCHNĄĆ DUKAJA RAZ JESZCZE.  
W DO DZIŚ NIETYJAŚNIONY SPOSOB PRZEKONAŁA  
KOMISJĘ, ŻE PRZYJĘCIE JEJ NA DOKTORAT, BY MOĞŁA  
POBRUDZIĆ WIĘCEJ PAPIERU SWOIMI PRZEMYŚLENIAМИ  
NA TEMAT TWÓRCZOŚCI JACKA D.,  
JEST ŚWIĘTNA INWESTYCJA. OBECNIE BIJE SIĘ  
Z MYŚLAMI, CZY SILNIEJSZA JEST W NIEJ POTRZEBA  
NAPISANIA DUKAJOLOGICZNEGO OPUS MAGNUM, CZY  
JEDNAK POSIADANIA ŚRODKÓW DO ŻYCIA.

# Solaris

## od innej strony

twory F, Harey i kontakt

Katarzyna „Ophelia” Koćma

Wzbudzają odrazę, niepokój, przerażenie. Raz bywają normalne i swojskie, by za chwilę przytłoczyć swym niedopasowaniem. Pojawiają się nagle, zachowują wedle nieznanym nikomu reguł, a potem tak po prostu znikają. Być może stanowią wytwór umęczonej wyobraźni przybyszów, a może były tam od zawsze, niezależne od niczego i nikogo. Są realne. Są obcymi. Albo odwrotnie – stanowią część człowieka. Oto twory F, jedne z najtragiczniejszych i najsmutniejszych istot kosmicznych w literaturze, jakie poznałam.

Ci niezwykli bohaterowie przykuli moją uwagę, gdy przed laty pisałam pracę poświęconą *Solaris*. I chociaż recepcja powieści przedstawia się imponująco, lemologów przede wszystkim interesuje albo samotność człowieka w kosmosie, albo kontakt z radykalną obcością (w tym wypadku: planetą-oceanem), natomiast znaczenie tworów F czasami jest bagatelizowane.

Oczywiście istnieją badacze, którzy poświęcili im sporo uwagi, skupiając się

zwłaszcza na Harey – żonie głównego bohatera, Krisa Kelvina, najważniejszej spośród tych istot. Dziewczyna uważana jest przez krytyków za twór naturalny ściśle naśladowający twór sztuczny, w którym zawiera się dziewiczność Oceanu i który ewoluje od Harey „o” (osoba ziemska) do Harey „s” (istota powstała na Solaris)<sup>1</sup>. Twory F zaś nie są ludźmi i stają się przedmiotem rasizmu<sup>2</sup>. Harey można postrzegać też jako symboliczną kobietę – emanację Oceanu oraz typ romantyczno-demoniczny<sup>3</sup>, kogoś, kto nie godzi się na podmiotowość i chce ją w sobie unicestwić<sup>4</sup>, a nawet figurę moralnego dylematu,

- 1 K. Steinmüller, *Personoidy u Lema*, przeł. J. Piątkowska, w: *Lem w oczach krytyki światowej*, red. J. Jarzębski, Kraków 1989, s. 99–100.
- 2 M. Oramus, *Bogowie Lema*, Warszawa 2006, s. 193–196.
- 3 M. Geier, *Fantastyczny ocean Stanisława Lema (Przyczynek do semantycznej interpretacji Solaris)*, przeł. R. Wojnakowski, w: *Lem w oczach krytyki światowej*, dz. cyt., s. 142–217.
- 4 R. Handke, *Ze Stanisławem Lemem na szlakach fantastyki naukowej*, Warszawa 1991, s. 98.

paradoks, ontologiczny skandal<sup>5</sup>. Być może jest to także zbiorowa projekcja Solaris<sup>6</sup> lub cegiełka wewnętrzznego kodu Kelvina<sup>7</sup>.

Rzecz jasna, nie są to wszystkie interpretacje, wybrałam jedynie kilka najbardziej interesujących, najdziwniejszych lub takich, które w jakiś sposób do mnie (mam nadzieję, że także do Was) przemawiają. Sądzę jednak, że większy pożytek ze zrozumienia postaci Harey i pozostałych twórców F odniesiemy, gdy przyjrzymy się, jak działają bohaterowie bezpośrednio w powieści.

Gdzieś w kosmosie przyszłości wisi spokojnie (no dobrze, jej ruch orbitalny jest chaotyczny i nietypowy) zagadkowa planeta, obłana w całości oceanem. Lata świetlne od niej znajduje się stara dobra Ziemia. Jak to w wielu utworach science fiction bywa (i zapewne byłoby tak w rzeczywistości), odkrycie tajemniczego obiektu musi budzić jakiś rezonans, zamęt i generalne poruszenie. Zapewne ludzie doszli już ze sobą do ładu w kwestiach rasowych czy seksualnych i zaczynają się nudzić, więc tym chętniej wyruszają w kosmos w poszukiwaniu impulsów do działania, wiedzeni nadzieją napotkania skrajnej odmienności. Dlatego natrafisz na planetę, która zdaje się żywa, budują stację kosmiczną. Mijają dziesięciolecia. Solaris, bo taką nazwę nadano obiektowi, przyjmuje kolejnych przybyszów z dalekiego Układu Słonecznego, zaś półki biblioteczeki solaryjskiej wzbogacają się o wielotomowe opracowania fenomenu Oceanu, na którego powierzchni rozgrywają się dotąd nieznanne

fizyce zjawiska. A ponieważ stacja jest stosunkowo mała, to i naukowców jest zawsze za mało.

Puste, zmechanizowane wnętrze, ciasna przestrzeń, kilkoro obcych sobie ludzi, monotony krajobraz, brak kontaktu z macierzystą planetą, osamotnienie. To musi skończyć się albo zbrodnią, albo szaleństwem (a najprędzej i jednym, i drugim). Ale nie chodzi o to, by szukać u bohaterów neurozy, by potraktować ich psychoanalizą i rozstrząsać kompleksy. Przyjmijmy, że twory F istnieją realnie (co nie wyklucza, że także symbolicznie, lecz nie o tym traktuje ten esej). Zostały kiedyś zbudane przez solarystów, a teraz czekają na dogodny moment, by do nas „przemówić”. I oto zjawia się protagonista, Kris Kelvin, na którego oczach będą odtąd rozgrywać się wszystkie te zjawiska, które już opisano, a on sam (nie zawsze świadomie) wygeneruje te jeszcze nieopisane.

Snaut, Sartorius (oraz ciało Gibariana) po stronie człowieka. Solaris po stronie obcego. Tak powinien wyglądać przegląd bohaterów w momencie przybycia na stację Kelvina. Problem w tym, że okazuje się, iż Gibarian nie żyje, Sartorius zaś rozmawia z Krisem tylko przez zamknięte drzwi. Szybko, jakby dla uzupełnienia tych braków, zjawiają się dwie odmienne istoty. Są to tzw. goście lub inaczej – twory F. W *Solaris* mamy ich czworo. W dzienniku pewnego zmarłego już badacza pojawia się wizja gigantycznego dziecka dryfującego po Oceanie. Kelvin osobiście napotyka też wielką Murzynkę (tak nazywa ją narrator), która nadal żyje, choć istnieje w odłączeniu od Gibariana. Trzeci gość pozostaje anonimowy, nigdy tak naprawdę go nie poznajemy.

Analizując zachowania twórców F, a także uwagi i rozmowy bohaterów, można dojść do następujących wniosków: goście pojawiają się tymczasowo, dopóki dana

5 N. Pośpieszalska [H. Eilstein], „Głos Pana”, czyli zwierciadło z Nieba, w: „Nurt” 1969, nr 8, s. 37 za: M. Plaza, *O poznaniu w twórczości Stanisława Lema*, Wrocław 2006, s. 389.

6 I. Csicsery-Ronay Jr., *Książka jest obcym: O pewnych i niepewnych interpretacjach Solaris Stanisława Lema*, przeł. T. Rachwał, w: *Lem w oczach krytyki światowej*, dz. cyt., s. 218–247.

7 J. Jarzębski, *Wszczęświat Lema*, Kraków 2002, s. 125.

osoba nie otrzyma „towarzysza”. Nie wiadomo, jak będzie on wyglądał, nigdy nie słyhać ich głosów (z wyjątkiem Harey, która mówi), a reguły, jakim podlegają, są sprzeczne (Murzynka spaceruje swobodnie po stacji, podczas gdy Harey nie może opuścić Krisa). Tworów F nie można zabić (zbudowane są z układów neutrinowych, dlatego potrafią regenerować się w bardzo szybkim tempie). Przybierają antropomorficzne kształty. Niektóre z tych cech jednak zupełnie nie pasują do najdoskonalszego gościa, jakim jest Harey.

Harey pojawia się znienacka, pozornie rzeczywista, ziemska, sensualna, mająca wciąż dziewiętnaście lat, ze śladem po narkotycznym (popęłniła samobójstwo). Okazuje się jednak, że dziewczyna czuje się zdezorientowana, milczy, nie wie, kim jest. Weszła, gdy Kris spał. Wie, że nie przebywa na Ziemi,

lecz nie do końca pojmuje sytuację, w jakiej się znalazła. Istnienie tak Solaris, jak i własne uważa za coś oczywistego. „Wydawało mi się, że to Harey uproszczona, zawężona do kilku charakterystycznych odczuć, gestów, ruchów” – zauważa Kris. Protagonista nie wie, czego może się po niej spodziewać, Harey jednak pewne rzeczy instynktownie przezuwa, gdyż posiada ludzki model zachowań. Jej człowieczeństwo jest maską, a za nią kryje się obcość, którą bohaterka od początku sobie uświadamia. Podział Steinmüllera na Harey „o” i Harey „s” wydaje się wyjątkowo poręczny, dlatego i ja będę posługiwała się tymi kategoriami.

Pierwszy symptom odmienności Harey „s” od Harey „o”, to fakt, że bohaterka zachowuje się napastliwie wobec byłego kochanka. O nie, to nie może być cicha i spokojna Harey. Takie zachowanie podyktowane jest jednak okolicznościami, o których Kelvin na razie nie wie. Z tajemniczych powodów dziewczyna nie może pozostawać w oddaleniu od niego, ciągle musi go widzieć i słyszeć. Kris boi się jej, w odruchu paniki chce ją związać, mimo że przybyszka nie robi mu nic złego. Perspektywa obecności istoty, o której nic nie wie, staje się dla Kelvina pułapką. Mężczyzna czuje się osaczony i być może dlatego podświadomie wyobraża sobie, że jedyną ucieczką od gości jest śmierć. Nietypowa sytuacja ujawnia istniejące w nim mroczne, niskie instynkty. Pod wpływem impulsu realizuje plan uśmiercenia Harey. Podaje jej dużą dawkę proszków nasennych, powtarzając schemat śmierci sprzed lat. Harey jednak nie umiera, lecz regeneruje się.

Od tego momentu ewolucja Harey zaczyna postępować coraz szybciej. Przeżywszy własną śmierć, kobieta odradza się jako nowa osoba, zyskująca z każdą chwilą więcej samodzielności i poczucia odrębności. Nową Harey zdradza fakt, że zna niejakiego Pelvisa, który





powrócił z wyprawy kosmicznej trzy lata po jej śmierci. W tym momencie rozwoju fabuły zarówno bohaterowie, jak i czytelnicy zaczynają dostrzegać, że rzeczywistość, jaką znali i jakiej (w jakimś stopniu) ufali, przestaje się kleić, rozpada się, a przynajmniej dynamicznie przekształca w coś obcego. Są to proste elementy, być może nie od razu zwróciliśmy na nie uwagę. Na przykład Harey cały czas nosi sukienkę, w której przybyła na stację (miała ją na sobie w dniu samobójstwa), i nagle widzimy, że ubranie nie ma zamka ani guzików, nie można więc się go pozbyć ani wymienić na inne. Sytuacja ta, pozornie błaha, uwidoczniła złożoność postaci. Z jednej strony to przecież w dalszym ciągu ukochana Kelvina, do której ten jednak nie ma dostępu (chcąc odbyć z nią stosunek płciowy, musiałby zerwać sukienkę, a więc dokonałby symbolicznego, a pewnie także realnego gwałtu), jednak Harey to także

nowa, odrodzona osoba, nigdy nie tknięta przez Krisa, zarówno w sensie fizycznym, jak i na płaszczyźnie emocji.

Ta scena uświadamia nam, jak bardzo obca jest Harey. W dosłownym znaczeniu – zna Kelvina zaledwie od kilku godzin, więc nie miała czasu wypracować z nim bliskości emocjonalnej od postaw, ale także dla siebie samej, gdyż właśnie się narodziła. Brakuje jej wspomnień (oprócz tych, które narzucił Ocean, lecz są to sfabrykowane wspomnienia Harey „o”, więc nie powinny się dla nas liczyć ani trochę), ale posiada już pewien ogląd sytuacji.

Co ważne, mimo niepewnego statusu ontologicznego, mimo zagubienia, utraty tożsamości i szczątkowej świadomości Harey „s” (Harey „o” prawdopodobnie też) góruje moralnie i emocjonalnie nad Krisem Kelvinem: nie kieruje się instynktem, jak to czyni partner, dąży też do samopoznania, wybierając różne, czasem dyskusyjne warianty rozwiązań. Kris natomiast przejawia upodobanie do destrukcji – niszczy każdą „kopię” Harey, w brutalny sposób zabijając je lub swoim zachowaniem doprowadzając do samobójstwa.

Nowa Harey w końcu zostaje wysłana na orbitę okółosolaryjską. Czytelnik nie dowiadyuje się ostatecznie, co się z nią stało, a Kelvin przypuszcza, że umarła, nie mając z nim bezpośrednio kontaktu. Tak ekstremalne doświadczenie po raz pierwszy ujawnia jej mroczną stronę: dziewczyna nie wydaje się już łagodną, bierną istotą, lecz objawia nadludzką siłę, podejmując walkę o własne życie. Ledwie udaje się zamknąć ją w rakiecie. Maszyna zaczyna dygotać, a Kris wyłącza głośnik.

Nowa Harey jest już prawie człowiekiem, a przynajmniej decyduje się na świadomą imitację zachowań ludzkich. Odbywa z Krisem stosunek seksualny, zaczyna pić wodę

i spożywać niewielkie ilości pokarmu, uczy się zapadania w sen (wcześniej jej organizm nie wykazywał żadnych potrzeb fizjologicznych). Kris widząc, jak wielka przemiana dokonała się w gościu, z początku traktuje ją po partnersku, lecz szybko wkracza w etap obojętności i decyduje się na ponowną próbę uśmiercenia towarzyski – usiłuje zamknąć Harey w łazience. Kobieta początkowo dusi się, lecz w końcu wyważa drzwi i błyskawicznie odzyskuje zdrowie. Trzeba jednak zwrócić uwagę, iż regeneracja Harey jest całkowicie ludzka, choć następuje w przyspieszonym tempie – jej rana na rękę (wynik „walki” z drzwiami) najpierw się zasklepia, następnie pojawia się blizna, która blednie, aż nie pozostawia po sobie śladu. Wobec tego fenomenu Kris bada krew przybyszki i ku własnemu zdumieniu odkrywa, że najmniejszą cząsteczką jej organizmu okazuje się nie atom (jak u ludzi), lecz neutrino. Pod wpływem kwasu element ten ulega rozkładowi, lecz szybko się regeneruje. „Rodzi się” nowa Harey.

Świadomość uczulwieczonej Harey „s” stanowi konglomerat wspomnień Harey „o” oraz odbicie tego, co dzieje się z Kelvinem. Wśród nowych cech pojawiają się potrzeby izolacji i eskapizmu. Dziewczyna autentycznie rozpacza, bo chce dokądś pójść, lecz nie jest w stanie (nie wiemy dokąd, ale domyślamy się, że bardziej od celu liczy się fizyczna możliwość przezwyciężenia własnych ograniczeń). Pragnienie to można interpretować na wielu płaszczyznach – przede wszystkim to niemożność oddalenia się od partnera. Harey czuje się sfrustrowana, gdyż nie pojmuje, dlaczego musi współistnieć z Kelvinem. Nawet jeśli na swój sposób się do niego przywiązała, nie chce, by ta więź sprowadzała się do nieustannej obecności w pobliżu kochanka – jak każdy człowiek odczuwa potrzebę samodzielności. Z drugiej strony ma świadomość, że żyjąc na

Solaris, zniewala Krisa swą osobą. Tęskni za przestrzenią, nowymi wrażeniami i bodźcami, samorozwojem (o tym jednak będzie mówić dopiero kolejna kopia).

Co więcej, w głowie Harey zaczynają rodzić się dziwne myśli, których źródła nie zna. Wydaje jej się, że coś ją otacza, sięga do jej wnętrza, lecz swych wrażeń nie potrafi nazywać ani nawet sprecyzować. Autorefleksja pozwala bohaterce upewnić się też co do jej uczuć w stosunku do Kelvina. Gdy kobieta wyznaje mu miłość, Kris z trudem powstrzymuje krzyk. Rozumie, że przemawia do niego nie Harey – była żona, lecz nowa, świadoma siebie istota. Dotychczas antypatyczny, okrutny Kelvin również zakochuje się w nowej Harey i po raz pierwszy postanawia ją nie zabić, a... ratować. Jego sposób myślenia ulega przewartościowaniu – orientuje się, że na stacji to właśnie obcy, nie człowiek, jest jedyną istotą godną zaufania.

Nowa Harey, już prawie całkowicie ludzka, doskonale wie, że z pierwotną kopią łączy ją tylko cechy fizyczne, jednak mimo to nadal nie potrafi zdefiniować siebie samej. Wpada w szal, gdyż nie wie, kim jest, a jednocześnie wie, kim nie jest. Marzy o nicości. Pragnie też, aby ktoś dzielił jej los. Znajdujemy się już prawie na końcu Lemowskiej opowieści i zdajemy sobie sprawę (a wraz z nami Harey i Kris), że twory F są ogniwem łączącym Ocean z ludźmi. To także pora, by wyraźnie wyartykułować, że nie, absolutnie nie, całkowicie nie i jeszcze raz nie – nie zgadzam się z opinią większości krytyków i literaturoznawców, jakoby *Solaris* opowiadała o niemożności kontaktu przez wielkie „K”. To przecież historia o kontakcie niechcianym, wielokrotnie nawiązywanym i wielokrotnie traconym (oraz całkowicie świadomie odrzucanym, o czym będzie jeszcze mowa).

Harey, wiedząc już, że wywodzi się z Oceanu, nie z psychiki Krisa (choć to też sprawa dyskusyjna), czuje się instrumentem do kontaktu, nie zaś podmiotem. Nie jest nawet obcą, jest narzędziem. Gdyby Kris okazał się pochodną Solaris, pewnie Harey czułaby się lepiej. Ale Kris wciąż pozostaje taki sam, a Harey ewoluuje szybciej, niż jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. „To prawda, nie jesteś zupełnie taka jak ja. Ale to nie znaczy, że jesteś czymś gorszym. Przeciwnie (...)” – próbuje ją uspokoić Kelvin. „Może twoje zjawienie się miało być torturą, może przyśługą, a może tylko mikroskopowym badaniem. Wyrazem przyjaźni, podstępny ciosem, może sztyrdstwem? Może wszystkim naraz – albo – co wydaje mi się najprawdopodobniejsze – czymś całkiem innym, ale co mnie i ciebie mogą w gruncie rzeczy obchodzić intencje naszych rodziców, jakkolwiek byli od siebie różni?” – dodaje.

Wiara w owo stwierdzenie, prostoduszne i naiwne, zupełnie niepasujące do dotychczasowego wizerunku solarysty, utwierdza Harey w bezcelowości poszukiwania odpowiedzi na elementarne pytania metafizyczne. Właśnie ta postawa – zawierzenie rozumowi bez odwoływania się do wartości wyższych, bez zgłębiania tajemnic egzystencji, pchnęła Harey do ostatecznego samobójstwa. Od tego momentu potęgują się strach i wstyd, emocje dominujące w końcowym okresie życia bohaterki. Dopełnia je znajome już poczucie stałego zamknięcia w ograniczonej przestrzeni, uwięzienia. Wszystko wskazuje na to, że stacja to jedyne miejsce, gdzie Kelvin i Harey mogą żyć razem. Snując plany na przyszłość, marzą o podróży na Ziemię, lecz żadne z nich w gruncie rzeczy nie wierzy w taką możliwość. A nawet jeśli – wisi nad nimi widmo wiecznej nierozłączalności...

Chociaż Harey już nie ma, umarła, i z tą bolesną świadomością za każdym razem,

znowu i znowu, rozpoczynam lekturę Lema, to właśnie ona jest dla mnie kluczem do zrozumienia wymowy *Solaris*. Najważniejsza bohaterka i najważniejsze medium łączące Ocean z ludzkością. Jej status oraz pozycję pozostałych tworów F można interpretować przy pomocy klucza teoretycznego – *gender studies*, psychoanalizy czy postkolonializmu. Można i częściowo nawet trzeba, ale warto też spojrzeć głębiej (o czym za chwilę, uporajmy się najpierw z tym, co „ziemskie”).

Twory F to ludzka reprezentacja wykluczonych. Popatrzmy, kto jest na stacji – sami mężczyźni. A teraz – kim są goście? Czarnoskóra kobieta, dziecko (groteskowe, nietypowe, zdeformowane), ktoś, kogo nie widać, oraz uległa, zahukana dziewczyna, doprowadzona przez swojego partnera do samobójstwa. Twory F w fizycznym wymiarze są ludźmi, ale takimi, których się wstydzimy, których nie oswoiliśmy dostatecznie lub których odrzucamy. Czarnoskórzy, dzieci, niepełnosprawni, kobiety. Nie było ich na stacji, nie przybyli jako badacze i kosmonauci, dlatego *Solaris* przypomniał (lub przypomniła – nie jestem pewna, czy należy pisać o planecie czy o Oceanie), że istnieją i że ta stacja, ta platforma kontaktu, także powinna być ich udziałem. Bo to nie człowiek chce kontaktu. Wygląda na to, że ludzkość nawet go nie chce – że nie doszła jednak do ładu ze sobą w kwestii rasy czy płci, raczej uciekła od problemu, licząc na to, że spotkanie z radykalną obcością jest łatwiejsze. U Lema to właśnie planeta-Ocean domaga się porozumienia, człowiek zaś okazuje się stroną kontakt odrzucającą.

*Solaris* to historia opresji ludzi wobec kogoś, kto jest odmienny, to także historia osvajania tej odmienności. Harey od początku mogła być człowiekiem lub do końca zachować swą nieludzką formę. Zastanówmy się jednak, dlaczego tak się nie stało.

Twory F obrazują historię dochodzenia do świadomości. Jest ich niewiele, lecz wystarczająco, by nie komplikować niepotrzebnie fabuły i nie wyprowadzić czytelnika na interpretacyjne manowce. Inaczej sama Harey byłaby po prostu kosmiczną osobliwością. Przerysowanie cech fizycznych – monstrialność, nietypowość, dziwny ubiór czy zachowanie także pełnią swą funkcję. Twory F przypominają roboty, które udoskonalała się od prostych mechanicznych obiektów do najdoskonalszego – o świadomości i tożsamości zbliżonych do ludzkich. Ale jak w przypadku humanoidnych robotów, spotkanie z tworamii F może wywoływać w nas tzw. efekt *Uncanny Valley* – doliny niesamowitości. Niepokój, niechęć, brak komfortu. Jednak twory F to coś więcej niż inny, różniący się od nas, ale mimo wszystko człowiek. Gdyby to byli ludzie, *Solaris* stanowiłoby tylko gatunkową konwencję, opowieść genderową lub postkolonialną oblectoną w ramy science fiction.

Te istoty w pewien sposób mogą oczywiście stanowić metaforę egzystencjalnego zagubienia człowieka, który nie wie, skąd się wywodzi i dokąd zmierza (lub czy w ogóle dokądś zmierza). Może to być także alegoria realnego uwikłania (np. w nałóg) czy uwięzienia i kontroli (np. system totalitarny). Ale przypadek Harey jest o wiele bardziej dramatyczny – bohaterkę przypisano wbrew jej woli do dwóch światów i nie może nigdy wybrać. Człowiek, nawet ten wykluczony i poddany opresji, zawsze ma choć ograniczony wybór. Może wierzyć w siłę wyższą lub taką wiarę odrzucić. Może zdecydować się na ucieczkę, samobójstwo lub wybrać życie w niewoli. Może ukrywać własną tożsamość lub narazić się na prześladowania poprzez jej ujawnienie. Ale Harey nie dano żadnego wyboru. Jako wspólny wytwór Kriisa i Oceanu podlega transformacji z dwóch

stron. Świadomość ewolucji nie jest dla niej oczyszczająca, gdyż przybliży ją do konkluzji, że tak naprawdę nie posiada ani tożsamości, ani nawet poczucia własnego „ja”.

Ramy ewolucji, które wyznaczyłam Harey, są oczywiście mocno umowne. Harey, inaczej niż ludzie, nie może zachować dwóch tożsamości, nie może wybrać częściowo ani całkowicie jakiejś jednej. Ostatecznie nawet jej samobójstwo to przypadek, a więc namiastka wyboru. Harey zawsze jest kimś innym, zawsze jest obca wobec siebie samej, wobec Kriisa i wobec Solarisa, a jednocześnie zawsze podlega komuś lub czemuś innemu. Jest zawsze sobą i zarazem nigdy sobą nie jest. Istnienie Harey nie ma wyraźnego celu ani sensu.

Opowiadając o relacji Kriisa z Harey, Lem pokazuje nam nie niemożność kontaktu z radykalnie obcym, ale kontakt niechciany, zainicjowany nieświadomie przez nas samych lub przez tę drugą stronę. Być może także kontakt z góry narzucony, którego nikt tak naprawdę sobie nie życzy. To także relacja wielokrotnie odrzucona (przez Kelvina i innych badaczy, przez Harey i twory F, przez Ocean jako zbiorową świadomość) ze względu na wzajemne uprzedzenia, ale i okrucieństwo po stronie ludzi. Dlatego, choć *Solaris* zawsze będzie kończyło się tak samo i Kriis Kelvin na wieki zastygnie z wyciągniętą w stronę Oceanu dłonią, która nigdy nie zostanie zmoczona, pamiętajmy, że mimo wszystko „mamy go, ten Kontakt”. To nic, że nie dojrzelismy.

#### KATARZYNA „OPHELIA” KOĆMA

ZAANGAŻOWANA CONRADYSTKA, SKOŃCZONA  
POSTMODERNISTKA, ROZMARZONA HIPPISKA.

WYZNACZNY „DESOLATION ROW” BOBA DYLANA.

KOLEKCJONUJE OWOCOWE HERBATY I LAKIERY DO  
PAZNOKCI. CZYTA TAK SZYBKO, ŻE NAJCHĘTNIEJ

PRZYŁĄCZYŁABY SIĘ DO AKADEMII X-MENÓW.  
DWA LATA TEMU ROZPOCZĘŁA PISANIE SZESZCIU

POWIEŚCI. JAK DOTĄD, ŻADNEJ NIE SKOŃCZYŁA...

# Czarna fantastyka

## czyli robak się łągnie i w bujnym kwiecie

Aleksandra Miaskowska

Co jest romantyczność...

...zastanawiał się w swojej rozprawie z 1818 roku *O klasycyzmie i romantyczności* Kazimierz Brodziński. I dziś można by zadać sobie to pytanie, choć wydaje się, że upłynęło dość czasu od opublikowania sepek różnorodnych wyjaśnień. Zdefiniowanie romantyzmu wciąż nie należy do rzeczy łatwych, podobnie jak

niełatwo zrobić to z czarnym romantyzmem. Wyrosły na amerykańskiej fascynacji transcendentalizmem młodszy krewniak gotycyzmu czerpał garściami z twórczości Williama Shakespeare'a i lorda Byrona. Wy różniły go jednak przede wszystkim noc, gorączka, frenezja, bijący z kart niepokój, szaleństwo i odkrywanie w świecie – a przede wszystkim w człowieku – namiętności, które doprowadzały do zguby jeszcze silniej niż postrzegania świata na sposób werterowski.

Antropomorficzne zło – przedstawiane pod postacią diabłów, czarownic i wszelkiej

*Maria* – powieść poetycka autorstwa Antoniego Malczewskiego, powstała na kanwie faktycznego morderstwa dokonanego na ciężarnej szlachciance Gertrudzie Komorowskiej, pierwszej żonie magnata Szczęsnego Potockiego.

Poeta przeniósł akcję utworu do XVII wieku, osadzając wydarzenia na bliskiej swemu sercu Ukrainie. Fabuła traktuje o nieszczęśliwej miłości Wacława i tytułowej Marii, których rozdziela wojna i niezgoda między młodzieńcem a jego ojcem.

maści potworów – stanowiło dla czarnoromantyków nieodłączną część świata przedstawionego. Natura, w przeciwieństwie do wizji transcendentalnej i sposobu przedstawiania jej chociażby przez wileńskich romantyków, nie budziła pozytywnych skojarzeń, a grozę. Człowiek jako poszukiwacz prawdy o sobie oraz otoczeniu zdolny był wydoby-

wać ją z trzewi świata, ale ani sama pogoń, ani też dotarcie do sedna zagadnienia nie dawały mu szczęścia. Echa pesymistycznej wizji powracały u kolejnych twórców w nowej, często zupełnie innej formie. Co zatem idzie, czarny romantyzm jako styl, bo w takich kategoriach należy na niego spojrzeć, nie stał

się jedynie reliktem przeszłości – w polskich fantastów wrósł bowiem korzeniami.

Bezsprzecznym atutem polskiej fantastyki jest brak jasnego podziału na dobro i zło – co mocno odróżnia ją od twórczości autorów zachodnich. Nie stanowi to jednak fenomenu lub cechy (pod)gatunkowej,

a dominantę, tego, co charakterystyczne dla literatury grozy – do której autorów zalicza się czarnoromantyka Poeo i jego następców – a co u nas zostało zaadaptowane także przez pozostałe gatunki. Zupełnie jakby ten styl, tak odmienny od wzorców kształtujących się za sprawą szkoły wileńskiej i samego Mickiewicza, nie mogąc znaleźć sobie odpowiedniej niszy wówczas, święcił triumfy dopiero teraz.

Wyrośla z tradycji tamtych czasów literatura niesamowitość inaczej jeszcze odbija się echem w polskim fantasy. Wczesnoromantyczne upiory i warujący na ukraińskich stepach Kozacy-demony silniej przemawiają do współczesnych odbiorców niż filozofia i martyrologia. Poszukując więc punktów wspólnych między fantastyką czasów Mickiewicza i współczesną, należałoby sięgnąć do bijącej z kart historii melancholii nadwiślańskiej krainy, którą to, za przyzwoleniem poetów, zamieszkały personifikacje żądz oraz strachów. To one wciąż na nowo oddziałują na fascynatów popromantycznej i popsłowiańskiej kultury.

Polskie fantasy wyrosło z narodowej siełankowości (by nie napisać: przaisuści), z niegotyckiego serca, jednocześnie eksploduje z powodzeniem zło i szaleństwo, którymi karmiły się literatura i kultura pierwszej połowy XIX wieku na zachodzie Europy. Zarówna ona, jak i polski czarny romantyzm zyskały swych własnych piewców: Malczewskiego, Goszczyńskiego, Zmorskiego, a także wczesnego Krasińskiego. Szkoła ukraińska miała autorów zdolnych powoływać archetypy do dziś obecne w polskiej literaturze

fantastycznej. Można by sobie zadać pytanie o właściwość tej relacji, patrząc z perspektywy czasu na legendę, od której się zaczęło, mianowicie na *Strzygę*, spisana przez Zmorskiego i następnie

przełożoną z naszego na nasze przez twórcę *Wiedźmina*.

*Kto chce zrozumieć poetę, powinien kraj jego poznać...*

...cytował Goszczyński w objaśnieniach do *Zamku kaniowskiego*. Abstrahując jednak od źródła

konkluzji, jej sens można przenieść na jeszcze inną płaszczyznę. Kiedy wyrasta się z takiej tradycji kulturowo-literackiej, jaką nam sprezentował wiek XIX, nietrudno odnaleźć podobieństwo między tym, co fascynowało wówczas, i tym, co obecnie wykorzystuje się w polskim fantasy. Kontynuując rozpoczętą wówczas tradycję hołubienia cnotom, które w oczach klasyków uchodziły za niegodne, otworzyliśmy drzwi dla gatunków i motywów obecnych na taką skalę jedynie w rodzimej fantastyce. Ta inność względem zachodnich twórców i jednoczesna bliskość obu kultur mogą być odpowiedziami na pragnienia masowego odbiorcy.

Rehabilitowane przez polskich romantyków średniowiecze i jego zgoła inny charakter niż w przypadku zachodnioeuropejskiego, tak wówczas, jak i obecnie, stanowi podwaliny dla wielu światów fantasy. W nadwiślańskiej literaturze romantycznej częściej jednak niż faktyczne wieki średnie wybierało się na wzór świata przedstawionego I Rzeczpospolitą. Wszakże to był dla nas czas wielkich zwycięstw, ogromnej roli kultury sarmackiej i królowania rycerskiego etosu, a także okres kształtowania się

mesjanizmu. Współcześnie podobna tendencja bierze się stąd, że nie istnieje fantastyka bardziej polska ani do takowej aspirująca. Nie zapomina ona o drugim z symboli czasów, do których chętnie wracano w XIX wieku i coraz chętniej wraca się obecnie – romantycznym archetypie Kozaka.

Okres świetności I Rzeczypospolitej i jego przedstawiciele pojawiają się w literaturze fantastycznej, nazywanej często fantastyką szlachecką lub sarmacką, od lat. Chętnie sięga się po wątki historyczne i nazwiska z dziejów Polski. Już Malczewski postanowił przetworzyć faktyczną zbrodnię dokonaną na Gertrudzie Komorowskiej w roku 1771 na swój sposób, przenosząc czas akcji wiek wcześniej. Owiane złą sławą postacie historyczne oraz wydarzenia, które w narodzie i czytelniku budzą niepokój, przetwarzano z powodzeniem zarówno wówczas, jak i obecnie. Zaludnione nieprzyjawnymi stworami i demonami świata przemawiają do odbiorców. Dzieje się tak chociażby w *Diablu Łańcuckim* Komudy. Z kolei znana wszem i wobec legenda o Elżbiecie Batory stała się inspiracją dla wczesnej twórczości Krasińskiego, który w *Mściwym karle* wykorzystał rzekome mordercze praktyki szlachcianki.

*Nie uczyniłeś tego dla zapobieżenia nikczemności, ale dla prywatnej zemsty, która spala twą duszę...*

... jak na istic byronicznego bohatera przystało. Pragnienie zemsty rozbudza przecież nawet ostygłe serca poległych rycerzy.

Targani sprzecznymi emocjami, toczą wieczne boje z wrogiem, by sobie samym wychodzić naprzeciw w najtrudniejszym starciu. Równie są ich losy brutalne, co podówczas, a wątek złego pana szlachcica i jego poddanego jest tak samo popularny. Powołuje się na kartach powieści fantastycznych do życia skłóconego z niegodziwym światem indywidualistę jako tego, który zmierzy się ze złymi mocami. Tak było w *Marii*, tak jest i w *Wilkozakach* Dębskiego, w *Zamku kaniowskim*, w *Mściwym karle* czy w *Diablu Łańcuckim*. Centrum polityki niejednokrotnie stanowi Ukraina i jej wyjątkowy, przepelniony niesamowitością krajobraz. Przez tamtejsze stopy pędzą u Dębskiego Kozacy w skórach wilków. Wiodą oni życie równie niepokorne, co wypełnione przemocą. Gdziekolwiek się pojawiają, tam ujawnia się także ich dzika natura.

Goszczyński, tworząc bliską swoim czasom postać w realiach zmitologizowanej

*Mściwy karzeł i Masław, księżę mazowiecki* – powieść Zygmunta Krasińskiego, utrzymana we frenetycznej stylistyce. Opowiada historię młodego rycerza imieniem Jordan, który, aby uratować ukochaną, zmuszony jest stanąć naprzeciw okrutnej władczyni zwanej Joanną z Gozdawy oraz jej kochanka, księcia Masława. Prowadzony przez złośliwego karła Gondę, odkrywa mroczny sekret ukryty w podziemiach zamku – szczątki ofiar, w których krwi lubuje się Joanna. Inspiracją do napisania *Mściwego karła* była legenda o wampirzej naturze i krwawych rytuałach węgierskiej arystokratki Elżbiety Batory.

I Rzeczypospolitej, dał przykład zabiegu, który stosuje się również i dziś. Pragnął przez to pokazać nie tylko chwałę, ale też dzikość i niesprawiedliwość losu. Iście czarnoromantyczne pragnienie zemsty i antybohaterstwo – to nieodłączne atrybuty Kozaka Nebaby. Współlistnieją tak samo, jak uduchowiona natura stepu i krain zaludnionych potworami na po-

trzeby gatunku. Na długo zostają w pamięci rozgrywane się w nocy widowiska, pohukiwania sów i wisielce tańczący na drzewach razem z listowiem. W końcu kiedy rozum

śni, budzą się potwory, a nie ma na to właściwszej pory, niż zmierzch, zapadający nad basztami nawiedzzonego zamczyska. Same zamki i pogrążone w mroku ruiny bezustannie pojawiają się w wymienianych wyżej utworach, a nawet można je znaleźć w zgoła innym tematycznie, ale zbliżonym do nich nastrojem *Śludze Bożym Piekary*.

*I te ruiny twierdzy straszły ze szczytu...*

...w których osadzona została główna akcja opowiadania *Wiedźmin*. Utwór, będący sztandarowym tytułem polskiego fantasy, jest niczym wężą jak przepisaniem na nowo znanej od wieków legendy, która staje się baśnią właściwą współczesnej moralności, potrzebie rozrywki oraz porządkowi świata. Za pomocą owej historii Sapkowski wchodzi w polemikę z romantyczną liryką ludową, przeciwstawiając własnej wizji motywy znane z podań ludowych. W spisanej przez Zmorskiego historii to szlachetny sierota pokonuje bestię, by otrzymać godną baśniowego zwycięzcy nagrodę. W opowiadaniu Sapkowskiego natomiast zająć musi się tym zawodowiec i to nie byle jaki, bo przedkładający nad rękę królowy spokój sumienia i godną zapłatę – królowy zresztą nikt nie zamierza mu ofiarować, na przekór legendom o szewczykach. Obecna w *Wiedźminie* ironia właściwsza byłaby więc antybaśni. Umowność czasu i czarno-romantyczna niepewność pozostają jednak niezmiennie. Niestalość losu, ułuda zwycięstwa i urwane zakończenie – ostatnie słowo zostawia się połączanej frenetyczną wizją wyobraźni czytelnika.

*Ślawianie, my lubim sielanki...*

...podobnie jak lubimy poszukiwać w gminnych pieśniach i podaniach tego, czego miejska kultura dać nam nie potrafi. Antagonizowana Wyzima, do której przyjeżdża Geralt, ma w sobie ducha zdegenerowanej metropolii. Im wyżej, tym bardziej zepsuta się wydaje. Zakazana miłość króla i jego siostry stała się podstawą nie tyle do snucia opowieści, co do analizy ludzkich zachowań. Pogrążeni we własnej degeneracji, bezsilni wobec konsekwencji czynów lu-

*Strzyga* – legenda o pięknej królownie zaklętej w demona, czyli tytułową strzygę, spisana oraz literacko przetworzona przez folklorystę i romantyka Romana Zmorskiego. Historia opowiada o szlachetnym sierocie Marcinie, który dzięki czystemu sercu i odwadze decyduje się na odczarowanie królowy poczętej z kazirodzkiego związku króla Goździka i jego siostry. Po zdjęciu klątwy Marcin poślubia dziewczynę i u jej boku zasiada na tronie.

dzie są w wymienionych wyżej utworach wszechobecni. Celem staje się więc nie podziwianie szlachetnego bohatera z gminu, a próba pojednania z postacią, będącą jego przeciwieństwem. Czy Nebaba, który uwiódł i usiłował udusić szaloną Ksenię, zasługiwał, by skonać na palu?

Czy Ostrit, dotknięty do żywego postępkiem króla Foltesta, sprawiedliwie poniósł śmierć z ręki potwora, którego nieumyślnie pomógł stworzyć? Bez względu na charakter odpowiedzi, poetyckość tych zgonów równa się ich brutalności.

*Chodź więc, a ukazę ci najokropniejsze widowisko...*

...mógłby zachęcić narrator, podobnie jak karzeł Gonda, prowadząc czytelnika do zakrwawionej jamy potwora. Potwora, którym ponownie okazać się miała kobieta, łącząca w sobie sacrum i profanum, silniej niż mężczy bohaterowie związana z mistyczną częścią świata. Zdolna nie tylko dawać życie, ale, na przekór naturze, także je odbierać. I to właśnie jej szaleństwo wydaje się



Ilija Repin / Michał Andriolli

tym najgorszym. Choć Masław – nie mniej przy tym okrutny – czynił zło dla ziemskich dóbr, to jednak Joanna z Gozdawy zabijała z próżności – kierowana diabelską mocą krwi. W *Zamku kaniowskim* Ksenia jest bramą dla mar i szatańskich sztuczek, a w *Wiedźminie* to królewska córka zmienia się w strzygę.

Świat przedstawiony, często złudnie podobny do naszego lub z pietyzmem wzorowany na dawnych czasach, potrzebuje źródła inspiracji, które nie byłoby jednoznaczne i jednocześnie wzbudzałoby w czytelniku grozę. To, co nieznanne, fascynuje i przeraża, doprowadza do skrajnych zachowań. Inkwizycji potrzebna jest zatem czarownica. Reprezentanci władzy w *Śłudze Bożym*, w tym przypadku Kościoła, udadzą się więc pod osłoną nocy do zamkowych ruin, by doświadczyć i osądzić praktyki pięknej, wpływowej, niezamężnej kobiety. Innym razem to biała gołębicą i boża wysłanniczka zdolna widzieć anioły padnie ofiarą swoich lub cudzych uczuć, w każdym przypadku potężnych i zgubnych.

*Śługa Boży* to przykład o tyle ciekawy, że wykorzystując te same motywy, co chociażby *Wiedźmin* i *Zamek kaniowski*, przy

budowie bohatera oraz świata, osiąga coś, czego w rodzimej literaturze nie spotyka się zbyt często: obnaża mroczną stronę wiary. Można by więc opowiadać w ramach gotycyzmu, ponieważ silniej niż w przypadku omawianych utworów bazuje na wzbudzaniu w czytelniku strachu i odrazy. Motywy, które w głównonurtowym romantyzmie miały często charakter pozytywny lub niejednoznacznie negatywny – jak nieszczęśliwa, ale uwznioślająca miłość czy cierpienie w imię większego dobra – tu przybierają postać skrajną i demoniczną. Takie też bywają czarnoromantyczne namiętności, mania fanatycznych kaznodziejów, grzechy czarodziejek i męskie występki zaślepionych wachlarzem ludzkich małości wilkołaków. A wszystko to rządzone przez chaos i tajemne siły, które go usiłują okiełznać. Tu bowiem dzieje się tak, że...

...robak się łęgnie i w bujnym kwiecie.

**ALEKSANDRA MIASKOWSKA** STUDENTKA FILOLOGII POLSKIEJ I EDYTORSTWA. Z ZAMIŁOWANIA KLECI TEKSTY I WSTAWIA PRZECINKI GDZIE TRZEBA. DUŻO ŚPI, DUŻO CZYTA. JEST ŻYWO ZAINTERESOWANA POPKULTURĄ I WSZYSTKIM, CO Z NIĄ ZWIĄZANE. CZASEM NAWET BYWA NA BIEŻĄCO, CHOĆ OD NOWOŚCI WOLI SENTYMENTY. NAJWIĘKSZE WRAŻENIE ROBIĄ NA NIEJ WIEK XIX, JĘZYKI GERMAŃSKIE I EPICKIE HISTORIE.

# Zagubiona owieczka

Magdalena Ogińska

I miejsce

W konkursie „Wpis w słowiańskim bestiariuszu”

Zimny wiatr przemknął przez wieś, przypominając ludziom spieszącym do pracy, że zima nie wydała jeszcze ostatniego tchnienia. Niebo było już jednak błękitne, a słońce roztopiało resztki śniegu. Aniela mocniej otuliła się wełnianym szalem i ruszyła w stronę studni. Potem spojrzała stęsknionym wzrokiem w stronę górskich pastwisk. Wiedziała, że wkrótce stada znów wyjdą na halę. Jako mała dziewczynka uwielbiała wraz z ojcem doglądać tych zwierząt i zajmować się nowo narodzonymi jagniętami. Jednak gdy tylko zaczęła dojrzewać, zabroniono jej opuszczać wioskę – podobnie jak reszcie dziewcząt. Żadnej nie wolno było ruszyć w góry, dopóki nie wyszła za mąż, obawiano się bowiem Barana, górskiego bóstwa ukazującego się czasem pod postacią ogromnego tryka ze srebrnymi rogami.

Z jednej strony darzono go szacunkiem. To on sprawował pieczę nad ich stadami.

Nie pozwalał panoszyć się wilkom, a czasem nawet sprowadzał zaginione owce. Niestety, był też niebezpieczny. Mówiono, że jedno uderzenie jego kopyta sprowadza lawinę, a rogi są w stanie zabić niedźwiedzia.

Istniał jeszcze jeden powód, dla którego czasem zwano go złym bóstwem. Raz na pięć lat żądał zapłaty, i to nie byle jakiej. W pierwszy dzień lata trzeba było oddać mu jedną dziewczę, pierworodną córkę któregoś z górali. W zamian stada cieszyły się jego ochroną przez następne lata. Nie w smak było to niektórym i jednego razu nie spełniono żądań bóstwa. Ludzie szybko pożałowali swej decyzji, bo na ich trzodę padły straszne plagi. Jagnięta rodziły się martwe. Owce łamały nogi. Wełna była złej jakości. Wilki wciąż atakowały stada i niczego się nie bały. Zdesperowani górale błagali Barana o pomoc, a ten zgodził się, ale zażądał aż pięciu dziewcząt, wśród nich – ciotki Anieli. Straszna rozpacz zapanowała w wiosce, ale zgodzono

się i dano mu tyle, ile zażądał, zapewniając, że ludzie nigdy już nie złamią umowy.

Od tamtego czasu minęło dwadzieścia lat i co pięć lat jedna z dziewcząt opuszczała swój dom na zawsze. Co się z nią działo? Nikt tego do końca nie wiedział. Nigdy nie znaleziono ciała żadnej z nich, więc wierzono, że żyją. Niektórzy twierdzili, iż Baran zamienia dziewczęta w leśne nimfy. Inni sugerowali, że chowa je wśród górskich szczytów i traktuje jak swe żony.

Dziewczyna wciąż wpatrywała się w horyzont i zupełnie zapomniała o swoim zadaniu.

– Aniela!

W jej stronę zmierzała starsza o dwa lata siostra Barbara.

– Co za licho cię zatrzymało? Czekam na tę wodę, a ty co, znowu marzysz?

Młodsza spojrzała na siostrę przeproszająco.

– Żadne licho, Basiu, tylko tak... Zastanawiałam się.

– Nad czym? – zapytała już łagodniej.

– To w tym roku któraś z dziewcząt odepjdzie.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy. Ty jesteś bezpieczna. Nie jesteś pierworodna.

Aniela poczuła ukłucie w sercu i omal nie upuściła wiadra.

– Ale ty jesteś – szepnęła, a zaraz głośniej dodała: – Czemuż ojciec nie przyspieszy twe go ślubu z Jankiem? Wtedy nie mogłabyś...

– Przestań – przerwała jej. – Wiesz dobrze, że tak nie wolno. Śluby mogą odbywać się dopiero po pierwszym dniu lata, aż do ostatniego dnia jesieni. W przeciwnym razie Baran poczułby się oszukany i zezłościłby się, a gdy się złości...

– Uderza kopytem i wywołuje lawiny – dodała młodsza zduszonym głosem.

– Wiesz, że to nie bajki.

– Wiem i dlatego się martwię.

Basia uśmiechnęła się pogodnie i pogłaskała siostrę po głowie.

– Nie przejmuj się. Spójrz, jaki piękny dzień się zapowiada.

– Owszem. Aż chciałoby się wybrać w góry. Pochodzić po halach.

– Znowu marzysz – skarciła ją starsza. – Lepiej przynieś mi tę wodę.

– Dobrze, dobrze.

– A potem idź do starej Hanki. Obiecała zrobić naszymu ojcu syrop na ten straszny kaszel. Tylko...

– Wiem, wiem. Mam trzymać się ścieżki.

Wkrótce potem Aniela szła wąską dróżką, prowadzącą poprzez lekkie wzniesienia. Po prawej stronie miała gęsty las, po lewej rozciągała się ogromna, zielona łąka, a w dali majaczyły górskie szczyty. Za dziewczyną biegł wesoło biały, kudłaty szczeniak. A ona co jakiś czas odwracała się do niego i uśmiechała.

– Dalej, Kłębek, bo do wieczora tam nie dojdziemy.

Stara Hanka mieszkała daleko za wioską. Była znaną i szanowaną zielarką, choć niektórzy uważali ją za wariatkę. Podobno w dzieciństwie zgubiła się w górach i potem twierdziła, że została uratowana przez Barana. Aniela mimo wszystko lubiła ją odwiedzać i uczyć się od niej.

Zerknęła na słońce, by określić, która jest godzina, i usłyszała szczekanie psa.

– Kłębek? – Szczeniak zaczął biec w stronę zagajnika. – Kłębek, wracaj! No już!

Dziewczyna ze złości zaczęła tupać nogą. Co miała zrobić? Nie powinna sama zapuszczać się do lasu, ale piesek był prezentem od ojca. Trzeba było trzymać go na sznurku.

– Kłębek! – krzyknęła raz jeszcze z nadzieją, że ten jednak wróci.

Nie dostrzegła nigdzie jego białej sierści, więc mimo zakazu ruszyła w las.

Szła dłuższy czas, wciąż nawołując nieposłusznego zwierzaka. Drzewa zaczęły się rozrzedzać i wkrótce doszła do polanki. Na jej środku ujrzała młodego chłopaka o jasnych,

prawie białych, kręconych włosach. Ubrany był w ciemne skórzane spodnie i wełniany sweter. U jego nóg skakał szczeniak.

Nieznamy uśmiechał się do psiaka i drapał go za uszami.

– Kłębek! – zawołała Aniela.

Piesek w końcu podbiegł do swojej pani, która stanęła w bezpiecznej odległości od chłopaka.

– Przepraszam za niego – powiedziała lekko spesynym głosem.

Mężczyzna wyprostował się i dopiero wtedy Aniela dostrzegła, jaki jest wysoki i dobrze zbudowany.

– Nic nie szkodzi. Lubię psy, szczególnie te, które pilnują stad.

– On chyba nigdy nie będzie się do tego nadawał. Ma już pół roku i wciąż w głowie mu tylko psoty.

Chłopak przekręcił lekko głowę, przyglądając się Anieli. Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy wzbudził u dziewczyny dziwny niepokój.

– Jesteś z wioski? – zapytał.

– Tak, a ty? Nigdy cię nie widziałam.

– Mieszkam tu i tam... – Wskazał palcem w stronę gór: – Najczęściej tam.

Aniela cofnęła się o krok, a chłopak wciąż się jej przyglądał.

– Muszę... Powinnam wracać – powiedziała, siłąc się na pewność siebie.

– Oczywiście – odparł. – Dzielna z ciebie dziewczyna. Zapuszczać się w las, by odnaleźć szczeniaka.

– Nie chciałam, by coś mu się stało.

– I nie stanie. Ani jemu, ani tobie. Pozwól, że odprowadzę cię z powrotem na ścieżkę.

Aniela wahała się przez moment, ale nieznamy wydawał jej się coraz mniej groźny. Kiwnęła więc głową i ruszyła przed siebie.

Zatrzymali się na skraju lasu, a chłopak zapytał:

– Czy przyjdiesz jeszcze kiedyś spotkać

się ze mną na tamtej polanie?

Jego słowa bardzo ją zdziwiły i przez chwilę milczała.

– Ja... Może, ale nie znam nawet twego imienia i nie wiem, kiedy tam będziesz, i...

– Nie martw się, będę tam wtedy, kiedy i ty.

Uśmiechnął się szeroko, a po chwili bez słowa odwrócił i pobiegł przed siebie, zostawiając zszokowaną dziewczynę na ścieżce.

Aniela już do końca dnia nie mogła pozbyć się z myśli jego twarzy i wypowiedzianych słów. Nikomu jednak nic nie powiedziała. Sama nie wiedząc, czy w obawie przed karą, czy dlatego, że chciała się z nim jeszcze spotkać.

Późnym wieczorem Hanka usłyszała pukanie do drzwi, jakby ktoś uderzał kopytem o drzewo. Po chwili na progu ujrzała młodego, zakapturzonego mężczyznę, który uważnie wpatrywał się w nią srebrnymi oczami. Wpuściła go i wskazała dłonią fotel przy kominku. Doskonale знаła swego gościa.

– Baranie – mruknęła zachrypniętym głosem. – Co cię do mnie sprowadza?

– Była dziś u ciebie dziewczyna – odparł, nie siłąc się na powitanie.

– Było ich kilka. Każda po co innego.

Kiwnął głową i wskazał, by usiadła na krześle naprzeciwko niego.

– Ale jedna z nich była wyjątkowa. Jasne włosy, zielone oczy, odważna i... był z nią biały szczeniak.

Z każdym słowem staruszka coraz bardziej się denerwowała. Widząc to, mężczyzna zmarszczył brwi i syknął:

– Hanno, czy już zapomniałaś, że masz u mnie dług? Byłaś głupim i nieposłusznym dzieckiem, ale mimo to pomogłem ci. Na własnym grzbiecie zniosłem cię do wioski.

– Wiem, Baranie, wiem, ale ona... Aniela.

– Aniela – powtórzył, a w jego ustach imię dziewczyny zabrzmiało niczym zaklęcie.



– Jest taka niewinna i czysta... Już raz wzięłaś zapłatę od jej rodziny. Dwadzieścia lat temu zabrałaś siostrę jej ojca. Poza tym ona nie jest pierworodna.

Baran wstał nagle i uśmiechnął się.

– Nie rozumiesz. Ja nie chcę jej zabrać. Chcę, żeby ona sama ze mną poszła.

Nie czekając na jej reakcję, wybiegł na zewnątrz, a staruszka schowała twarz w dłonie i gorzko zapłakała.

Dni mijały.

W powietrzu coraz bardziej czuć było wiosnę, ale radość z cieplejszych dni niknęła wobec smutku związanego z nadejściem pierwszego dnia lata. Wiązało się to bowiem ze spełnieniem obowiązku wobec Barana i utratą jednej z dziewcząt.

Aniela ciężko pracowała, pomagając w domu Barbarze. Nie chciała, by siostra się przemęczała, jako że ta zdawała się coraz bardziej denerwować. Pewnego dnia, gdy miała jednak mniej zajęć, znalazła chwilę, by udać się na tajemniczą polanę. Sama nie wiedziała, czemu to robi. Z ciekawości, czy może z tęsknoty za nieznanym?

Jakież było jej zdziwienie, gdy ujrzała go siedzącego na trawie bez koszuli i przeżuwającego w zębach źdźbło trawy. Nagle poczuła, jak na policzki wstępuje jej rumieniec. Stała przed nieznanym, próbując na niego nie patrzeć.

– Długo cię nie było – powiedział i podniósł głowę, uśmiechając się szeroko.

– Mam sporo pracy w domu...

– A jednak przysłałaś – odparł i oblizał wargi.

– A ty znowu tu jesteś. Skąd wiedziałeś?

– Miałem przecucie, że dziś przyjdiesz i się nie myliłem. Usiądź przy mnie. Odechnij i naciesz się słońcem.

Aniela z lekkim oporem usiadła przy nim i zapytała:

– Więc jak masz na imię?

Ten pokręcił głową.

– Jeszcze nie mogę ci tego zdradzić.

Dziewczyna nabrała powietrza w policzki i zmarszczyła nos, co wywołało u niego śmiech.

– Jesteś niemiły – mruknęła.

– A ty dziecinna, ale nie przeszkadza mi to. – Wstał i wyciągnął do niej dłoń. – Chodź, pokażę ci coś wspaniałego.

Z lekkim wahaniem złapała go za rękę.

Poprowadził ją jeszcze bardziej w głąb lasu, do małego wodospadu. Na jego widok Aniela jęknęła z zachwytu.

– Piękny, nigdy go nie widziałam.

– Bo mogą go dostrzec tylko wyjątkowo osoby. – Chłopak pogłaskał ją po twarzy i założył jeden z jasnych kosmyków za ucho. Potem dodał szeptem: – Jest piękny jak ty.

Dziewczyna speszyla się, ale na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Muszę już wracać. Jutro wylosują, która z dziewcząt... – urwała w pół zdania i zasmuciła się.

– ...pójdzie do Barana – dokończył za nią, a ona przytaknęła. – Nie martw się – powiedział i pocałował ją w czoło. – A teraz chodź, odprowadzę cię.

Na skraju lasu pożegnał się z dziewczyną i patrzył, jak jej sylwetka maleje w oddali. Uśmiechnął się i mruknął:

– Jutrzejniejszy dzień będzie moim dniem.

Nadszedł czas losowania, a ponieważ Hanka była najstarsza, to ona została wyznaczona do spełnienia tego przykrego obowiązku. Nikt z mieszkańców nie podejrzewał jej o kontakty z Baranem.

Usiadła przy ogromnym stole, w okrągłej sali, w której zwykle odbywały się biesiady. Przed nią postawiono glinianą misę, w której znajdowały się kawałki kory z imionami dziewcząt, przygotowane przez jednego z bardziej poważanych mężczyzn. Staruszka ciężko westchnęła i wsadziła pomarszczoną

dłoń do naczynia. Wszyscy zgromadzeni wstrzymali oddech. Nikt nie zauważył ka-  
wałka wysuwającego się z rękawa kobiety,  
która uniosła dłoń i głośno przeczytała:

– Barbara, córka Jana.

W sali zapanowało zamieszanie. Część  
ludzi odetchnęła z ulgą, że to nie ich dziec-  
ko zostanie stracone. Słyszać było też płacz  
i słowa współczucia.

Hanna nie potrafiła zostać tam ani minuty  
dłużej. Czym prędzej uciekła do swej chaty.

W środku czekał już na nią. Nie patrząc  
w stronę staruszki, powiedział:

– Dobrze się spisałaś.

Zaczął kierować się do wyjścia, gdy Han-  
na mruknęła:

– Baranie. Czy... nie wydaje ci się, że  
może czegoś nie dostrzegasz?

Odwrócił się do niej gwałtownie. Spo-  
dziewała się z jego strony złości, ale on tylko  
się uśmiechnął i poglaskał ją po policzku.

– Oczywiście, że nie dostrzegałem tego,  
że ta, której szukam, wcale nie musi być  
pierworodną.

Kiedy wyszedł, kobieta ciężko westchnęła  
i opadła na fotel. Czuła się zmęczona i pra-  
gnęła tylko zasnąć.

Z samego rana Hannę obudziło puka-  
nie. Z trudem doczłapała do drzwi, a gdy  
je otworzyła, ujrzała zapłakaną i zmęczoną  
twarz Anieli.

– Och, dziecinko.

– Ojciec przysłał mnie... Przysłał mnie po  
coś na uspokojenie, bo... bo Basia, ona tak  
strasznie... Basia!

Staruszka chwyciła dziewczynę w ramio-  
na i przytuliła ją do siebie.

– Już, już. Spokojnie. Usiądź, zaparzę ci  
melisy i przygotuję wywar dla Basi.

Dziewczyna przytaknęła i spróbowała  
się uspokoić. Gdy w jej dłoniach wylądował  
kubek, zmusiła się do uśmiechu i pociągając  
nosem, odparła:

– Dziękuję.

– Chociaż tyle mogę zrobić. – Hanna usia-  
dła naprzeciwko i próbowała znaleźć odpo-  
wiednie słowa, gdy to młodsza się odezwała.

– Wszystko przez Barana. Dlaczego on  
jest taki zły? – zapłakała dziewczyna.

Staruszka położyła jej dłoń na ramieniu.

– Zły? Myślę, że rozgoryczony za to, co  
go spotkało.

Załamione, zielone oczy skupiły całą swą  
uwagę na Hannie.

– A co go spotkało?

– Słyszałaś o tym, że jako dziecko zagubi-  
łam się w górach? – Aniela przytaknęła. – To  
prawda. I prawdą jest też, że uratował mnie  
Baran. Gdy niósł mnie na swym grzbiecie, za-  
czął mi opowiadać swą historię. Przyrzekłam  
mu, że nikomu jej nie powtórzę, ale tobie  
mogę, bo... Bo jesteś wyjątkowa – dokończy-  
ła niepewnie. – Czuję, że muszę to zrobić.

– Proszę, słucham.

Kobieta spojrzała w stronę okna i zaczęła  
snuć opowieść:

– Wiele lat temu, być może setki, Baran  
był bóstwem spokojnym, nie wadzącym się  
z ludźmi, a czasem im pomagającym. W za-  
mian prosił tylko o jedno, by ludzie z dala  
trzymali się od jego stada. Łatwo było roz-  
różnić jego owce, bo były one najpiękniejsze  
i najdorodniejsze, a każda z nich miała na  
szyi srebrną wstążkę. Wśród nich były sio-  
stry Barana i jego żona, która, tak jak on,  
mogła przyjmować ludzką postać.

Nastaly jednak czasy strasznych mrozów  
i w osadach ludzkich zapanował okropny  
głód. Nie wiem, czy powinno się ich za to  
winić, ale Górale, widząc jak ich dzieci głó-  
dują, postanowili złamać zawarte z bóstwem  
przymierze. Wysłali jedną z dziewic w góry,  
by ta krzyczała i błagała go o pomoc. W ten  
sposób, odwróciwszy uwagę Barana, zakra-  
dli się do jego zagrody i dali ponieść swej  
chciwości. Żona Barana przemówiła do

nich. Powiedziała, że da im część stada, ale te owce, które ona wybierze. Odmówili i zabilili wszystkie.

Hanna na chwilę zamówiła.

– Jego żonę też? – zapytała Aniela, przezywając ciszę.

– Wszystkie – wyszeptła kobieta. – Wszystkie. Ból i złość Barana były ogromne. Zapragnął, by wszystkie ludzkie osady zniknęły pod lawinami, chociaż wiedział, że mieszkają tam również niewinni. Postanowił więc poskromić swój gniew i oszczędzić zarówno tych bez winy, jak i zabójców, w zamian zawierając nowy sojusz.

– Więc dlaczego on to robi? Szuka zemsty?

– Nie. Myślę, że szuka swej żony. Wierzy, że jej dusza krąży w żyłach potomkiniń dzievic, które zostały wtedy nakarmione jej mięsem.

Aniela poderwała się na równe nogi i zaczęła cała się trząść.

– On jest szalony! Nie pozwolę mu zabrać Basi. Nie pozwolę!

– Dziecko, uspokój się. Co zrobisz? Zastąpisz ją?

– Tak! – krzyknęła i wybiegła z domu.

Starsza kobieta patrzyła przez kilka minut w otwarte drzwi, a gdy na progu ujrzała znajomą sylwetkę, syknęła:

– Mam dość! Bardziej już ci nie pomogę. Baran uśmiechnął się.

– Już nie musisz. Resztą ja się zajmę.

Aniela siedziała pod drzewem i głośno płakała. Za dwa dni miała odejść jej ukochana siostra, a ona nie mogła nic zrobić. Ojciec zbeształ ją za pomysł zastąpienia Barbary, a i sama Basia nie zamierzała zgodzić się na coś takiego.

– Myślałem, że znalazłem zagubioną owieczkę, a to ty.

Słyszając męski głos, w pierwszej chwili chciała się poderwać, ale potem zerknęła na zbliżającą się do niej osobę i warknęła:

– Odejdź.

Chłopak przykucnął obok niej i położył dłoń na jej kolanach. Gdy to zrobił, poczuła, jak ogarnia ją spokój i przyjemne ciepło.

– Kim... Kim ty właściwie jesteś?

– Kimś, kto chce ci pomóc.

– Nikt mi nie może pomóc. Pojutrze z samego rana zabiorą moją siostrę, a ja nic z tym nie mogę zrobić. Nie powstrzymam ich. Och, gdybym tylko mogła sprawić, żeby wszyscy o niej zapomnieli.

– Albo gdyby ona zapomniała o nich – odparł szybko, a gdy Aniela skupiła na nim swoje zielone oczy, uśmiechnął się szeroko.

– Niby jak? – zapytała lekko drżącym głosem.

Wyjął zza paska małą buteleczkę wypełnioną ciemnym płynem.

– To sok z pewnej rośliny. Już jedna kropla spowoduje, że twoja siostra zaśnie na bardzo długo i nikt jej rano nie dobudzi, a wtedy będą musieli wybrać kogoś innego.

Aniela zmarszczyła brwi.

– Ale czy to jej nie zabije?

– Nie, nie... Tylko uspi.

Dziewczyna rozchmurzyła się z wdzięcznością przyjęła specyfik. Potem pocałowała szybko chłopaka w policzek i z radością powiedziała:

– Dziękuję, dziękuję ci... – Poderwała się na równe nogi. – Jesteś jakimś dobrym bóstwem, prawda? Strażnikiem tej polany? Leśnym bożkiem?

Ten uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Można tak powiedzieć.

Nim weszła do domu, spróbowała się uspokoić. W końcu nie powinna okazywać radości. Jej siostra siedziała w kuchni i szykowała sukienkę na pożegnanie, które miało nastąpić następnego dnia.

Nagle w głowie Anieli zrodził się nowy plan. Wiedziała, że na przyjęciu będzie stała ogromna beczka z piwem, z której będą pić

wszyscy. Nieznajomy powiedział, że wystarczy kropła by uspić Basię, a gdyby tak...

– Anielka, co się znowu dzieje? Ja już pogodziłam się ze swoim losem i proszę cię, żebyś zrobiła to samo.

Dziewczyna ukłękła przy starszej siostrze i położyła głowę na jej kolanach.

– Wiem, Basiu, wiem i pogodzę się z tym, ale pamiętaj, że kocham cię najbardziej ze wszystkich i wszystko bym dla ciebie uczyniła.

Hanna siedziała przy długim stole i przyglądała się bawiącym. Taka była tradycja. Odchodzącą dziewczynę żegnano śpiewem, muzyką, tańcem, jedzeniem i pićciem. Śmiano się głośno, wiedząc, że następnego dnia poleją się łzy. Staruszka przyglądała się Anieli uważnie. Dziewczyna wydawała się dziwnie spokojna.

– Jakież to straszny plan podsunął ci do głowy Baran? – mruknęła sama do siebie.

Późnym wieczorem wszyscy zaczęli odczuwać dziwną senność. Ludzie pozasypiali na krzesłach i stołach, a ci, którzy zdążyli wrócić do domów, w łóżkach. Gdy rano zapiały koguty, tylko jedna osoba wstała i ruszyła w stronę jaskini, do której zawsze udawały się panny dla Barana.

Gdy weszła do środka, serce objało się jej o żebra, a oddech stał się płytszy. Zaciśnęła mocno dłonie na sukience. Nie mogła się wycofać. Była gotowa ponieść śmierć. Nagle dostrzegła przed sobą ogromnego tryka o srebrnych rogach. Przyklękła i opuściła głowę.

– Baranie... Ja... Jestem dziewczicą przeznaczoną dla ciebie... Proszę, proszę...

– Nie jesteś pierworodna.

Usłyszała potężny głos i przełknęła ślinę.

– Nie, ale...

– Chodź za mną – powiedział i ruszył w głąb jaskini.

Dziewczyna posłusznie podążała za nim, a gdy ujrzała drugie wyjście z groty, poczuła

rodzącą się panikę. Zatrzymała się nagle, zerkając w stronę światła.

– Czy... Czy zabijesz mnie?

– Nie.

– To, co robiłeś z...

– Zamieniłem je w swoje stado.

– Moją ciocię też?

– Jest teraz moją owieczką.

Aniela przełknęła ślinę. Zamiana w zwierzę nie wydawała jej się czymś wspólnym, ale wyszła z trykiem na zewnątrz i zauważyła, że znajduje się w zupełnie innym miejscu, daleko w górach. Patrzyła na ogromną halę, otoczoną zewsząd wzniesieniami. Na soczystej trawie pasły się śnieżnobiałe owce. Gdy tylko podeszła trochę bliżej, wszystkie podniosły łby i skierowały ślepią w jej stronę.

– Gdzie jesteśmy?

– W moim królestwie. Jaskinia to magiczne przejście.

Nagle zdała sobie sprawę, że głos Barana się zmienił. Stał się bardziej ludzki, a gdy odwróciła się, ujrzała człowieka. Natychmiast go rozpoznała i uczucie strachu zastąpiła złość.

– To ty?! Ty jesteś Baranem?

– Owszem – odparł spokojnie. – A ty jesteś moją owieczką. Moją zagubioną owieczką.

Spróbował do niej podejść i pogłaskać po twarzy, ale odskoczyła na bok.

– Oszukałeś mnie! To od początku był twój plan!

– Nie oszukałem. Ja tylko pragnąłem, byś do mnie wróciła.

– Wróciła?!

Westchnął ciężko i pokręcił głową.

– Pomogę ci przypomnieć sobie, kim jesteś.

– Wiem, kim jestem! Aniela, córką Jana.

– Nie – syknął. – Jesteś moja, zawsze byłaś. Jesteś moją żoną.

Po jej twarzy zaczęły płynąć łzy. Zaczęła potrząsać głową i w kółko szeptała:

– To nieprawda, nieprawda...

Zniecierpliwiony postawą dziewczyny, Baran złapał ją nagle w tali i przysunął do siebie, wpijając wargi w jej usta. Aniela próbowała się od niego odepchnąć, ale był od niej dużo silniejszy.

W końcu to on odepchnął ją od siebie, a ona omal nie upadła na ziemię. W jego srebrnych oczach widziała zdziwienie i złość.

– To naprawdę nie ty. Nie ty! – krzyknął.

Aniela wykorzystała jego chwilową nieuwagę i zaczęła biec przed siebie. Widząc, w którą stronę biegnie, próbował ją zatrzymać.

– Stój! Nie tam...

Jedna z owiec wbiegła mu pod nogi, przewrócił się. Posłał zwierzęciu wściekłe spojrzenie i syknął:

– Później się z tobą rozliczę.

Natychmiast znowu poderwał się do biegu. Z przestraszem spostrzegł, że dziewczyna poślizgnęła się na mokrej od rosy trawie. Że leci ku przepaści.

Zdążył złapać jej rękę tuż przed krawędzią. Aniela jednak stawiała opór. Nie chcąc przyjąć jego pomocy, z wściekłością zaczęła się wrywać i bić Barana na oślep. Ten próbował nad nią zapanować, lecz uderzony w twarz, odruchowo pchnął dziewczynę.

Poczuła, jak traci grunt pod stopami. Nie zdążyła nawet krzyknąć.

Baran podbiegł do krawędzi i w żalonym geście wyciągnął dłoń przed siebie – tam, gdzie jeszcze chwilę wcześniej widział Anielę. Upadł na kolana i zawył. Nie tak wyobrażał sobie koniec tej historii. Sam nie wiedział, czy jego serce boleje nad śmiercią dziewczyny, czy nad faktem, że się pomylił.

Pozwolił, by górski wiatr niósł jego płacz.

Hanna stanęła na progu swego domu, a gdy do jej uszu doszło żalodne zawodzenie Barana, sama zapłakała. Jej oczy nagle posrebrzały i wyszeptała:

– Jesteś ślepy i głupi, Baranie. Przyjdzie ci czekać na mnie jeszcze wiele lat, nim dostrzeżesz prawdę.

**MAGDALENA OGIŃSKA** OD DZIECKA INDYWIDUALISTA  
KROCZĄCY WŁASNYMI ŚCIEŻKAMI – TYPOWY  
ZODIAKALNY LEW. UKOŃCZYŁA ZOOTECHNIKĘ  
NA WYDZIALE W BYDGOSZCZY, BO KOCHA ZWIERZĘTA  
I CHCIAŁA Z NIMI PRACOWAĆ, JEDNAK CHĘĆ PISANIA  
JEST TAK DUŻA, ŻE NIE POTRAFI GO CAŁKOWICIE  
PORZUCIĆ. WCIAŻ ZACZYNA I NIE KOŃCZY KOLEJNYCH  
POWIEŚCI, JEDNAK WIERZY GŁĘBOKO, ŻE W KOŃCU  
NAD KTÓRĄŚ Z NICH PRZYSIĄDZIE I NAPISZE „OD  
PROLOGU DO EPILOGU”.

BARDZIEJ NIŻ PROZĘ KOCHA POEZJĘ, WCIAŻ  
TWORZĄC NOWE WIERSZE – JAK DO TEJ PORY TO ONE  
PRZYNOSIŁY JEJ DUMĘ I WYGRANE W KONKURSACH.  
TERAZ JEDNAK MA MOTYWACJĘ, BY POPRACOWAĆ NAD  
SWOIMI OPOWIADANIAMI.

REKLAMA



13-15.10.2017

konwent jak za starych lat - [www.imladris.org.pl](http://www.imladris.org.pl)

# Czaruś

Aleksandra Koziół

II miejsce

W konkursie „Wpis w słowiańskim bestiariuszu”

Krystyna spotkała go w połowie drogi na mokradła.

Siedział na samotnej gruszy i splatał bicz, pogwizdując cicho jakąś wesołą melodię. Kiedy poczuł na sobie jej wzrok, znieruchomiał.

– Widzisz mnie?

– Pewnie, że tak. Kim jesteś?

Jego skóra była zielonkawa i niezdrowa. W oczach koloru niezapominajek czaiło się coś nieprzyjemnego i złośliwego. Milczał, czym tylko ją zdenerwował.

– Nie widziałam tu wcześniej żadnego takiego. – Splotła ręce na piersiach. – No, mówże.

– Można powiedzieć, że jestem tu nowy – zaczął, a ona prychnęła.

– Wy nigdy nie jesteście nowi. Zawszeście tu byli. Moja babcia was знаła, mój tatuś się z wami widywał.

– Z nami? – Zaśmiał się dziwnie świszcząco. – Mówisz, jakby tu całe tabuny były. A przecież dobrze wiesz, że tamci odeszli, dobra kobieto. Teraz jestem ja.

– Czyli kto? – zapytała prędko, żeby nie tracić czasu na przyznanie przed sobą, że stwór ma rację. Tak dawno nie widziała już

żadnego skrzata ani błędnika. Zniknęły chochliki, a nawet wilkołaki... Wszystko jednak działo się tak stopniowo, że nikt nie zwrócił na to uwagi.

Ten nowy przekrzywił głowę i spoglądał na nią z ciekawością.

– Czarnobyl jestem – powiedział w końcu.

– Ruski jakiś – mruknęła z dezaprobatą.

– Ano! – Wyprostował się dumnie na gałęzi. – Nie słyszałaś o mnie?

Wzruszyła ramionami.

– Ja tam wiem tylko o tych, których mi tatuś przedstawił. I mówił, czy się bać, czy miłym być. Ale ruskich tu żadnych nie było.

– Spokojnie, wszystkiego się dowiesz. Raczej niedługo. – Wrócił do splatania swojego bicza. Chude zielonkawe palce poruszały się z gracją i pewnością.

Na Krystynę przestał zwracać uwagę, więc bez słowa ruszyła w dalszą drogę. Kwietniowy dzień był ciepły i słoneczny, ale po ostatnich deszczach wszystkie ścieżki zamieniły się w lepkie grzęzawiska. Jej buty wydawały mlaszczące odgłosy przy każdym ostrożnie stawianym kroku. Miała wrażenie, że wyprawa trwa całą wieczność. O wesoło

pogwizdującym Czarnobyłu zapomniała bardzo szybko.

Paweł czekał przed drzwiami do domu.

– Gdzie byłaś tyle czasu?

Pogłaskała go czule po zarośniętym, bladym policzku. Jej synek, jedyne dziecko, które przeżyło... Obojętnie odtrącił jej rękę.

– Z Agnieszką jest coraz gorzej. Zróbże coś!

Przytaknęła, demonstrując przy okazji zgromadzone w kieszeniach zioła.

– Napar pomoże. To jeszcze nie jest jej czas na rodzenie.

Jedyną odpowiedzią był rozpaczliwy jęk ciężarnej synowej, która związała się z bólu na tapczanie w pokoju. Mówili, że to siódmy miesiąc, ale Krystyna wiedziała lepiej. Wciąż jednak za wcześniej było, żeby jej wnuczek przychodził na świat.

– Może do soltysa pójde, na pogotowie zadzwonię, to ją stąd ktoś zabierze. W szpitalu jej pomogą. – Paweł drapał się po czole, zupełnie jak jego ojciec w chwilach rozterek.

– Myślisz, że sobie nie poradzę? Że wnukowi swojemu krzywdę zrobić? – ofuknęła go. – Tyle porodów odebrałam, tyle ciąży widziałam, że sama wiem, co robić. A teraz zagotuj mi wrzątku, ja zobaczę, jak się Agnieszka czuje.

Agnieszka nie czuła się dobrze. Nawet kiedy dostała napar z zebranych na mokradłach ziół, ulga była tylko chwilowa. Wnukowi naprawdę spieszyło się na ten świat.

– Boli – jęknęła dziewczyna.

– Musi boleć – odparła sentencjonalnie Krystyna. – Tak to już jest skonstruowane, że boli.

Ciężarna patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

– Robisz to specjalnie. Nie chcesz mnie tu.

– Masz urodzić mi wnuka, to się teraz liczy. Spróbuj odpocząć. Poczujesz się lepiej.

Wygoniła syna do sąsiadów, bo chłop nie był im potrzebny. Musiała pomyśleć,

zastanowić się. Agnieszka nie wyglądała dobrze.

„Urodzi wcześniej”, myślała, mieszając kolejną porcję wywaru, tak jak nauczyła ją babcia. „Ta dziewczucha nic nie potrafi zrobić po kolei. Nogi przed ślubem rozłożyła, tak jej było do Pawła spieszno, to teraz dziecku się ten pośpiech udziela...”.

Na szczęście Krystyna wiedziała, co robić. I to bez pomocy lekarzy i felczerów. Tatuś mówił, że jej rodzina zawsze taka była. Wiedzieli rzeczy, umieli się dogadać z tymi innymi, którzy mieszkali w lasach, na polach i mokradłach. Czasami prosili o pomoc, czasami pomagali. Tak to się toczyło.

Marysia, siostra Pawła, też miała do tego smykałkę. Potrafiła spojrzeć dalej, porozumieć się z duchami i stworami. Niestety nic to nie pomogło, kiedy wpadła pod ciężarówkę. Jej brat nie posiadał żadnych zdolności, ale Krystyna czuła, że wnuczek będzie kontynuował tradycję. Nawet krew jego nieudolnej matki nie mogła tego zmienić, a babcia wyjaśni mu wszystko, pokaże życie obok nich. Mały przejmie schedę.

– Byleby się zdrów urodził.

Przypominała sobie wszystkie modlitwy, próbowała wezwać Mokosz na pomoc, ale odpowiedziała jej cisza. Na mokradłach też panowało milczenie. Nikogo tam nie było.

I wtedy przypomniała sobie o tym nowym, ruskim.

– To jeszcze nie jest ten czas – wyszeptala do siebie. – Nie wiem, co on może i czego chce.

Po południu nie było już wyjścia. Agnieszka krzyczała i związała się z bólu.

Krystyna stanęła przed domem. Zaczynał zapadać zmrok, na horyzoncie zbierały się chmury.

– Czarnobyłu! – zawołała niechętnie. – Przybądź tutaj na moje wezwanie.

Nic się nie stało, więc po chwili powtórzyła wołanie nieco donośniej. I jeszcze raz.



– Wzywam cię w imię Ojca...

– No nie, bez takich.

Stał tuż obok niej, trzymając w rękach wciąż nieukończony bicz.

– Potrzebuję pomocy.

– Zdążyłem się zorientować. Twoja położnica jest w kiepskim stanie. Chyba krwawi tak, jak nie powinna. A dzieciakowi coś nie daje wyjść. Pępowina się wokół szyi owinęła...

Przez chwilę kobieta milczała. Ten typ działał jej na nerwy i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Była pewna, że go to bawiło.

– Potrzebuję pomocy. Sama go nie uratuję.

– W tym pomóc mogę. A co z matką?

– Poradzę sobie.

– Czy ja wiem... Wydaje mi się, że ona może z tego nie wyjść.

– Poradzę sobie z wychowaniem wnuka – ucieła kategoriycznie.

Czarnobył spozjrzał na nią spode łba

i przez chwilę się zastanawiał.

– Dobra, pomogę ci. Razem go wychowamy.

– Jak to razem? Oszalałeś?!

– Uratuję dziecko, jeśli mi je oddasz. Spokojnie. – Uchylił się przed niezbyt celnie wymierzonym pchnięciem Krystyny. – Przecież ci go nie porwę do ruskiego lasu uczyć ruskich piosenek. Po prostu... będę przy nim. Jak anioł stróż. Przecież takie rzeczy też w Polsce robiliście.

– On nie potrzebuje anioła stróża, ma babcie!

– To idź przed dom, powrzeszcz jeszcze trochę. Może cię ktoś usłyszy. – Naburmuszył się.

Tymczasem Agnieszka krzyknęła, ale słabiej niż wcześniej.

Panu Bogu świeczkę, Czarnobyłowi ogarek.

– Dobra, chodź. Ale spróbujże cokolwiek

kombinować...

– Tak, tak, jasne – odpowiedział gderliwym tonem. – Na pewno nie chcesz się potargować o dziewczynę?

Wzruszyła ramionami i weszła do domu. Ruszył za nią, zupełnie nie zważając na święte obrazki i czosnek przy piecu.

– Staram się być nowoczesny – odpowiedział, łapiąc jej spojrzenie.

Prychnęła cicho.

– Wejść tam sam – oznajmił, szykując bicz. – Nie potrzebuję pomocy.

– Muszę ci patrzeć na ręce – zaprotestowała. – Nie znam cię i nie wiem, co zrobisz...

– Uratuję życie twojego wnuka. To wszystko, co musisz wiedzieć.

Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, zrobiła jedyną rzecz, która przyszła jej do głowy. Nalała sobie pigwówki i zaczęła się modlić, żarliwie i z przekonaniem, tak jak uczyli ją dziadzius oraz mama-szeptucha. Czuli, że zrobiła źle, ale co innego mogła?

Zanim krzyki w sąsiednim pokoju ucichły, straciła poczucie czasu. Nagła cisza przez chwilę dzwoniła jej w uszach, a potem rozległ się donośny płacz dziecka.

Wpadła do pokoju i prawie wyrwała norwodka z objęć Czarnobyła. Zmarszczył brwi, po czym wzruszył ramionami i z nieodgadnią miną zaczął żuć łożysko.

– Mój Piotruś – powiedziała cicho, z czułością, o jaką się nawet nie podejrzewała.

– Nasz Piotruś – poprawił z pełnymi ustami. – A teraz cię zostawię. Czeka cię naprawdę szalona noc...

Niedojedzone łożysko plasnęło o podłogę, kiedy rozplynął się w powietrzu. Krystyna nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać. Na podwórku rozległy się okrzyki bardzo pijanego Pawła, który wołał swoją martwą żonę.

Piotruś okazał się dzieckiem chorowitym i kapryśnym. I niezbyt ładnym. Ale w sumie

nie było w tym nic dziwnego.

– To Czarnobył. W końcu urodził się w złym momencie, gdy całe to świństwo przyszło nad Polskę – zdychała sąsiadka, kiedy mały darł się wniebogłose.

– Gdyby przyszedł na świat w szpitalu... Podobno dzieciom dawali płyn lugola, to pomagało.

– Piotruś ma się dobrze. Czarnobyłowi nic do niego.

Dziecko było blade, małe i miało nieprawdopodobny apetyt. Niemniej babcia kochała swojego wnuczka z całego serca. I nie odstępowała go na krok.

– Mną się tak nie zajmowałaś – mówił czasami Paweł w tych rzadkich momentach, kiedy był trzeźwy. – Mówiłaś, że mam się uczyć na błędach.

– Od stłuczonego kolana jeszcze nikt nie umarł – komentowała sąsiadka, kiedy Krystyna biegła podnosić malca po tym, jak się przewracał. Przy jego tuszy zdarzało się to dość często, ale nie umiała się powstrzymać. Potrzeba, by kontrolować dziecko, była dla niej zbyt silna.

Przy każdej kąpieli dokładnie sprawdzała, czy na ciele Piotrusia nie pojawiają się jakieś znamiona, które mogłyby sygnalizować, że Czarnobył bierze je w swoje władanie. Niczego takiego nie znajdowała, lecz czasami wydawało jej się, że widzi zielonkawą sylwetkę gdzieś na skraju pola widzenia.

Paweł praktycznie nie był w domu. Pił. I choć matka tłumaczyła mu, że jest za młody, aby pograżać się w ponurym wdowieństwie, nie wziął sobie jej dobrych rad do serca.

Pola, lasy i mokradła dalej były puste. Mimo to po wieczornym karmieniu, kiedy dziecko choć trochę się uspokajało, Krystyna snuła opowieści o Leszym, południcach i błędnych ognikach w ciemności. Opowiadała Piotrusiowi wszystkie historie, które знаła, w nadziei, że kiedyś mu się przydadzą.

W końcu przyszły zmiany. Na początku słyszeli o nich tylko w radiu, ale pewnego dnia Paweł stracił pracę, w której i tak trzymali go wyłącznie z litości. Rzadko przychodził tam trzeźwy.

- Transformacja jego mać. Jadę do miasta.
- Tylko nie pij, synku...

Nie wziął ze sobą małego. W ogóle niezbyt interesował się potomkiem, który, jego zdaniem, miał oczyć po matce. I zabił ją, by przyjść na świat.

Piotruś wychowywał się na wsi, korzystając z uroków świeżego powietrza i nieskalanej przyrody. Niewiele mu to pomagało. Zazwyczaj siedział w domu, przeziębiony albo chory. Kiedy podrosł na tyle, żeby mieć swoje zdanie, Krystyna odkryła, że chłopiec niezbyt lubi towarzystwo.

- Idź się pobawić z Jadzią i Grzesiem.
- Nie chcę.
- Będziesz tutaj tak sam siedział?
- Mam Czarusia.

Na początku się tym nie przejęła. Przecież dzieci mają bujną wyobraźnię. Dopiero kiedy zastała wnuczka pracowicie splatającego warokocze z jej wełny i nucącego pod nosem, zamarła w przerażeniu. Poznała melodię, którą Czarnobyl gwizdał prawie sześć lat wcześniej.

Ale Piotruś nie chciał odpowiadać na żadne pytania dotyczące Czarusia.

– To mój przyjaciel. Zabronił mi z tobą rozmawiać. Mówi, że i tak go znasz.

Próbowała wzywać demona, i to nie raz. Odpowiadała jej cisza. Drzewo, na którym pierwszy raz go zobaczyła, uschło. Jego kikut straszyl wśród pustych pól.

Paweł znalazł pracę i przestał tyle pić. Układał dachy, zarabiał psie pieniądze, ale przynajmniej nie staczał się dużo niżej. Poznał jakąś kobietę. Przedstawił ją matce którejś deszczowej niedzieli.

W przeciwieństwie do Agnieszki Irena nie była ładna. Krystyna dostrzegła w niej

jednak coś lepszego niż powierzchowne piękno: stanowczość i zdecydowanie. Ta kobieta wiedziała, czego chce. Przy niej Paweł nie mógł zginać.

Nowa synowa nie była jednak pozbawiona wad. Uczyla w szkole i nie chodziła do kościoła. Jej rodzice byli starymi komunistami, wierzyli w te wszystkie bzdury, że religia to opium dla ludu. Na swoją teściową patrzyła z życzliwym pobłażaniem.

I była bezpłodna.

To ona zdecydowała, że Piotruś powinien zamieszkać z nimi w mieście.

– Pójdzie do porządnej szkoły. Będzie miał opiekę.

Krystyna walczyła jak lwica, ale wiedziała, że stoi na przegranej pozycji. Nie mogła przecież powiedzieć tej kobiecie, że na jej wnuczka poluje ruski demon, który przybył wraz z wiosennym wiatrem znad zniszczonego reaktora.

Piotruś przyjął wiadomość o przeprowadzce obojętnie. Chciał tylko wiedzieć, czy w mieszkaniu taty będzie telewizor. Denerwowało go, że mieszkając u babci, musiał chodzić do sąsiadów, żeby obejrzeć dobranockę.

Miał u siebie spędzać wakacje, by nie przeszkadzać pracującym rodzicom. Szybko jednak okazało się, że w mieście też nie sprawia żadnego kłopotu, wystarczyło posadzić go przed gadającym pudełkiem i mógł tak siedzieć całymi dniami. Na samą wieść o wyjeździe na wieś wpadał w histerię.

Krystynie też nie podobały się wizyty wnuka. Jej nadzieje topniały z każdymi odwiedzinami. Irena uczyła chłopca wszystkiego, co wiedziała o nauce i technice. Chłonał to jak gąbka, a opowieści babci traktował z pogardą.

– Czasami nad terenami podmokłymi wydzielają się różne gazy. To wynik procesów gnilnych. Jednym z nich jest łatwopalny

metan. Kiedy dojdzie do jego zapłonu, pojawia się światło – opowiadała macocha.

– To zagubione dusze. Samotne i pokutujące, ściągają nieszczęśników na pewną śmierć – tłumaczyła babcia.

Piotruś milczał, zapatrzony w małe szare pudełko z gramami, które dostał na urodziny.

– Babcia opowiada piękne bajki...

– Macocha gada głupoty!

Wtedy na krótką chwilę go zobaczyła. Jego bicz zaciskał się na szyi Ireny jak porwóz. W oczach Czarnobyła była czysta furia i nienawiść.

– Dostanę jeszcze rosołu? – zapytał Piotruś.

Był potężny, naprawdę gruby jak na swój wiek.

– To Czarnobył. Ponoć dzieciom się złe rzeczy stały z tarczycami.

– Tak. To jego wina, Czarnobyła jednego...

– Dużo dzieci w jego klasie tak ma.

– Po prostu tuczycie go jak świniaka – wzdychał Paweł.

Zgodnie i solidarnie się z nim nie zgadzały.

W końcu zaczęli przyjeżdżać bez Piotrusia. On miał inne rzeczy na głowie. Krystyna czasami po takich wizytach wyła przez pół nocy w poduszkę, ale co mogła zrobić?

Rusałka była stara i zmęczona. Siedziała na brzegu rowu melioracyjnego, mocząc stopy w mokrej mazi.

– Utopca wykończyli. Wysuszyli mu ten jego ukochany staw – oznajmiła Krystynie, kiedy ta podeszła i usiadła obok.

Wciąż pamiętała czasy, kiedy obie były młode. Tylko że śmiertelniczka miała prawo się zestarzeć. Boginka nie powinna.

– Żal chłopca.

Krystyna przytaknęła, chociaż tak naprawdę nigdy go nie lubiła.

– A jak tam ten nowy? – zapytała nagle rusałka. – Ten, co się do twojego wnuczka przyczepił? Pamiętam, jak bawili się razem na podwórku. Dawno go nie widziałam.

– Ja też nie. Wyprowadził się za Piotruśkiem do miasta.

– Szelma z niego. Poradzi sobie. – Pociągnęła łyk z butelki ozdobionej kiczowatym rysunkiem maliny. Z jej gardła wydobyło się głośne beknienie. – Piotruś też. A może nam wszystkim byłoby lepiej w mieście?

– Nie radzi sobie – westchnął Paweł. – To gimnazjum to jakieś nieporozumienie. Gdzie on później trafi, jak zawodówki tak udupil? Eksperymentują na dzieciakach.

– Jakby Czarnobył im nie wystarczył...

W upalny, letni dzień pola były nie-rucho. Żaden powiew wiatru nie rozpraszał duchoty. Krystyna szła w stronę mokradeł, podśpiewując pod nosem. Potrzebowała sporyszu, ale nie była pewna, czy uda się jej znaleźć choćby odrobinę na jakimkolwiek kłosisie.

Z początku sylwetka spacerująca wśród zbóż wydała jej się znajoma. Mimo gorąca kobieta poczuła przenikliwy chłód. Szybko zmówiła „Zdrowas Maryjo” i już chciała odwalić się w kierunku cienia, ale ciekawość zwyciężyła.

„Gdyby to naprawdę była ona... Dobry Boże, myślałam, że ich już naprawdę nie ma!”, myślała, podchodząc bliżej.

Błąda istota nie była południcą. Zupełnie nie przejęła się Krystyną, nawet kiedy ta stanęła tuż obok niej. Sięgała długą, chudą ręką do nieba i wydawała się nakłuwać morderczy błękit szponiastym palcem, zostawiając brzydkie szramy.

– Kim jesteś? – zapytała w końcu kobieta.

– Widzisz mnie? – zdziwiła się istota, jak niegdyś Czarnobył. – Ciekawe. – Znów nakłuła niebo. – Jestem Ozon.

– A co robisz?

– Robię dziury, przez które przenika śmierć z niebios.

– Ach, dziura ozonowa... Słyszałam w telewizji.

– Dobrze słyszałaś. Potrzebujesz czegoś?  
Na przykład raka skóry?

Między kobietą i Ozonem zapadła ciężka cisza. Po chwili Krystyna wydusiła przez ściśnięte gardło:

– Przepraszam, wzięłam cię za kogoś innego.

– Tamtych już nie ma – usłyszała jeszcze, gdy odchodziła. – Zostałam tylko ja.

Ku swojemu zaskoczeniu płakała, wracając do domu.

Sporysz nie znalazła.

Irena umierała. Nowotwór. Tym razem Paweł nawet nie próbował prosić matki o pomoc. Siedział przy żonie w zimnym, obskurnym szpitalu i cierpliwie znosił wszystkie jej ataki rozpacz, indolencję personelu i coraz gorsze prognozy.

Piotruś wyładował ze swoim Game Boyem u babci. Nie rozmawiali. Wnuczek urosł wzwyż i wszecz, stał się jeszcze bardziej mrukliwy. Gdyby Krystyna nie wiedziała lepiej, starałaby się przekonywać ludzi, że to tylko dorastanie i zaraz wystrzeli w górę, wyszczupleje, a dziewczyny będą za nim szaleć.

– Wnusi, pamiętasz swojego niewidzialnego przyjaciela? Jak byłeś mały, to mówiłeś, że bawisz się z Czarusiem.

– Babcia, daj spokój, głupi byłem – odpowiedział, podnosząc głowę. Po raz pierwszy od dawna mogła na chwilę spojrzeć w jego niebieskie oczy. Zwierciadła duszy. Czarno była tam nie dostrzegła. Może naprawdę odszedł?

– Ale zanim przestaliśmy się bawić, powiedział mi to i owo. O tym, jak się urodziłem. I o deszczach, które później spadły.

– W jego głosie było coś dziwnego, nuta groźby i przekory. – On przynajmniej twierdził, że znał moją prawdziwą mamę. Nikt inny nie raczy o niej wspominać.

– Twoja mama była...

– Głupia. Głupia była, że nie poszła do szpitala.

Szpital wykończył Irenę dość szybko. Sepsa, tak to się chyba nazywało.

Krystyna namawiała Pawła do powrotu na gospodarzkę. Razem byłoby im raźniej, a ona już nie miała siły sama wszystkiego utrzymywać. Obiecał, że się zastanowi. W końcu Piotruś zaraz miał skończyć szkołę. „Może jemu też by ta przeprowadzka dobrze zrobiła”, rozważała kobieta, odkurzając dokładnie wszystkie kąty. Sama myśl, że ktoś mógłby się znów kręcić po domu, że słyszałyby czyjś głos i miałyby się do kogo odezwać, napawała ją entuzjazmem. Wszystko mogło się jeszcze ułożyć. Piotruś wyjdzie jeszcze na ludzi...

Ale zawsze coś staowało na przeszkodzie.

Przecież młody musiał się uczyć do matury. Przecież na wsi nie ma internetu i wygód, do których przywykli. Przecież dojazdy do pracy ich zrujnują. Przecież Krystyna wciąż świetnie daje sobie radę.

Któregoś dnia Paweł powiesił się w swoim mieszkaniu. Na grubym pasku, chyba na wszelki wypadek, żeby z jego sznura nikt nie zrobił amuletu.

Nawet nie mówiła Piotrusiowi, kiedy zaczęła chorować. Wnuk i tak jej nie odwiedzał, twierdził, że ma pilniejsze sprawy na głowie. Spędziła Wigilię, siedząc po ciemku w pustym domu. Udawała przed sąsiadami, że pojechała do niego do miasta, nie chciała, żeby się wydało.

W pierwszy dzień świąt znalazła Czarno-  
była pod choinką. Wyglądał równie mizernie jak ona. Jego bicz był wystrzępiony i zużyty.

– Starość, co? – mruknął, kiedy usiadła na tapczanie.

– Myślałam, że ciebie to nie dotyczy.

– Wiesz, kiedyś miałem władzę nad tymi wszystkimi dziećkami. Wychuchane i wydmuchane, bo przecież wiadomo, radioaktywne opary zatrwały im życie. Ale teraz wszystkie poszły do psychologów i lekarzy, którzy im przepisali tabletki i wyjaśnili, że

to nie moja wina, po prostu rodzice ich zbyt rzadko przytulali. Czasami jeszcze o mnie żartują, ale coraz mniej osób łapie te dowcipy, więc przestają.

– Odejdiesz, tak jak tamci. I nikt nie zażęskni. Zapomną.

– Jeszcze trochę się utrzymam. Wiesz, teraz zaczna się martwić nowotworami i może sobie przypomną...

– Nie, za dużo innych rzeczy mogą obwiniać o choroby. Z ciebie faktycznie zostanie ciekawostka historyczna. Kiedy ja umrę, nie zostanie nikt, kto by cię w ogóle widział.

– Piotrek mnie widział.

– On teraz widzi tylko rzeczy w komputerze, przecież wiesz. Irena go tak urządziła. Cholerna ateistka. – Z jej piersi dobyło się donośne westchnienie. – Ludzie tacy jak ja pewnie kończą w psychiatrykach. Tam nikt nie zwraca uwagi...

– Dla ciebie i tak jest już na to za późno.

Koniec końców Piotruś wyłądował w psychiatryku. Krystyna nawet się ucieszyła, wreszcie miał dobrą opiekę i trochę mniej siedział przy komputerze.

Czarnobyl nie spuszczał go z oczu. Wnuczek też wodził za nim spojrzeniem, uśmiechając się słabo.

– Czarus – mamrotał, kiedy podawali mu leki. – Pobawimy się.

Krystyna pogłaskała go po nalanej twarzy i pocałowała w czoło. Nie skrzywił się, jak zwykł to czynić przez całe życie.

Splotła swoje suche palce z jego serdelkowatymi paluchami.

– Do widzenia, wnusiu.

– Do widzenia, babciu.

– Bądź grzeczny. Ja muszę cię teraz zostawić, ale pamiętaj...

– Zobaczą cię na mokradłach. Poznam, że to ty.

Wychodząc, kurczowo trzymała się barierki. Serce waliło jej jak młot.

Na przystanku siedziało jakieś dziwne, wielobarwne stworzenie. Kiedy przymykała oczy, miała wrażenie, że tamto mieni się, zmieniając rysy twarzy i miny z zadziwiającą prędkością.

– Nie znam cię. Kim jesteś?

– Widzisz mnie. – Istota uśmiechnęła się tysiącem różnych uśmiechów i poprawiła grzywkę, która wiła się i zmieniała kolory. – To dobrze. Chcę, żeby mnie widzieli. Jestem Dżenderem.

Krystyna wzruszyła ramionami. Nowy panteon robił się coraz dziwniejszy. A ona była już naprawdę bardzo zmęczona.

**ALEKSANDRA KOZIOL** ROCZNIK CZARNOBYLA.

ZAWSZE CHCIAŁA MIESZKAĆ NA STRYCHU,  
ŻYĆ Z PISANIA I UMRZEĆ NA GRUŻLICĘ.

DWA PIERWSZE PUNKTY SIĘ UDAŁY, A OSTATNIO MĘCZY  
JĄ KASZEL. PONIEWAŻ PO STUDIOWANIU STOSUNKÓW

MIĘDZYNARODOWYCH MOŻNA ROBIĆ WSZYSTKIE,

PRACUJE JAKO REDAKTORKA W CZASOPIŚMIE  
O DUCHACH. JEŚLI AKURAT NIE PISZE, TO CZYTA,

SŁUCHA ROCKA, GRA W RPG  
I GŁASZCZE CUDZE KOTY.

REKLAMA



# TRZEBA PISAĆ, LUDZKOŚĆ CZEKA!

My czekamy na Twój tekst pod adresem:  
redakcja@smokopolitan.pl, a Ty na co czekasz?

# Trojańczycy

Marianna Szygón

W rozwidleniu starzec przystanął na moment i wstrzymał oddech. Nasłuchiwał odległego echa, walcząc ze złudzeniem, że w pustelni oprócz niego przebywa ktoś jeszcze. Dźwięki dochodziły z samego serca ponurego kompleksu. Z czegoś, co dawno temu ktoś nazwał komorą grobową. Czyżby zakłócono sen drzemiących?! Ale przecież starzec strzegł ich spokoju jak oka w głowie! Kiedyś, na samą myśl o samoistnym przebudzeniu tych, którzy oddali mu się w opiekę, wybuchnąłby gromkim śmiechem. Teraz wydawało mu się to całkiem prawdopodobne. Bał się, że zamierzają wyrównać rachunki.

Przyśpieszył kroku.

Chłód, ciągnący od ścian, wskazywał mu kierunek ogrodu o wiele skuteczniej niż słaby poblask niepewnie migocących lamp. Tutaj nie docierały żadne niepokojące odgłosy. Ciszę mącił jedynie plusk przepływającej wody i podobny do trojańskiego wiatru, monotony szum wentylatorów. Starzec podczołgał się w głąb zieleńca i wymacał na skraju jednej z płyt uprawnych nożyk do przycinania roślin. Niestety, lekki przedmiot szybko wymusknął się spomiędzy drżących, starych palców. Było zbyt późno, by szukać go w gęstym kobiercu liści. Teraz, kiedy słyszał, że dźwięki podążyły jego śladem, nie

mógł zrobić nic więcej. Ukrył się w gęstwinie i zeszytywniały ze strachu czekał na to, co i tak musiało się zdarzyć.

\*\*\*

Cała kolonia tym żyła. Nie na tyle oczywiście, by mogło to zakłócić ustalony od lat porządek na Troi. Odległa katastrofa pozostała ciekawostką astronomiczną, z dnia na dzień przyćmiewaną przez inne, bardziej prozaiczne wiadomości.

Przynajmniej oficjalnie.

Scotta Herfera nigdy nie zajmowały teorie spiskowe, od których roilo się w Resniecie. Tym razem jednak oderwał Tamarę od przycinania bukszpanu i odciągnąwszy na bok, zaczął dzielić się z nią niewiarygodnymi sensacjami z takim przejęciem, jakby święcie w nie wierzył.

– To przez Pentazyleę – szepnęła, podejrzliwie rozglądając się na boki. – Szlag wszystkim trafi.

– No i co? – Żona zdjęła rękawicę i podrapała swędzący nos, nie odrywając wzroku od krzewu, uformowanego w stożek równie idealny jak te w rządzie za nim. – Nie mów, że rozniosło kolejny księżyc.

Niewiele obchodziły ją naukowe nowinki. Scott pamiętał, jak wzruszała ramionami, gdy Reswizja ogłosiła, że grawitacja Ladona rozszarpała jeden z mniejszych

księżyców, Kreuzę. Naturalny satelita, krążący wewnątrz granicy Roche'a gazowego giganta, poddał się bez walki. Naukowcy od dawna przewidywali, że siły pływowe doprowadzą w końcu do jego rozpadu. Skalny gruz na ekranie telewizora przypominał ledwie pył, uczeni w studio spekulowali jednak, że średnice wielu odłamków idą w kilometry. Wstęga szczątków ciągnęła się coraz dłuższym pasmem na dawnej orbicie księżyca. Uczeni z dumą podkreślali, jak historycznego wydarzenia są świadkami – nieodżałowana Kreuza formowała pierścień, który już na wiskość, niczym aureola, miał zdobić skronie olbrzyma i rozświetlać niebo nad ich domem, trojańską planetą potężnego Ladona.

Niewielu kolonistów pojęło znaczenie tego wydarzenia.

Herfer pokręcił głową niecierpliwie i wyjaśnił jeszcze ciszej:

– Wystarczy, że Pentazylea zmieniła trajektorię kilku odłamków.

– Czyli co, mała apokalipsa? – Żona ziewnęła demonstracyjnie, bardziej ze złośliwości niż z rzeczywistej potrzeby. – Która to z kolei? Resnet aż kipi od takich bajek.

Cofnął się o krok. Pozwolił sobie na chwilę wahania, zanim wyznał, wbijając wzrok w buzujący kolorami dywan z kwiatów:

– Wiem to od Eiko.

Tamara przewróciła oczami, omiatając pełnym politowania spojrzeniem przypominające plaster miodu ożebrowania kopuły i niebo w kolorze sepii ponad nim.

– Eiko, znowu Eiko. Obiecałeś, że więcej o niej nie usłyszę. Czyżby znudziła ją tamta rządowa lampucera? A może znowu zaczęło jej odwalać? Pieprzona wariatka!

– Przestań! – zachnął się. – Dane z Rewizji nie są sfalszowane. Ale naukowcy nie mówią całej prawdy. Ujawnili tylko informacje o tych odłamkach, które naprawdę miną

Troję. Trajektorii dwóch pozostałych nie podała publicznej wiadomości.

A Eiko nie odwala, ona... eksperymentuje. Kobieta spoważniała.

– Wiedzą, gdzie walnie?

Skinął głową.

– Tak, znają przybliżone miejsce impaktu: pierwsza spadnie jakieś trzysta kilometrów na zachód od Resos. Druga niewiele dalej.

– No to nie ma czego roztrząsać. – Tamara wydeła lekceważąco wargi.

– Jest. Podobno takie uderzenie wywoła tsunami... Nie mamy szans.

Szefowa sekcji ogrodniczej znowu uśmiechnęła się kpiąco.

– Bo pewnego dnia obudzimy się w akwarium?

– Nie obudzimy się. Żadna kopuła tego nie przetrwa.

– Wstrząsające – mruknęła, zakładając rękawicę. – Mam ciekawsze rzeczy do roboty niż wysłuchiwanie takich bzdur.

– Na przykład koszenie trawników? – zadrwił.

– Na przykład – odparowała, założyła osłonę na twarz i sięgnęła po leżący na pod ręcznym wózku sekator. – Lepiej zajrzyj do Miszki. Ostatnio wcale go nie odwiedzasz. A chyba powinieneś skoro, jak twierdzisz, nadciąga koniec świata?

Scott oderwał wzrok od równiusieńkich kamyków idealnego, jakby wypolerowanego żwiru. Zastępy ogrodników takich jak Tamara przez całą dobę dbały, by jedyny rekreacyjny park kolonii nie tylko przypominał, ale przyćmiewał te, które widywali na filmach o Ziemi, jednak wyłącznie dotyk jego żony sprawiał, że rośliny piękniały w oczach.

– Eiko wie to z pierwszej ręki – powtórzył już bez skrępowania. – Właśnie od tamtej rządowej lampucery. Jeśli nie rozumiesz, co to oznacza, to jesteś jeszcze bardziej ograniczona, niż zawsze myślałem.

Do jasnej cholery, przecież nie musiała wcale mi o tym mówić!

Zapatrzony w ogród, daremnie czekał na ripostę. Zamiast niej usłyszał świst nożyc: żona cięła gałązki tak zawzięcie, jakby miała przed sobą kobietę, która o mało co nie rozbiła jej małżeństwa.

\*\*\*

Świat zwany Troją, nie odstępujący ani na krok gazowego giganta, towarzyszył mu niczym wierny pies. Przywędrował z peryferiów układu, by uwięznąć na eony w jednym z dwóch stabilnych punktów libracyjnych orbity Ladona, tuż przed zewnętrzną granicą ekosfery tutejszej gwiazdy. Na rozwój podobnych do ziemskich organizmów na Troi nie pozwalały niskie temperatury, ale azotowa atmosfera i ocean węglowodorów sprzyjały powstawaniu życia w innej postaci. Naukowcy żartowali często, że patrzą Panu Bogu na ręce. Gromadzili dane, katalogowali molekuly, badali związki przyczyn i skutków. Pracy nad tym fenomenem miało im starczyć na kolejne stulecia i tylko ona nadawała sens ludzkiej obecności na Troi. Tylko poszukiwanie Świętego Graala astrobiologii usprawiedliwiało założenie kolonii w tak niegościnnym miejscu.

Członków i potomków personelu pomocniczego niewiele to obchodziło: przywieziono ich przecież jedynie po to, by codziennymi wysiłkami zapewniali samowystarczalność placówki.

Resos, miniaturowy kontynent ze wszystkich stron otoczony smolistym wszechoceanem, długo pozostawał jałową pustynią. To człowiek tchnął w nią życie, stawiając monumentalne kopuły mieszkalne i odgradzając się od azotowej atmosfery mozaiką szkła i metalu. Konstrukcje, przypominające z orbity wielkie, błyszczące bąble, jeden obok drugiego wykwitające na kamienistym gruncie, setki lat wcześniej stały się domem dla przybyszy z odległej Sati, a obecnie

prawie tysiąca Trojańczyków. Plotki o nadciągającym kataklizmie szybko się rozeszły, ale astronomowie skutecznie je zdementowali. Obliczyli, że odłamki miną Troję w bezpiecznej odległości, dowiedli, że nie ma powodów do niepokoju. Aby zatrzeć wrażenie, że mają coś do ukrycia, wszystkie dane udostępnili w Resnecie, aby każdy, kto chce, mógł prześledzić wyliczenia uczonych.

Ale nie każdy potrafił to zrobić. Nie każdy chciał, mając ważniejsze zmartwienia.

– Cześć, Miszko. – Tamara pogładziła bezwładną rękę syna. – Co słychać?

Chłopak nie mógł odpowiedzieć. Zespół Ikelosa tylko z pozoru przypominał zwykły sen. Występował jedynie na Troi, cierpiący na niego osoby pewnego dnia się nie budziły i tak jak we śnie rzucaly się na szpitalnych łóżkach, gadały niezrozumiale, czasem wołając najbliższych. Bywało, że trwały w tym stanie latami. Wielu umarło z krzykiem, jakby koszmary przyprawiły ich o śmierć. Do tej pory nie wyjaśniono przyczyn choroby, choć po Resnecie krążyła plotka, że wywołuje ją jeden z tutejszych prymitywnych mikroorganizmów.

Miszka w obecności matki zawsze spał wyjątkowo spokojnie. Tamara pogładziła jego włosy. Odgarnęła kosmyk opadający na oczy i położyła dłoń na czole syna tak jak w dzieciństwie, gdy sprawdzała, czy mały nie gorączkuje. Nagle chłopak jęknął i gwałtownym ruchem głowy strącił rękę matki.

– Wciąż podobny do ciebie. – Od drzwi dobiegł melancholijny głos Eiko Bošković. – Jak dwie krople wody.

Tamara drgnęła i odruchowo zacisnęła pięści.

– Co tu robisz?

– Oficjalnie wciąż jestem tu na etacie.

– A nieoficjalnie?

– Przyszłam porozmawiać.

Herfer obróciła lekko głowę, zerkając na Bošković kątem oka.

– O czym?

Eiko cicho zamknęła drzwi i podeszła do łóżka Miszki. Stała naprzeciw Tamary, pytając:

– Słyszałaś o „Odysuszu”?

– O muzeum na orbicie? Poroniony pomysł.

– To nie będzie muzeum. Raczej... arka. Oficjalnie zamknięto listę, ale zostało jeszcze parę miejsc – dodała z naciskiem, spoglądając Herfer prosto w oczy. – Tylko parę.

– O czym ty... – Tamara urwała, by spytać po chwili wahania: – Ile jest tych miejsc?

– Dwa.

– Nas jest troje – przypomniała lodowatym tonem.

– Wiem, ale... – Eiko z zakłopotaniem przygryzła wargę i wskazała aparaturę dozującą mieszaninę odżywczą. – Zdajesz sobie sprawę, że na „Odysuszu” nie zdołamy zapewnić mu takiej opieki. Wierz mi: wczoraj stamtąd wróciłam.

Herfer ściągnęła brwi.

– Można go zahibernować jak pierwszych kolonistów.

– Kochanie, tamte urządzenia zostały już... – Bošković starannie szukała odpowiedniego słowa: – ...wykorzystane. Zresztą, od setek lat ich nie używano. Nikt nie daje gwarancji, że będą działać tak, jak powinny.

– Nie jestem twoim kochaniem. – Matka Miszki pobiegła spojrzeniem ku twarzy syna i ujęła jego dłoń. – Podejmę ryzyko – warknęła. – Słyszałam też o tych twoich...

– Do komór, moja droga, nie ma już dostępu. Oferta dotyczy czuwania na pokładzie. Innych opcji nie masz.

Herfer zaniemówiła. Z trudem hamowała wzbierający gniew. Wreszcie odezwała się lodowatym tonem, wyrażając myśl, która od dobrej chwili krążyła jej po głowie:

– Nie robisz tego z życzliwości. Do czego jesteśmy wam potrzebni?

Eiko uśmiechnęła się ze zrozumieniem i musnęła opuszkami palców drugą dłoń leżącego chłopca, nonszalancko, jakby chciała sprawdzić jego podatność na łaskotki. Tamara obserwowała to z niepokojem.

– Widzisz, spędzimy na orbicie sporo czasu. Naprawdę sporo. Wysłaliśmy na Sati sygnał SOS, ale zanim tam dotrze i zanim wyślą ratowników, o ile wyślą, upłyną dziesięciolecia. Potrzebny nam dobry ogrodnik. Piekielnie dobry. Taki, do którego, jak do ciebie, rośliny będą Ignać i wzrastać jak zahipnotyzowane. Zapewnisz nam wyżywienie na lata.

– A mój mąż, pracownik zakładu oczyszczania? – Matka Miszki zmarszczyła brwi. – Będzie opróżniał wam kosze na śmieci?

– Scott potrafi pieprzyć się jak mało kto i posiada nasienie wysokiej jakości. Sama badałam – padło szczere wyznanie. – A to niezwykle istotne, jeśli mamy myśleć o odbudowaniu populacji, nie uważasz?

Drobne palce Bošković zwinnie wśliznęły się pomiędzy chude palce Miszy. Zaczęła bawić się dłonią chłopca jak zabawką. Dzieciak poruszył się niespokojnie.

Matka skrzywiła się z niesmakiem.

– Nasz troskliwy zarząd pomyślał o wszystkim – stwierdziła drwiąco, obeszła łóżko i odsunęła Bošković od syna, wciskając się pomiędzy nich. – Szkoda, że nie o wszystkich, banda zakłamanych skurwieli.

– Nie da się ocalić wszystkich, Tamaro.

Eiko chciała przysiąc na skraju materaca, ale Herfer i na to nie pozwoliła, z zapalem zabierając się za poprawianie szpitalnej pościeli.

– Znajdź trzy miejsca albo pójdę z tym do gazet – warknęła przez zaciśnięte zęby.

– Idź. Rada zdementuje, a ja zaprzeczę. – Bošković oparła dłonie o dolny szczyt łóżka.

– Zastanów się: to jeszcze jedna teoria spiskowa. Nikt normalny już w nią nie uwierzy.

– Zobaczymy.

\*\*\*

Zapomniany „Odyseusz” od lat krążył po cementarnej orbicie Troi. Od czasu, gdy na Resos zasiedlono pierwsze kopuły mieszkalne, na jego pokładzie nie powstała ludzka stopa. Dopiero po katastrofie Kreuzy wysłano ekipę, by oceniła stan starego gwiazdolotu. Czas okazał się dla niego niezwykle łaskawy: statek wymagał drobnych, w skali takiego kolosa, lecz niezbędnych napraw. Oficjalnie dawno temu przeznaczono go do pełnienia funkcji muzeum, lecz dopiero teraz znalazły się na to fundusze, a pośpiech usprawiedliwiano przygotowaniami do nadchodzącej okrągłej rocznicy powstania kolonii. Resnet huczał od plotek o nadciągającym kataklizmie, lecz wszystkie dementowano, wyśmiewając tych, którzy dawali im wiarę.

Odlotu pierwszej ewakuowanej grupy nie utrzymywano w tajemnicy. Członkowie głównej rady naukowej i wysłannicy zarządu kolonii na „Odyseusza” udali się z należną pompą i w świetle jupiterów. Reswizja co dzień donosiła o przygotowaniach do otwarcia statku-muzeum. Transmisjom, przemówieniom i wywiadom nadawanym ze starego gwiazdolotu nie było końca. Spadkobiercy ojców założycieli kolonii z dumą ogłaszali co dnia w Resnecie, jaka świetlana przyszłość czeka Troję. Do publicznej wiadomości nie podano, że zabrali na orbitę także rodziny. Życie kolonistów na pozór toczyło się niezmiennym, leniwym rytmem.

Ale tylko na pozór.

Niebo ponad dachem kopuły dziewiętego, ostatniego kręgu habitatów nieubłaganie ciemniało, a gasnące promienie pomarańczowej gwiazdy znaczyły zachód mdłą poświatą. O tej porze ruch zamierał; nocna zmiana zakładów przetwarzających trojańskie surowce niedawno zaczęła pracę. Wśród prawie tuzina ludzi oczekujących przy krańcu pasm komunikacyjnych Scott nie rozpoznał ani jednej znajomej twarzy. Obcy

nie przypominali spóźnionych robotników, czekających na transport do domu, a raczej naukowców, gotowych do eksploracji niegościnnych pustkowi Resos. Nerwowo zaciśkali dłonie na symbolicznych bagażach; nie pasowali do obrazu codziennej rutyny. Scott Herfer czuł się wśród nich tak niepewnie, jakby czekali na wyrok.

Raz za razem rozglądał się nerwowo. Nie liczył na to, że Tamara przyjdzie go pożegnać, choć wiedziała, że odlatują właśnie dzisiaj. Eiko też się spóźniła, ale ją z pewnością musiało zatrzymać coś ważnego. Rozumiał to, ale odczuwał coraz większy niepokój. *Ona tak naprawdę ma cię gdzieś, skończysz jako luksusowa męska dziwka dla VIP-ów*, usłyszał w głowie drwiące słowa żony.

*Potrafisz mówić o kimkolwiek, nie plując ja-dem?* – spytał poprzedniego poranka. Odwiedził ją w parku, gdzie pielęgnowała zieleniec, jak gdyby koniec świata wcale nie nadciągał.

*O niej nie umiem inaczej*, odparła wtedy.

*Widzisz... Przez ten rok, kiedy byliśmy razem, dostałem od niej więcej ciepła niż od ciebie przez wszystkie lata. Dla ciebie istnieje tylko Misza, ja się nigdy nie liczyłem, wyznał szczerze, mając nadzieję, że sprawi jej przykrość.*

*Dla ciebie za szybko przestał istnieć. Musiałam dbać o niego za nas dwoje*, odparowała. Te słowa dziś bolały tak samo jak wczoraj. Przecież Scott na swój sposób kochał pograżonego we śnie syna.

– Gotowi? – Eiko pojawiła się nagle, jakby znikąd, i szukała wzrokiem Tamary.

– Postanowiła zostać – wyjaśnił ponuro.  
– Z Miszką.

– Jej strata – odparła twardo, po czym głośno zwróciła się do wszystkich: – Chodźmy. Nie mamy wiele czasu. Pogoda się psuje.

Milcząca grupka wybranych powędrowała do wrót. W długim korytarzu służy wszyscy w skupieniu założyli kombinezony

termiczne, przypięli uprząże tlenowe i pobrali przezroczyste maski. Panel z boku zewnętrzznego włazu zasygnalizował gotowość do pracy jadownicie zielonym światłem. Wczepiony weń kołnierz naukowego pojazdu eksploracyjnego SEV zaraportował szczelność połączenia. Eiko wstukała kod, poczekała na pozwolenie programu i ręcznie zwolniła blokadę. Gdy skrzydło włazu uniosło się dostojnie, ukazując wnętrze wehikułu badawczego, zmodyfikowanego do przewozu pasażerów, skinęła na obecnych zapraszającym gestem.

Ani jedno słowo nie zmąciło ciszy, odmierzonej miarowym popisakiwaniem automatów. Dopiero gdy pojazd odłączył się od habitatu, a rdzawy pył skrył przed oczami uciekinierów kopuły mieszkalne i słońce Troi opadło za horyzont, dały się słyszeć pierwsze rozmowy. Pełne napięcia, zdawkowe, nieskładne, pobrzmiwały aż do momentu, gdy ciemność za wizjerami wehikułu przeszły strumienie oślepiającego światła. Trojański wicher zawył jeszcze wścieklej, przywodząc na myśl ryk silników gigantów wydobywczych, wzdłuż i wszczeg przemieszczających Resos, pył zawirował gwałtowniej, jak podczas zamieci. Człowiek za kokpitem zatrzymał pojazd z przekleństwem na ustach i zawołał z przejęciem:

– Założyć i uszczelnić maski tlenowe! Możliwa dehermetyzacja!

– Czemu stoimy? – Tęgawy Murzyn poderwał się z miejsca i zaglądał w wizjery, usiłując dojrzeć cokolwiek ponad ramionami innych pasażerów. – Jedźmy, do cholery!

– Zablokowali nas! – odkrzyknął pilot.

– Kto?! Co?! – zaczęły wołać podróżni, niespokojnie wierząc się w fotelach.

Na zewnątrz zaroilo się od cieni; właz zadzwieczał niczym dzwon. Zdawało się, że ktoś uderzał w niego stalową pięścią jak taran we wrota starożytnej twierdzy.

– Nie ma wolnych miejsc! – krzyżała jakaś kobieta, choć natręci na zewnątrz nie mogli jej usłyszeć, i biła dłonią w okienko bulaja. – Nie ma!

– Co to za jedni? – Nerwowy Murzyn przypadł do Eiko i chwytając za ramię, wyciągnął ją z fotela. – O co chodzi?

Bošković pokręciła w zakłopotaniu głową.

– Nie wiem. Tego nie było w planach – odparła niepewnie.

– Skoro nie da się ich wyminąć, każ kierowcy wycofać. – Nerwus potrząsnął nią jak zabawką. – Niech cofa, do cholery!

– Są też za nami – zagrzmiał pilot za plecami Bošković. – Mam ich tratować?

– Tak, do jasnej cholery!

– Tak, jeśli nie ustąpią! – Rozległy się okrzyki poparcia z głębi pojazdu. – Ruszać! Natychmiast! Nikogo nie zabieramy! Nie ma miejsc!

– Każ mu ruszać. – Czarnoskóry popchnął Eiko w kierunku kokpitu. – Już!

Zatrzymała się w ramionach stojącego w przejściu kierowcy, zaciskając powieki aż do bólu; dudnienie z zewnątrz przybrało na sile. Wehikułem zakołysało, światła na zewnątrz przygasły. Stojący w przejściu między fotelami wylądowali na podłodze. Poszycie zadzwieczało, a głuchy huk zasygnalizował podpięcie kołnierza obcego pojazdu do włazu.

– Wejść! – Pilot wygramolił się spod Eiko i dopadł ekranu z podglądem otoczenia. – Podczepiają MEV-a! Sprawdzić kombinезony! Założyć maski!

Wtedy w Bošković coś pękło: straciła całe opanowanie, drżąc i łkając wpełza pomiędzy fotele i zastygła tam skulona, otaczając głowę ramionami jak przestraszone dziecko. Scott, dotąd beczynnie oczekujący na rozwój wypadków, prawie na czworakach dotarł do kokpitu i podążył wzrokiem za grubym paluchem pilota, wskazującym wpięty w tylny port dokujący górniczy wehikuł



ratunkowy. Oprogramowanie pojazdów tego typu łamało wszelkie zabezpieczenia wrót, co znacząco ułatwiało niesienie pomocy, a w ich przypadku – czyniło bezbronnymi. Potem zerknął na zagradzającego im drogę wydobywczego giganta.

Zrozumiał, że już czas. Z przybornika na biodrze dobył mały walec, przypominający podręczną latarkę, i ugodził nim pierś nie spodziewającego się zdrady pilota. Ciało człowieka za kokpitem przeszły paraliżujący impuls, który, choć znacznie osłabiony przez kombinację termiczny, oszołomił mężczyznę, pozwalając Scottowi zdalnie odblokować wąż. Krzyki zaskoczonych pasażerów, bełkot otumanionego pilota i alarmowy brzęczyk otwieranej śluzki zły się w jedno. Intruzi wtargnęli do środka; widząc barczyście postacie ludzi, nie obawiających się ani ciężkiej pracy, ani konfrontacji, podróżni zamarli w oczekiwaniu.

– Przesiadka, mieszcuchy. – Scott od razu poznał głos, należący do Martineza, dalekiego krewnego żony. – Koniec wycieczki!

Nikt nie ruszył się z miejsca. Krewki Murzyn, zszokowany, powoli opadł na fotel. Ci, którzy uprzednio opuścili miejsca, teraz poszli w jego ślady. W nienaturalnej ciszy szcękniętą zatrzask zapinanego pasa: pierwszy, potem drugi i kolejne. Pasażerowie przygotowywali się do biernego oporu.

Górnicy sięgnęli po paralizatory.

\*\*\*

Światła kosmodromu coraz śmielej rozpraszały mętny trojański mrok. Wehikuł ekspedycyjny toczył się ku nim pośpiesznie. Na zewnątrz bez przeszkód hulał coraz gwałtowniejszy wiatr, ciskając pyłem o wizjery; po jednej stronie pojazdu zasypał je prawie szczelnie. Słotczeni górnicy i członkowie ich rodzin zajmowali każdy skrawek wolnego miejsca; jedynie dla niewielu starczyło foteli. Milczeli, czasem tylko ten i ów pozwalał sobie na

nerwowe westchnienie. Pogoda nie sprzyjała startom wahadłowców, ale na razie nikt głośno nie wyrażał trapiących wszystkich obaw. Co będzie, jeśli kosmodrom odwoła lot? Przecież podróżujący naukowym wehikułem ekspedycyjnym nie mieli dokąd wracać.

Nie, nie porzucili tamtych ludzi na pastwę mroźnych pustkowi Resos. Zostawili im MEV-a i bezużytecznego już giganta, przezornie pozbawiając je łączności. *Możecie w nim mieszkać do końca świata*, zadrzwił któryś z górników na pożegnanie, ale mało kogo rozbawił ten żart. Podróżnikom poturbowanym w bezpardonowej szarpaninie nie było do śmiechu.

Górnicy stracili przez tamte przepychanki sporo cennego czasu. Burza pyłowa rosła w siłę, stanowiąc jednocześnie wiarygodne alibi opóźnienia. Tamara odetchnęła głęboko. Przez moment wydawało jej się, że czuje na języku pył Resos. Oblizała spieczone wargi – metaliczny posmak jeszcze przybrał na intensywności. Mocniej ścisnęła dłoń przypiętego pasami do fotela, nieprzytomnego Miszki.

– Jeśli zdradzisz nas choćby słowem, zabiję! – krzyknęła do ucha siedzącej z drugiej strony Eiko.

Bošković skinęła głową, choć ledwo słyszała słowa Herfer przez dudnienie silników i wycie wichru na zewnątrz.

– Dobrze, mamó – odparła.

– Nie mów tak. Nie pozwalam ci tak mówić.

– Dobrze, mamó – powtórzyła przymilnie, unosząc ramiona i skrywając w nich głowę, zupełnie tak jak niegdyś zwykł robić Miszka.

Scott z fotela naprzeciwko patrzył na obie kobiety z lękiem i niedowierzaniem. Hałas sprawił, że raczej odgadł, niż pojął znaczenie tych słów. Tamara unikała jak ognia kontaktu wzrokowego z siedzącą obok Bošković. Całą nienawiść do niej

kumulowała w spojrzeniu, którym obdarzała męża. *To wszystko twoja wina, draniu*, zdawała się mówić.

– Zabrałam cię tylko dlatego, żeby wpuścili nas na prom – zwróciła się po chwili do Eiko. – Znają cię. Jakoś wyjaśnisz, że jest nas więcej. Wymyślisz coś.

– Tak, mam. Najważniejsze, że jesteśmy razem.

– Zamknij się, zdziro. Nie masz prawa tak do mnie mówić.

– Dlaczego? – spytała przekornie Eiko, podciągnęła się w fotelu i zaczęła machać nogami nad podłogą jak dziecko. – Przecież byłam grzeszny.

– Zamknij się – powtórzyła Herfer.

– Nie kochasz mnie już, mam?

Tamara z wściekłością odwróciła głowę. Jeszcze mocniej ścisnęła dłoń syna, żałując, że nie czuje ciepła skóry. Ich palce dzieliły dwie warstwy rękawic, sprawiając, że Miszka zdawał się być tak odległy, że prawie nierzeczywisty. Mniej prawdziwy niż kobieta, która – matka przygryzła wargi w bezsilnej złości – bezczelnie go udawała.

Gdy ekipa wydobywczego giganta siłą wyrzuciła pasażerów pojazdu eksploracyjnego, Eiko zastygła na podłodze, mocno zaciskając powieki i obejmując głowę ramionami tak, jak zwykł czynić to w dzieciństwie przestraszony Miszka. Tamarę rozszedrzył ten widok, przywołując bolesne wspomnienia; szturchnęła w ramię dalekiego krewnego z ekipy wydobywczej, by zajął się leżącą. Ledwo Martinez złapał ramię Bošković i bez ceregieli wyszarpnął ją spomiędzy foteli, zaczęła krzyczeć. Wołała matkę w języku, którego nie miała prawa znać i w sposób przyprawiający Herfer o szaleństwo. Uległa odruchowi, jaki wie dzie owcę ku kwilącemu jagnięciu; odepchnęła kuzyna i przypadła do Bošković, instynktownie chcąc ją obronić.

Dopiero gdy tamta uniosła powieki i Tamara spojrzała w jej czarne oczy, tak niepodobne do szarych oczu Miszki, przyszło opamiętanie. Cofnęła się z odrazą; nagle pojęła w pełni, na czym polega obłęd Eiko. Z jakiego powodu klinika wysyłała ją na te wszystkie bardzo długie urlopy. Tamara pamiętała jadowity żart, powtarzany przez pielęgniarki: *Któż zgadnie, kim dzisiaj jest doktor Bošković?* Nie rozumiała wtedy, o czym mówią. Teraz miała ochotę rozszarpać ją na strzępy, ale sparaliżowane szokiem ciało odmówiło posłuszeństwa.

Wehikuł naukowy z wysiłkiem wtoczył się na teren kosmodromu. Dokładnie zasypany pyłem plac przed głównym budynkiem przeczłonego silnika, by wreszcie zastygnąć w pół drogi. Wysiłki człowieka, który zastąpił pozostawionego w gigancie pilota na niewiele się zdały i gdy już wyglądało na to, że zostaną zasypani o włos od celu, zamiast ustała jak ręką odjął. Wicher przestał uderzać o ściany pojazdu, a z radia zamiast trzasków i szumów popłynął głos z kontroli lotów:

– ...*SEV-24, macie cholernego farta. Meteorolodzy zapowiadają parę godzin spokoju, choć wygląda na to, że czeka was mały spacer, odbiór.*

Eiko odetchnęła z ulgą i filuternie uśmiechnęła się do Scotta. Zażenowany założył i uszczelnił maskę, po czym wstał i wyciągnął ręce w kierunku Miszki.

– Wezmę go – zapowiedział, podnosząc syna.

Wtedy chłopiec otworzył oczy.

\*\*\*

„Odyszeusz” powitał ich chłodem. Nikt nie wyszedł im na spotkanie: gwiazdolit, przedstawiany na transmisjach jako gwarne, przyjazne miejsce okazał się wydmuszką, ponurym sarkofagiem zahibernowanych oficjeli, krążącym po orbicie wyłącznie z przyzwyczajenia.

*Kochanie, te urzędnienia zostały wykorzystane, powiedziała niegdyś Eiko, do komór nie ma już dostępu.* Nie nadmieniła tylko, że pośpieszne przygotowanie statku do przyjęcia niehibernującej ekipy konserwatorskiej pozostawiało wiele do życzenia.

Troja wkrótce zamilkła. Nie udało się przywrócić łączności, nawet kosmodrom w centrum kontynentu nie odpowiadał. Poczucie izolacji przytłaczało Trojańczyków, bo choć doświadczali go codziennie, zamknięci w kopalach habitatu, tutaj przybrało ekstremalne formy. Po początkowej euforii, teraz niewielu uważało się za w czepku urodzonych. „Odyszeusz” dobitnie okazywał niechęć pasażerom na gapę, prowokując awarię za awarią. Prowizoryczne naprawy, odpowiednie dla wydobywczej maszyny pelzającej po bezdrożach Resos, nie sprawdzały się na starym statku międzygwiazdowym. Do tej pory górnikom starczało i umiejętności, i zapasu, by likwidować kolejne usterki, ale coraz częściej powtarzali, że warto wysłać zwiad na Resos. *Ktoś musiał przeżyć, coś na pewno zostało, po prostu leży łączność*, wyrażali naiwne nadzieje.

Tamara, jak tylko mogła, unikała tych, którzy wciąż i wciąż trąbili o konieczności powrotu, zwłaszcza że u wielu z nich wyczuwała niechęć, pretensje lub kielkującą nienawiść. *Po co ściągałaś nas na ten złom? Po co, do cholery, do nas z tym przysłałaś? Dlaczego nie powiedziałaś, że ogród nie wykarmi nas wszystkich? W gigancie też mielibyśmy jakieś szanse. Czy nie lepiej byłoby zginąć od razu tam, na dole, niż zdychać z głodu tutaj?*

Zaciskała zęby i robiła swoje. Dopiero gdy prom wysłany na rekonesans rozwiął resztki nadziei na możliwość powrotu na planetę, stała się obiektem jawnej nienawiści. Na całe dni znikwała w sekcji ogrodniczej, za towarzystwo mając jedynie milczącego Miszkę i nieodstępną Eiko.

Rodząca się rywalizacja pomiędzy prawdziwym i nieprawdziwym synem spędzała jej sen z powiek. Ciągłe awarie zasilania i skoki temperatury nie służyły roślinom: hydroponiczne uprawy wzrastały wyjątkowo opornie. Dziwiło ją to i frustrowało. Ona, najbardziej utytułowany ogrodnik na Resos, nie potrafiła zmusić do plonowania najprymitywniejszego zielska.

Jakby rośliny odwróciły się od niej, uciążone.

Herfer unikała myśli o najbliższej przyszłości. Nie zdołała jednak uniknąć nieproszonej wizyty.

– Nie możemy dłużej czekać. – Martinez nie należał do osób pogodnych, ale tym razem wyglądał wyjątkowo ponuro. – Zapasy się kończą, wiesz przecież, kurna.

W odpowiedzi niechętnie skinęła głową. Gdzieś z głębi hali, zastawionej wielopoziomymi rzędami stelaży uprawnych, dobiegało niewyraźne odliczanie. *Dwa... anaście, trzynaa... aście, czterna... aście... Szszszuka... am!* Potem zabuczał silniczek i zaskrzypiał kółka wózka inwalidzkiego, zmajstrowanego przez któregoś z górników.

Miszka i Eiko bawili się w chowanego.

– Cześć... Na co? – spytała, nie odrywając wzroku od wątych, żółknących liści fasoli.

Martinez minął kuzynkę, udając, że interesują go rośliny. Skubnął nawet którąś, powąchał, zmiażdżył w dłoni i cisnął na podłogę.

– Nie udawaj głupiej – mruknął, stając obok Herfer. – Twój mąż obliczył, która sekcja na tym złomie zre najwięcej energii.

Trzymający się dotąd z tyłu Scott chrząknął nerwowo.

– Mogłem popełnić błąd – zastrzegł skwapliwie. – I nic im nie sugerowałem.

Tamara odwróciła się powoli. Wyglądała na to, że nie chciał ponosić odpowiedzialności za coś, co wciąż pozostawało dla niej tajemnicą. Oparła się o półki hydroponicznej

hodowli i przebiegła wzrokiem po twarzy męża i kuzyna.

– Zamierzacie odciąć mi ogródek?

– Nie. Jest inne wyjście – odpowiedział górnik. – Drastyczne, ale rozwiąże wiele problemów. Poprawi zaopatrzenie w energię.

Scott milczał, zatapiając spojrzenie w podłozie. Tamara zmarszczyła brwi.

– Czy wy myślicie o...

Nie dokończyła, bo pomiędzy nich z głośnym buzieniem silniczka wjechał Miszka i skrył się za plecami ojca, umykając przed ścigającą go Eiko. Dopadła go bez trudu, by klepnąwszy w ramię, triumfalnie zawołać „Berek!” i pognać gdzieś w głąb hali. Chłopiec na wózku ze skrzypiącymi kółkami podążył za nią, o mało co nie przejeżdżając wujowi po stopach. Uwagi Tamary nie uszła odraza, z którą mąż obserwował tę zabawę. Czy też dostrzegął w tej niby bez troskiej grze element rywalizacji i to, jak uparcie Eiko usiłowała dowieść, że jest lepszym Miszką niż Miszka?

– Tak. – Martinez pokiał głową, bardziej nad zachowaniem Bošković niż dla rozwiania wątpliwości Herfer. – I to jak najszybciej, zanim naprawdę zaczniemy głodować.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy światła zamigotały i zgasły. Zanim zapłonęły lampy awaryjne, hała na moment pogrążyła się w mroku. Panele dostarczające roślinom namiastkę słońca pozostały jednak ciemne. Tamara westchnęła z ulgą – już wiedziała, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa.

– Idę po Miszkę – powiedziała. – Powinien założyć coś ciepłego. Zaraz zrobi się naprawdę zimno.

– Ja pójdę. – Mąż zastąpił jej drogę. – Musicie się dogadać.

– Nie – warknęła. – Nic nie musimy, rozumiesz?

– Żyć też wcale nie musimy. – Sarkazm kuzyna sprawił, że od razu przestała się ścisnąć. – A przynajmniej niektórzy z nas.

Zastygła w bezruchu, zaskoczona. Jego słowa zabrzmiały jak groźba.

– Co powiedziałaś? – Odwróciła się powoli.

– Słyszałaś. – Przywódca buntowników splótł ręce na piersi. – Albo tamci, albo my.

Zapadła cisza. Kroki odchodzącego Scotta dudniły Tamarze pod czaszką tak donośnie, jakby ktoś okładał jej głowę pałką. Powoli docierało do niej to, o czym nie chciała nawet myśleć.

– Tam jest sto komór – orzekła ponuro. – Nie wyłączycie chyba wszystkich?

– Nie. – Martinez pokręcił głową. – Na początek część, i miejmy nadzieję, że to wystarczy. Zobaczmy, w jakim stopniu poprawi się zaopatrzenie w energię. Ale nie ruszymy z miejsca bez kodów dostępu medycznego. Musisz pogadać z twoją, ehem, niby-córką i wyłuszczyć jej co i jak.

Herfer zjężyła się jeszcze bardziej.

– Sam to zrób.

– Wierz mi, już próbowałem. – Kuzyn ruszył ku wyjściu. – Usiłowałem przemówić jej do rozsądku, ale... Kurwa udaje, że nie pamięta, kim naprawdę jest, ale tylko udaje, jestem pewien. Do cholery, to przecież lekarz – wie, co i jak symulować. Czy to jakies pierdolone rozdwojenie jaźni?

– Raczej transfer tożsamości – powtórzyła termin zasłyszany w Reswizji. – Sam z nią pogadaj, nie zamierzam odwalać za ciebie brudnej roboty.

– Jak chcesz. Ale tym razem nie będę się z nią cackał – zapowiedział głośno, tak by krewna dobrze go słyszała. – Mimo że udaje twojego syna. – Przesząpił próg, dodając cieszniej: – A może właśnie dlatego.

\*\*\*

„Odyseusz” dogorywał powoli, ale serce statku, zaprojektowane tak, by przetrwać za wszelką cenę, wciąż biło. Dostawy energii do sekcji komór hibernacyjnych nie mogły

zostać przerwane. Podróż z Sati przodkowie Trojańczyków przebyli w stazie: gwiazdolotu nie projektowano z myślą o jednoczesnym pełnym wykorzystaniu i hibernatorów, i części mieszkalnej. Podczas sztucznego snu załogi systemy miały działać w ograniczonym zakresie, a czas, który upłynął od dziewiczego lotu tylko pogłębił niewydolność przestarzałych rozwiązań i urządzeń. Naprędcę podrasowane obwody wysiadały jeden po drugim, choć w założeniu miały zapewnić przetrwanie ludziom, którym zlecono dbanie o spokojny sen oficjeli. Specjaliści zostali jednak na planecie, a tych, którzy zajęli ich miejsca, było po prostu zbyt wielu.

Nadciągało nieuniknione.

*Żałatw to z nią, powiedzieli, gdy zrozpaczeni Herferowie przetrząsali każdy statek w poszukiwaniu Miszy. Inaczej nie oddamy wam syna. Jeśli suka nie zechce pomóc, po prostu wydestań od niej kod dostępu do panelu kontrolnego. Sami wyłączymy te pieprzone trumny.*

Chłopiec jakby rozplynął się w powietrzu; w nieużywany od lat laboratorium znaleziono porzucony wózek z wyczerpanym akumulatorem. Tamara, słysząc ultimatum, najpierw rzuciła się Martinezowi do gardła, nie bacząc na dysproporcję wzrostu i sił, lecz niewiele wskórała. Człowiek, którego znała od dziecka, pokazał drugą, bezlitosną twarz. Wyczuwała, że niewiele brakowało, by ludzie, których uprzednio uchroniła przed śmiercią, posunęli się do linczu. Widziała zacisnięte pięści, głowy wciśnięte w ramiona, kose spojrzenia członków ekipy giganta i wycofała się, złorzecząc. Scott jak zwykle trzymał się z boku. Gdy mu to wypomniała, nie potrafił znaleźć nic na swoje usprawiedliwienie. Znała to: czuła, że czegoś żałował, czegoś był winien; nie umiała jedynie określić czego. Nie mogła dłużej unikać Eiko.

Odnalazła ją w hali ogrodniczej. Bošković siedziała z brodą opartą na kolanach, skulona w wąskim prześwicie między konstrukcją uprawną a ścianą.

– Zrobił mi krzywdę, mamó – bełkotała, nie przestając trzeć oczu pięściami jak dziecko.

Tamara kucnęła obok, spoglądając na nią podejrzliwie. Eiko cofnęła dłonie, ukazując obrzęknięte od uderzeń policzki, rozciętą wargę i rozbity nos.

– Zdjął mi spodenki i... Dotykał mnie... Tam. Chciałem uciec, ale trzymał mocno. – Wyciągnęła ręce, pokazując sińce na przedramionach. – A potem... – Pokazała na podbrzusze. – To bolało, mamó. Teraz też boli. To było obrzydliwe...

Choć taka skarga w jej ustach trąciła groteską, brzmiała na swój sposób przekonująco. Wygłaszana w pełen pretensji, dziecięcy sposób sprawiła, że włosy stanęły Tamarze dęba.

– Kto? – spytała mechanicznie, drżąc, że Bošković obwini Scotta.

– Wujek – padła odpowiedź. – Mamó, nie pozwól mu więcej mnie skrzywdzić. Obroń mnie, mamó.

W lot pojęła, co usiłował osiągnąć krewny, ale najwidoczniej nic nie poszło po jego myśli. Zamyślona Herfer poczuła, jak drętwieją jej nogi. Powoli oparła kolana o podłogę. Eiko przypadła do niej i otoczyła ją ramionami, szepcząc:

– Mamó, nie zostawiaj mnie więcej samego. Proszę...

W pierwszym odruchu Tamara miała ochotę odepchnąć Bošković i rzucić się na nią z pazurami, by siłą wydrzeć przeklęty kod dostępu; powstrzymała się z trudem. Zacisnęła zęby i niechętnie uniosła dłoń, by pogładzić włosy kobiety, która ukradła jaźń Miszki. *Że też akurat jej zarząd powierzył kontrolę nad modulem hibernatorów, musiała dobrze wylizać tej zdzirze zastępcy prezesa, pomyślała nienawistnie. Czy jest sposób, by*

przerwać tę farsę? A może nadszedł czas, by też zacząć grać kogoś, kim się nie jest?

– Dobrze. Ale podaj im te cholerne kody dostępu – szepnęła, obejmując Eiko i głaszcząc ją po głowie jak dziecko.

Bošković uśmiechnęła się przez łzy.

– Dobrze, mamó.

– Zrób, co każą. Wszystko, co każą, rozumiesz?

– Dobrze, mamó. Jeśli obiecasz, że zawsze już będziemy razem. Obiecasz, prawda?

Tamara poczuła, jak przez całe jej ciało przetacza się fala zimna.

– Obiecuję – wymamrotała ze wstrętem.

Nie zamierzała dotrzymywać słowa.

\*\*\*

Serce „Odyseusza” przestało bić. W organizmach zahibernowanych członków zarządu przestał krążyć płyn schładzający; przerwanie procesu uniemożliwiło powrót krwi do ich krwiobiegu. Tamara nie pytała, co stało się z ciałami. Eiko wiedziała, ale milczała; jeszcze bardziej zapamiętała powróciła do udawania dziecka. Gdy Scott bąknął raz pod nosem, że ludzkie mięso nie jest takie złe, żona wypędziła go z ogrodu. Wołała wierzyć, że po prostu wyrzucono zwłoki w przestrzeń. Ale nawet gdy odłączono jeden z modułów stazy, zapatrzenie w energię poprawiło się tylko w niewielkim stopniu. Zupełnie jakby statek uznał, że musi jeszcze troskliwiej dbać o pozostałych hibernujących: oświetlenie główne powracało ze zdwojoną mocą, by niespodziewanie zanikać, temperatura raz rozpieszczała przyjemnym ciepłem, raz osiągała przewidziane w specyfikacjach minimum. Powietrze na powrót stało się ciężkie. Metaliczny posmak wody nie zniknął ani na moment.

Ogród umierał. Strat wywołanych przez przedłużające się awarie nie udało się już odrobić. Po wyczerpaniu wszystkich zapasów

załoganci wrócili do pładrowania hodowli, niszcząc prawie wszystko, co Herfer zdołała zmusić do wzrostu, i wynosząc nawet niejadalne części roślin. Wściekła Tamara odpowiedziała buntem: zabarykadowała się w środku z synem, równie nieczuła na groźby i złorzeczenia górników, co na prośby męża i na skamlanie krążącej pod zamkniętymi drzwiami Eiko. Do ratowania pozostało jednak niewiele, a opór Herfer przyspieszył to, czemu chciała zapobiec.

Zmiany nie uszły jej uwadze. Nakręcenie głodem natręci przestali dobijać się do drzwi sekcji ogrodniczej. Na statku ucichło: krzyki, klótnie i echa rozmów, niesione i zniekształcane odbiciami od ścian przestały drażnić uszy. Ustały nawet płaczące wołania Eiko. Zafrapowana Tamara zaczęła odliczać kolejne minuty, kwadransy, godziny niespotykanego spokoju, nie potrafiąc określić, czy odmierzają noc, czy dzień. Głodny Miszka pojął cicho, żałośnie.

– Wpuścisz nas? – Obudziło ją łomotanie pięścią w drzwi. – Czy mamy gadać przez próg?

Poznała głos kuzyna, ale nie odpowiedziała; podeszła na palcach, zamierając o krok przed progiem tak, by nie zobaczyli jej w bulaju.

– Tamara? – Usłyszała słowa Scotta. – Jesteś tam?

Wstrzymała oddech.

– Słuchaj, uruchamiamy tamtą wyłączoną stazę – kontynuował mąż. – Nie ma sensu ciągnąć tego dłużej.

– Idziemy spać – zawtórował mu Martinez. – Ale zapewne nie zechcesz się przyłączyć.

Roześmiała się chrapliwie.

– Nie zechcę. Słodkich snów, skurwysyny.

– Tamara! – Scott znów uderzył pięścią w drzwi. – Ty nie musisz, jeśli nie chcesz. Ale pozwól mi zabrać Miskę. Daj mu szansę.

– Idź do diabła – warknęła. – Nie

dostaniesz go. Naspiał się już dosyć.

– Dasz dzieciakowi umrzeć z głodu? –  
Górnik mimo wszystko zachowywał spokój.  
– Po tym wszystkim, co dla niego zrobiłaś?

– Nie twoje pieprzone zmartwienie,  
zbozczeńcu.

– Poniekąd moje. Nie zaśniemy, dopóki  
nie zakończymy wszystkich nierozwiązanych  
spraw. Nie pozwolę uzależniać bez-  
piecznego trwania stazy od waszych chorych  
skłonności.

– Naszych chorych skłonności? – Herfer  
przypadła do bulaja i przyklejając raz jeden,  
raz drugi policzek do szyby, gorączkowo  
szukała wzrokiem kogoś po drugiej stronie.  
Przypomniała sobie obietnicę, którą wymu-  
siła na niej Eiko. – Ona was tu przysłała? Za-  
groziła, że nie kiwnie palcem, jeśli nie dostanie  
mnie na wyłączność? Jesteś tu, Bošković?  
Tak bardzo chcesz odebrać mi Miszę i zająć  
jego miejsce? Nic z tego, słyszysz!? Wolę  
zdechnąć niż być dla ciebie matką!

– Tamara! – Scott chwycił rączkę i zatar-  
gał drzwiami, ale nie puściły. – Oszalałaś?!  
Otwórz albo rozwalę te pieprzone drzwi!

– Nigdy! – Odskoczyła, wykonując dłońmi  
obrazliwy gest. – Nie oddam Miszki nikomu.

Odwrociła się na pięcie i pobiegła w głąb  
hali, ścigana przekleństwami tamtych. Od-  
nalazła ułożonego na prowizorycznym le-  
gowisku syna i przytuliła go mocno. Uspo-  
kojony bliskością matki przestał pojękiwać  
i zamknął oczy. Myśl, że wszystko skończy  
się właśnie w ten sposób, przyniosła Tama-  
rze dojmujący ból.

Wiele wysiłku włożyła w to, by go zdła-  
wić, ale nie zmieniła raz powziętej decyzji.

\*\*\*

Z pozoru wszystko wyglądało tak, jak  
się spodziewali. „Odyseusz”, zabytek z za-  
rania ery podróży międzyplanetarnych,  
niezmordowanie krążył wokół Troi. W od-  
dali, otoczony wątlym jeszcze pierścieniem,

pozostałością rozszarpanego księżycy, biegł  
dostojny, ametystowy gigant Ladon. Tylko  
trzaski wywoływane przez jego magne-  
tosferę zakłócały zapętloną, monotonną  
transmisję ze starego gwiazdolotu, wabią-  
cą – niczym syrena – śpiewnym wezwa-  
niem pomocy.

Ratownicy przybyli dziesiątki lat po ka-  
tastrofie. Wystarczyły dwa odłamy ze zmie-  
nionego w skalny gruz satelity, by z kolonii  
nie pozostał kamień na kamieniu. Za to  
na pokładzie „Odyseusza” przybysze zna-  
leźli pogrążonych w sztucznym śnie oca-  
lonych. Garstka szczęśliwców zajmowała  
kriokomory, w których niegdyś na Troję  
przybyli ich pradziadowie. To cud, że to  
wszystko wciąż działa, szepłali Satianie; że  
powietrze wciąż nadaje się do oddychania,  
choć na każdym kroku trafiali na coraz to  
nowe oznaki rozkładu. Rdza pochłaniała  
sprzęty, elementy z tworzyw sztucznych po  
trochu kruszały, ściany opanowywała wil-  
goć. Włazy stawały opór, echa skrzywienia  
zawiasów niosły się po niedoświetlonych  
korytarzach. Niesprawne lampy plamiły  
cieniem magazyny, łączniki, laboratoria.  
Temperatura spadła niekomfortowo nisko,  
jedynie w sekcji upraw hydroponicznych  
osiągając znośne wartości. Tylko ciepłarni  
nie opuścił złoty blask sztucznego Słońca.  
Zdziczałe, pozbawione kontroli rośliny po-  
rzuciły przypisane im miejsca, wypełzyły na  
podłogę i ściany, spływając falami ze stela-  
ży, przenikając nawet na korytarz. Ratow-  
nicy pokazywali je sobie, zafascynowani ich  
siłą i żywotnością.

Z początku uznali, że uszkodziły nawet  
właz: długo, wnikliwie oglądali rysy, ledwo  
już widocznie znaczące skrzydła pociem-  
niałych ze starości drzwi, by wreszcie zro-  
zumieć, że to laserowe cięcia. Ktoś – dawno  
temu – próbował siłą dostać się do ogrodu  
i wyglądało na to, że dopiął swego.

Splątana sieć łodyg, płójących się na podłodze, chrzęściła przy każdym stąpnieniu. Pomimo szczelnych osłon głowy, zwiadowcom zdawało się też, że słyszą szum wody i odgłosy spadających kropli.

I coś, co przypominało bolesne pojękiwanie.

Każde z trojga zwiadowców ruszyło samotnie korytarzem, utworzonym przez stelaże dawnych upraw hydroponicznych. Nie wszyscy zdążyli dotrzeć do końca hali, gdy w słuchawkach zagrzmiął głos dowódcy:

– Do mnie. Znalazłem coś. Lewy narożnik.

Główna inżynier pośpiesznie dołączyła do szefa. Lekarz już miał podążyć we wskazanym kierunku, gdy coś błysnęło w kobiercu z poplątanych pnączy. Przystanął i zaczął bacznie obserwować podłoże. Cofnął się o krok, potem o drugi: coś zajaśniało znowu jak wypolerowany metal. Przyklęknął i ostrożnie rozgarniając listowie, poszukiwał błyszczącego przedmiotu.

– Sterta odpadów. – Usłyszał w słuchawkach słowa koleżanki. – Porośnięta bylinami.

Medyk wreszcie znalazł to, czego szukał. Podniósł i obrócił w palcach kozik do przycinania roślin, niegdyś składany, teraz zapewne

od dawna zablokowany zgromadzonym między rękojęścią a ostrzem osadem.

– Nie, to grób. – Głos przełożonego sprawił, że lekarz prawie wypuścił nożyk z dłoni. – Patrz: tabliczka. Nie, chyba pokrywa pojemnika laboratoryjnego, z wydrapanym nazwiskiem. *Tamara Herfer* i data. *Najdroższej mamusi*. Pod spodem, widzisz?

Stęknienie gdzieś z boku wyrwało medyka z zasłuchania. Odwrócił się powoli: coś poruszyło się w gąszczu pnączy. Ostrożnie rozchylił roślinną zasłonę, odnajdując skulonego, drżącego jak w gorączce człowieka w zbyt obszernym jak na jego wychudzone ciało kombiniezone ogrodniczym. Dłonie, którymi mężczyzna osłaniał twarz, znaczyły liczne starcze plamy. Krótkie, rzadkie, siwe włosy sterczały w nieładzie.

— Proszę pana? — Lekarz przyklęknął, by lepiej przyjrzeć się leżącemu.

Przestraszony starzec oderwał dłonie od twarzy i wlepił w mówiącego nieprzytomne spojrzenie. Dopiero wtedy przybysz zauważył, że to stara kobieta o obliczu pomarszczonego jak skórka wysuszonego owocu. Mamrotała do siebie niezrozumiałe słowa spieczonymi wargami. Szeroko otwarte oczy znaczyły bielmo: nie dostrzegała szczegółów, reagując tylko na światło.

– Proszę pani? – spytał lekarz. – Słyszysz mnie pani? Kim pani jest?

Znów poruszyła ustami, tym razem bezgłośnie i jeszcze bardziej skuliła się w sobie. Czekał cierpliwie, aż przerażona z wysiłkiem przepchnie ślinę przez ściśnięte gardło.

– Michaił Herfer – wyjąkała. – Ja... ogrodnik.

**MARIANNA SZYGOŃ PISZE, BO LUBIE.**

GLÓWNIIE OPOWIADANIA SCI-FI I MROczne KRYMINAŁY, PUBLIKOWANE W ZINACH I NA PORTALACH LITERACKICH.

W SIECI UDOSTĘPNIAM MINIPOWIEŚĆ FANTASTYCZNO-NAUKOWĄ PT. *METASTAZA* ORAZ ZBIÓR OPOWIADAŃ KRYMINALNYCH *NEGATYWY*. DZIAŁAM W REDAKCJI

MAGAZYNU FANTASTYCZNEGO „SILMARIS”.

REKLAMA

Nie czytasz?  
Nie idę z Tobą  
do łóżka!

# Wyławianie duchów

Aliette de Bodard

Przełożył Piotr Zawada

Ledwie Thuy zacisnęła dłonie na kryształ – którego ciepła nie czuje przez rękawice, ale rozmazany i niewyraźny duch jej córki jest tuż przy niej, w wyrwie z boku kadłuba statku – gdy porywają ją prądy nierzeczywistości. Lina przymocowana do *Lazurowego Węża* – jedyne, co łączy ją ze statkiem – naciąga się i pęka.

Thuy opada w głębinę.

\*\*\*

W noc przed zanurzeniem Thuy udaje się pod pokład wraz z Xuan i Le Hoą. To już tradycja; podobnie jak fakt, że po powrocie z zanurzenia Thuy zbierze swoje znaleźiska i wszystkie trzy urządzią kolejną szaloną imprezę, podczas której wypiją zdecydowanie za dużo rozpuszczonych w winie ryżowym kryształów i będą wykrzykiwać poezję aż do chwili, gdy Umysł *Lazurowego Węża* litościwie stłumi ich bełkot, by inni mogli pospać – ale nie za dużo, jako że dobrze jest celebrować życie; wiedzieć, że każda załogantka na swój sposób świętuje jeszcze jedno przeżyte zanurzenie: czy to przez nacięcie paska, czy

też przesunięcie cynobrowych paciorków liczydła.

Jeszcze jedno zanurzenie. Byle przeżyć następne.

Aż, jak w przypadku Kim Anh, córki Thuy, ostatnie zanurzenie pozbawi życia i uwięzi ciało w zewnętrznej ciemności. Taki już los nurków, to nic nadzwyczajnego w tym fachu. Niemniej Kim Anh – choć była już dorosła, gdy zginęła – dla Thuy na zawsze już pozostanie jej małą córeczką; świat Thuy kurczy się i rozmywa za każdym razem, gdy pomyśli o ciele Kim Anh, unoszącym się od wielu miesięcy w zimnej pustce kosmicznej głębi. Nie potrwa to już jednak długo; obecne zanurzenie przywiodło je właśnie tam, gdzie zginęła Kim Anh. Jeszcze tylko ten ostatni wieczór, ostatnie drinki z przyjaciółkami i Thuy znów ujrz swoją córkę.

Co do samych przyjaciółek... Xuan jest w złym nastroju. Zgodnie z zasadami nie piją kryształów na imprezie tuż przed zanurzeniem, więc Xuan trzyma swoje wino

ryżowe tak, jakby ewidentnie wolała trzymać coś innego. Jej udział w rozmowie sprawdza się jedynie do artykulacji pojedynczych sylab. Z kolei Le Hoa jak zwykle jest ożywna; mówi za dużo i chaotycznie; swoje obawy oswaja jedzeniem, piciem i nietypową dla siebie wylewnością.

– Jak tam, siostruniu? Denerwujesz się? – pyta.

Thuy wpatruje się w swoją czarę.

– Nie wiem. – Tylko na tyle może liczyć; to jedyna szansa dotarcia wystarczająco blisko, by odzyskać szczątki jej córki. To jednak również niebezpieczne zanurzenie w kosmiczną głębię, daleko poza warstwy nierzeczywistości, przez co wszystkie mogą zginąć. – Zobaczmy. A ty?

Le Hoa upija łyk, jej okrągła twarz zarumieniła się już od wina. Kobieta wywołuje gestem wrak myślostatku, do którego zanurkują; zaznacza, jeden po drugim, wykazany przez skanery łańcuch kryształów. – Dużo łatwych łupów, byle nie zbliżać się za bardzo do wraku. A to tylko te największe. Mniejsze nam się nawet nie wyświetlą.

Dlatego właśnie wysłała się nurków. Albo też ponieważ znacznie taniej jest wysłać istoty ludzkie niż małe i gibkie myślostatki, które co prawda bez problemu przetrwają kosmiczną głębię, ale na wybudowanie i niezbędne wykszolenie każdego z nich trzeba poświęcić kilka pokoleń.

Thuy uważnie śledzi na hologramie kontury wraku – z boku kadłuba widnieje wielka wyrwa; coś musiało wybuchnąć podczas transportu i zabić wszystkich na statku. Zwłoki pasażerów wylały się niczym wnętrzości – oczywiście żadnego nie da się zidentyfikować, gdyż ciała i mięśnie uległy dezintegracji, kości stopniowo poodrywały się, połamaly i pozgniatały. Ich wcześniejszego istnienia dowodzi teraz jedynie łańcuch kryształów.

Kim Anh również już nie ma: po rozwiniętej nad wiek, nieco lekkomyślnej córce Thuy, która co rano mozolnie zaplatała włosy, nie pozostało prawie nic; jedynie garstka kryształów, jakie załoga zbierze i sprzeda na odległych planetach czy też przywłaszczy sobie w charakterze znaleźnego i wypije dla krótkotrwałego przychywu euforii.

Kryształ to tak naprawdę nic specjalnego – jedynie znajome odczucie błogości, niezwiązane ze zmarłym, z którego został on zebrany. Kosmiczna głębia ogąłaca zwłoki i zgniata je właśnie w to... coś. Bezosobowy, uzależniający narkotyk.

Mimo to... mimo to nurkowie wylawiają zmarłych do ponownego wykorzystania; wszyscy zdają sobie sprawę, że pewnego dnia może to spotkać ich samych. Od zawsze tak było, na *Lazurowym Wężu* i na pozostałych statkach nurków: wszystkich ich łączy niewypowiedziane i nienaruszalne tradycje.

Thuy nie poświęcała im przesadnie dużo uwagi – przynajmniej dopóki nie zginęła Kim Anh.

– Wiesz, gdzie jest? – pyta Xuan.

– Nie jestem pewna. Możliwe, że tu. – Thuy ostrożnie wskazuje miejsce bardzo blisko wraku statku. – Była tam, gdy...

Gdy zawiódł jej skafander. Gdy ostatecznie ucichły komunikatory.

Xuan głęboko wciąga powietrze.

– To ryzykowne.

Nie próbuje jednak odwieść Thuy od jej zamiarów. Wszystkie wiedzą, że tak to już po prostu bywa.

Za to Le Hoa jest zdeterminowana, by zmienić temat.

– Jeszcze dwa zanurzenia i razem z Tran może wyłowimy już dosyć, by się pobrać. Kabina małżeńska, dacie wiarę?

Thuy zmusza się do uśmiechu. Nie wypili wystarczająco dużo, nie ma jednak ochoty na wino ryżowe; uderzyłoby jej do głowy,

a jeśli kiedykolwiek musiała być świadoma tego, co tu i teraz, kiedy trzeba trzeźwo pa-trzeć na sytuację, przewidywać...

– Zbierzemy się wszystkie razem i wypra-wimy ci godne pożegnanie.

Wydobędą z magazynu ubrania z bro-katem, wyciągną przechowywane w lukach wino ryżowe, które będą popijać tak długo, aż wszystko wyda się światłością; będą za-jadać się malutkimi, cudownie okrągłymi, kryształowymi pierożkami – w których co prawda nie ma prawdziwych kryształów, ale którym celowo nadaje się ich kształt, by przynosiły nowożeńcom szczęście i bogac-two. Docelowo wystarczająco dużo, by ci mogli opuścić statek i zostawić za sobą życie nurków i powolną śmierć...

Kim Anh tego nie doczekała. Tuż przed śmiercią ledwie zaczęła spotykać się z jed-ną ze starszych nurków – przelotny romans, z rodzaju tych, co to nie mają szans prze-trwać na pokładzie *Lazurowego Węża*. Poza tym relacja została gwałtownie ucięta, zastę-gła w smutku, żalobie i poczuciu winy.

Thuy rzadko rozmawia z byłą Kim Anh; okazjonalnie razem się upijają. Z kolei Cong Hoan, jej najstarszy syn, został oddelegowa-ny na inny statek nurków, skąd kontaktuje się z nią za pomocą komunikatorów. Widują się z okazji świąt i rocznic śmierci: chłopak jest wycofany bardziej, niż Thuy by sobie tego życzyła, niemniej wciąż żyje – i tylko to się liczy.

– Znowu się katujesz – mówi Xuan. – Wi-dzę to po twojej twarzy.

Thuy wykrzywia usta w grymasie.

– Nie mam ochoty się upijać.

– Widać – odpowiada Le Hoa. – Chcecie od razu przejść do poezji?

– Thuy nie jest jeszcze dość pijana – wci-na się Xuan, zanim ta zdąży otworzyć usta.

Na twarz Thuy wypływa rumieniec.

– I tak nie jestem w niej dobra.

Le Hoa parska śmiechem.

– Wiem. W poezji nie chodzi o to, żeby być dobrym. Wszystkie jesteśmy w niej rów-nie beznadziejne, w przeciwnym razie rzą-dziłybyśmy na jakiejś numerowanej plane-cie, mając do dyspozycji ogrom służących na każde zawołanie. Nie, tu chodzi o to, żeby zapomnieć. – Urywa i spogląda na Thuy. – Przepraszam.

Thuy zmusza się do beznamiętnego wzruszenia ramionami.

– Nieważne.

Le Hoa otwiera usta i zamyka je z powrotem.

– Zobacz... – zaczyna. Sięga do wnętrza szaty, żeby coś wyciągnąć. Thuy wie, co to będzie, jeszcze zanim Le Hoa otwiera dłoń.

Kryształ jest mały i zniekształcony: przeło-żeni nie pozwalają nurkom zatrzymywać dla siebie tych dużych i ładnych sztuk; trafiają one do klientów z odległych planet – wystarczająco bogatych, by zapłacili za nie dobrą cenę. Klej-not Le Hoi lśni niczym rozlana oliwa, oświe-tlona lampą z herbaciarni; w tym świetle pie-rożki i herbata stojące na stole zdają się zlewać z tłem; tracić smak, zapach i znaczenie.

– Spróbuj.

– Ale... – Thuy kręci głową. – Jest twój. A przed zanurzeniem...

Le Hoa wzrusza ramionami.

– Chrząnić tradycję. Wiesz, że to nic nie zmieni. Poza tym mam ich w skrytce więcej. Akurat ten mi niepotrzebny.

Thuy wpatruje się w klejnot – wyobraża sobie, jak wrzuca go do czarki, w której ten się rozpuści; myśli o ciepłe, jakie rozleje się po jej brzuchu, gdy wypije ów napój; o na-rastającej euforii, jaka sięgnie wszystkich jej kończyn, aż Thuy zacznie wydawać się, że wszystko drży w pełnym rozkoszy pożą-da-niu; myśli o tym, aby na jakiś czas odejść od tego wszystkiego – od jutra, od zanurzenia i szczątków Kim Anh.

– Dajesz, siostruniu.

Thuy kręci głową. Sięga po czarękę wina ryżowego i opróżnia ją jednym haustem; kryształ zostawia nieruszony na stole.

– Czas na poezję – oznajmia donośnym głosem. *Lazurowy Wąż* nic nie mówi – rzadko kiedy w ogóle się odzywa, a już na pewno nie do nurków, których przeznaczeniem jest zginąć – niemniej przyciemnia światła i wygłusza dźwięk, gdy Thuy wstaje, czekając, aż słowa wydobędą się z pustki w jej piersi.

Xuan miała rację: żeby tworzyć sensowne wersy, trzeba być znacznie bardziej pijanym.

\*\*\*

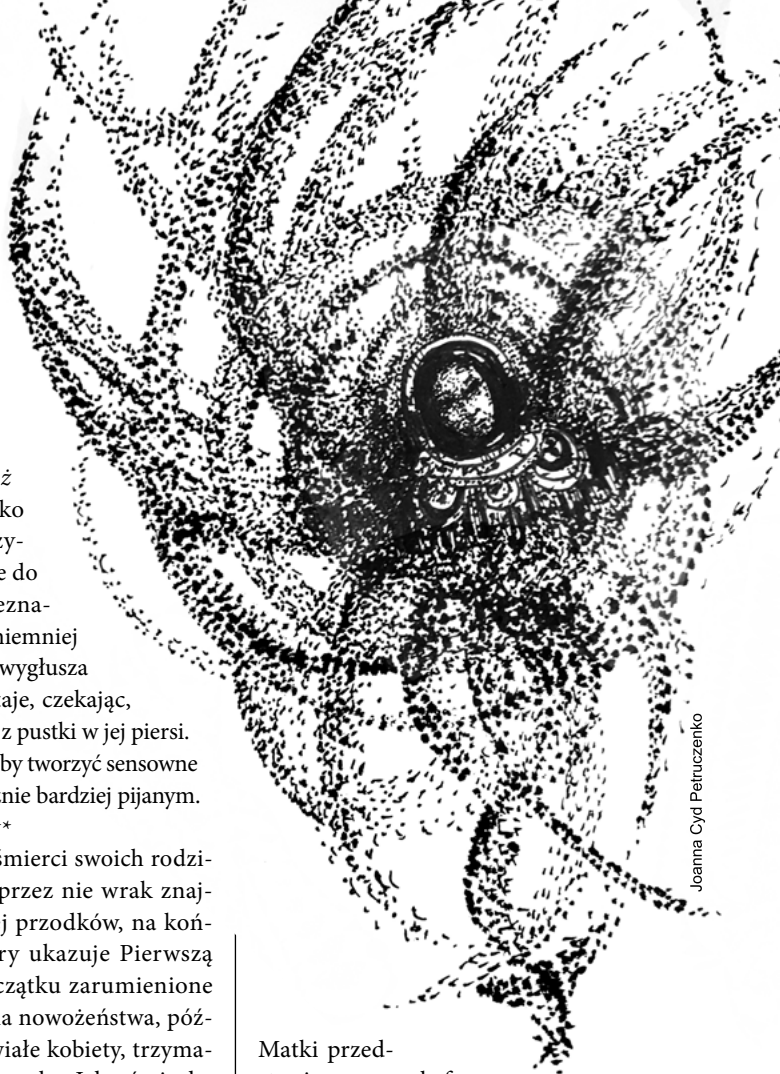
Thuy zna miejsce śmierci swoich rodziców. Przeszukiwany przez nie wrak znajduje się na ołtarzu jej przodków, na końcu pokazu holo, który ukazuje Pierwszą i Drugą Matkę, z początku zarumienione od alkoholu i szczęścia nowożeństwa, później zaś starsze, posiwiiałe kobiety, trzymające w ramionach wnuczkę. Ich uśmiechy są powściągliwe i pełne wahania; jakby obydwie już wiedziały, że będą musiały porzucić tę dziewczynkę.

Na pokładzie *Lazurowego Węża* obie matki są legendami, o których mówi się ściszonymi głosami. Udały się w nierzeczywistość głębszą i bardziej oddaloną niż ktokolwiek wcześniej. Nurkowie nazywają je Matkami Tlenu – które mają własną świątynię, ciągnącą się przez trzy komory statku i nieodmienne pachnącą kadzidłem. Na jej ścianach

Matki przedstawione są w skafandrach, a bodhisattwa

Quan Am ukazuje im drogę ku pustej kabini; nurkowie zostawiają tam ofiary, modląc się przy tym o szczęście i pomyślność.

Matki nic po sobie nie pozostawiły. Ich skafandry rozpadły się wraz z nimi, a ciała znajdują się głęboko we wraku myślostatku: ledwie dwie garstki kryształów w jakiejś kabini czy zagubionym korytarzu, na zawsze już nie do odzyskania; są zbyt głęboko, by ktokolwiek mógł przetrwać próbę ich



Joanna Cyd Petruczenko

wyłowienia, nawet jeśli dałoby się jeszcze je zlokalizować po tych dwudziestu jeden latach, jakie minęły od śmierci Matek.

Na ołtarzu widnieje również Bao Thach: mąż Thuy, o surowym i zaciętym wyrazie twarzy, równie poważny po śmierci, jak swawolny i kapryśny za życia.

Po nim także nic jej nie zostało.

A Kim Anh... Kim Anh zajęła miejsce przy boku ojca, jako że zginęła, nie doczekawszy się potomstwa ani męża; ponieważ nie ma nikogo innego, kto by ją opłakiwał czy zmówił modlitwy, które mogłyby pomóc jej przejść na drugą stronę. Thuy nie jest ani pierwszą, ani ostatnią osobą, która robi tak na tym statku.

Na ołtarzu stoi też szkatułka, w której zmieściłby się pojedynczy kryształ. Thuy zasłużyła sobie na zatrzymanie dla siebie kryształu z ciała córki: czegoś widocznego i namacalnego, co można pochwycić w dłoni, w przeciwieństwie do holo czy mglistych i słabnących wspomnień, w których przytula i karmi piersią małe, pomarszczone dziecko, czuje narastające zadowolenie, potężniejsze od jakiegokolwiek euforii wywołanej kryształami. Thuy pamięta, jak Kim Anh w wieku dziesięciu lat próbowała poruszać się w skafandrze o dwa rozmiary za dużym; i jak kilka dni przed śmiercią jadła z nią ostatni wspólny posiłek w herbaciarni: półprzeźroczyste pierożki podawane wraz z herbatą koloru jadeitu, o zapachu przywodzącym na myśl świeżo skoszoną trawę na planecie, której żadna z nich nigdy już nie ujrzy.

Z Kim Anh było inaczej niż z matkami Thuy: jej córka zginęła po opuszczeniu innego myślostatku, wystarczająco daleko od wraku, by dało się ją wyłowić. To ryzykowne, jak mówiła Xuan; Thuy oddałaby jednak wiele, by posiąść choć najmniejszą cząstkę swej córki.

\*\*\*

W ciemnej wyrwie w kadłubie statku Thuy wcale nie porusza się po omacku. Jej skafander rozbłyska ostrzeżeniami – odnośnie temperatury, ciśnienia, odkształceń. To właśnie te ostatnie ją zabijają: spowodowane przez warstwy niereczywistości zupełnie nieodpowiednie dla ludzkiej egzystencji; coraz silniejsze, w miarę jak prąd będzie znosić ją bliżej wraku myślostatku, aż w końcu skafander przestanie działać, a płuca i narządy wewnętrzne zostaną zgniecione niczym papier.

Tak właśnie, podczas swego ostatniego zanurzenia, zginęła Kim Anh; tak kończy większość nurków. Prawie wszyscy na *Lazurowym Wężu* – oczywiście, nie licząc przełożonych – żyją z tą świadomością, z zawieszonym wyrokiem śmierci.

Thuy pomodliłaby się do przodków – do Matek Tlenu – gdyby tylko wiedziała, o co prosić.

Zamyka kryształ w dłoni. Dezaktywuje napędy odrzutowe skafandra i obserwuje unoszące się obok szczątki córki.

Kryształy, wiele kryształów o przeróżnych rozmiarach – od małych, mieszczących się w dłoni, do większych i kulistych, które zastąpiły narządy wewnętrzne. W porównaniu do myślostatku, to bardzo niedawna śmierć: klejnoty układają się w kształt mętnie przypominający ludzki – jeśli tylko ludzi można by narysować za pomocą małych i okrągłych kształtów, jak krople wody czy lzy.

Gdy odczyty niereczywistości wzrastają, duch znajdujący się obok Thuy nabiera wyrazu, aż w końcu Thuy dostrzega Kim Anh taką, jaka była za życia. Włosy ma splecione – końcówki i wstążkę jak zwykle niechlujnie związane; obie zwykły żartować, że Kim Anh nie potrzebuje liny przy nurkowaniu, bo wstążka zapewne zaplątałaby się w śluzie powietrznej pasmami wystarczająco

grubymi i mocnymi, żeby za jej pomocą dało się ściągnąć Kim Anh z powrotem. Jej oczy lśnią – od łez albo może od kryształowo olejatego światła.

*Witaj, Matko.*

– Dziecko – szepcze Thuy. Prądy unoszą i rozpraszają jej głos; duch kiwa głową, ale równie dobrze może to być reakcja na coś, czego Thuy nie dostrzega.

*Dawnośmy się nie widziały.*

Oddalają się teraz od siebie: opadają ciemnym, bezgłośnym korytarzem do wraku, którego otwór rozszerza się niczym oko – nie nie nie, nie po tym wszystkim, nie teraz, gdy Thuy przekonana jest, że podczas tego zanurzenia straci życie... Dryfuje z prądem i odpala silniki odrzutowe skafandra, by ruszyć w drugą stronę, w ciemności próbuje sięgnąć Kim Anh, objąć ją, chociaż *dotknąć*...

I wtedy coś uderza w nią z tyłu; poprzez skafander czuje na karku ostry, bolesny ucisk, po czym wszystko zachodzi mgłą.

\*\*\*

Gdy się budzi – zemdlona, zdezorientowana – słyszy, że ktoś przemawia przez komunikator.

– Thuy? Gdzie jesteś? – To głos Xuan, zdyszany i pełen paniki. – Mogę ci pomóc wrócić, jeśli tylko nie zdrzyfowałaś za daleko.

– Tu jestem – próbuje odpowiedzieć Thuy. Udaje się jej za czwartym razem; dopiero wtedy w ogóle ją słyszą. Bez odzewu. Gdziekolwiek się znajduje – a wnioskuje po odczytach, zanurzyła się już głęboko – komunikatory nie są w stanie wysłać sygnału.

Thuy nie widzi nigdzie ciała Kim Anh – pamięta, jak próbowała się czegoś uchwycić, pozostać możliwie blisko mimo rozdzielających je prądów, ale teraz nie ma już nic. Za to duch wciąż jest tu obecny: faluje w warstwach nierzeczywistości, definiowany przez ornamenty światła, które zdają się otaczać esencję Kim Anh kilkoma wyraźnymi liniami.

Thuy wciąż ma przy sobie kryształ, który wsunęła wcześniej pod osłonę nadgarstka. Pozostałe kryształy jej córki zapadły się głębiej i teraz unoszą się gdzieś we wnętrzu wraku, w jakimś odległym miejscu, do którego nie można dotrzeć i...

Wędrujące spojrzenie Thuy koncentruje się na tu i teraz; kobieta musi zwalczyć chęć rozdziawienia ust.

Przed sobą ma ogromne pomieszczenie pod łukowatym sklepieniem, które przypomina jej mauzoleum – od środkowego punktu odchodzi pięć żeber, a wokół walają się sterty elektroniki i materii organicznej; wszystko w większości zniszczone i porzucane; pulsujące przewody nachodzą na siebie ciasnymi węzłami, łącząc się i rozdzielając niczym w wizji układu nerwowego, widzianej oczyma szalonego alchemika. W środku znajduje się coś na kształt krzesła czy może tronu, którego wszystkie występy i krawędzie sprawiają wrażenie, jakby nie zostały stworzone, a raczej wyhodowane. Mrowie botów naprawczych leży bez ruchu; niezdolne wskrzeszać umarłych, musiały się w końcu poddać.

To serce statku, gdzie niegdyś na tronie znajdował się Umysł; teraz zostały z niego tylko niewielkie, zasuszone szczątki. Oczywiście. Umysły statków mało co wspólnego mają przecież z ludzkim ciałem; zostały stworzone, by jak najlepiej radzić sobie w kosmicznej głębi.

– Thuy? Wracaj do środka. Proszę... – błaga coraz słabszym głosem Xuan. Thuy również zdaje sobie sprawę z beznadziejności sytuacji.

– Thuy? Nazywasz się Thuy?

Tym razem to nie Xuan. Głos jest głębszy, mocniej rezonuje; sprawia, że trzęsą się ściany – sprzęt drży i opada z niego kurz; przewody skracają się i kłębią niczym rozwścieczone węże.

– Bardzo długo czekałem.

– Ty... – Thuy oblizuje suche usta. Skafander informuje ją – sama nie wie, czy powinno ją to pocieszyć, czy też nie – że nierzeczywistość się ustabilizowała; za jakieś dziesięć minut skafander przestanie działać. Wtedy Thuy umrze, mając przy sobie kryształ oraz ducha Kim Anh. – Kim jesteś?

Minęło wiele lat, podczas których nierzeczywistość opływała statek kolejnymi falami erozji. Nikt nie mógł przeżyć. Nikt, nawet Matki Tłenu.

*Przodkowie, miejcie mnie w swojej opiece.*

– *Jestem Łodzią Wyslaną przez Dzwon* – odzywa się głos. Ściany pomieszczenia wokół Thuy rozświetlają się jasną, nieznosną czerwienią; zaczynają po nich mknąć kolumny znaków, z oleistego metalu skapują wiersze, powieści i fragmenty słów. Wszystko dzieje się zbyt szybko, by Thuy mogła przyswoić cokolwiek poza maleńkimi, niepokojąco znajomymi fragmentami. – Jestem-byłem-statkiem.

– Żyjesz. – Powinien być martwy. Statki nie przeżywają. Umierają, tak jak ich pasażerowie...

– Oczywiście. Buduje się nas, byśmy przetrwali najdalsze, najbardziej wypaczone rejony kosmicznej głębi.

– Oczywiście. – Słowa smakują w ustach Thuy niczym pył. – Na co czekasz?

– Na śmierć. – Brutalnie prosta odpowiedź statku wybrzmiewa głębokim tonem.

Wciąż żyje. Wciąż czeka. Och, na wszystkich przodków. Kiedy uległ eksplozji? Trzydzieści, czterdzieści lat temu? Jak długo już jego Umysł znajduje się w tych głębinach? Pokieroszowany, niezdolny do ruchu ani wystosowania prośby o pomoc; niczym człowiek uwięziony we własnym cieple po wylewie.

*Siedem minut*, oznajmia skafander. Dłonie Thuy mrowieją już, jakby napływało do

nich zbyt dużo krwi. Duch Kim Anh milczy bez ruchu, jego kształt jest niemal zbyt wyraźny; zbyt rzeczywisty; zbyt obcy.

– Na śmierć? No to jest nas dwoje.

– Z radością przyjmę twoje towarzystwo. – Głos *Łodzi Wyslanej przez Dzwon* jest poważny, uprzejmy. Thuy oszalałaby, gdyby musiała tkwić tu przez tak długi czas – ale być może myślostatki lepiej sobie z tym radzą. – Chociaż wzywają cię twoi towarzysze.

Z komunikatorów dobywają się teraz trzaski; jedna z rękawic Thuy trzepocze, zastygła gdzieś pomiędzy swym zwykłym kształtem, a zakrzywioną łapą o wykręconych pod niemożliwymi kątami palcach. Nie boli. Jeszcze nie.

– Tak. – Thuy przelyka ślinę i przekłada kryształ do lewej dłoni – tej dobrej, tej, która jeszcze nie obumiera – i zaciska na nim palce, jak gdyby trzymała samą Kim Anh. Ducha również by trzymała, gdyby tylko była w stanie go pochwycić. – Ale to zbyt głęboko. Nie mogę wrócić. Do tego czasu skafander przestanie mi działać.

Cisza. Thuy czuje ból we wszystkich knykciach – z początku słaby i ledwie odczuwalny, ale jednak narastający miarowo. Kobieta próbuje wyprostować palce, ale ból przechodzi w ostre ukłucie; tak nieznosne, że Thuy musi aż krzyknąć.

Pięć minut.

– Może zawrzemy umowę, nurku? – mówi w końcu statek.

Umowę na skraju śmierci, której żadne z nich nie ma szans dotrzymać. W innych okolicznościach Thuy uznałaby to za zabawne.

– Nie mam zbyt wiele czasu.

– Zbliź się. Przejdź do środka. Pokażę ci wyjście.

– To... – Thuy zaciska zęby od narastającego bólu – ...nie ma sensu. Mówiłam. Jesteśmy za głęboko. Za daleko.

– Nie, jeśli ci pomogę. – Głos statku jest spokojny. – Chodź.

Wbrew sobie, Thuy – ponieważ nawet tu i teraz łapie się każdej nadziei – zbliża się do środka; kładzie swą zaciskającą się, bolącą prawą dłoń na powierzchni Umysłu.

Dawno temu usłyszała, że Umysły nie lubią być dotykane w ten sposób; że serca statków stanowią ich sanktuaria; skóra zaś jest ich osobistą domeną, której nie należy gładzić ani całować, ponieważ sprawia im to ból.

Zamiast tego wszystkiego Thuy czuje... spokój. Czas rozciąga się tak, że niemal traci wszelkie znaczenie; Thuy na krótki moment zapomina o tym, że pozostało jej pięć minut życia. Gdy tylko prądy przestają próbować ją zabić czy też wykręcić poza granice wytrzymałości, widzi jedynie piękno samego Umysłu, jego całkowitą i nieznośną samotność; został na zawsze odcięty od wspólnoty statków i przestrzeni; nie jest w stanie się poruszyć. Ocalał w ciele, na które nie ma żadnego wpływu, które jest zbyt uszkodzone, by dało się je naprawić, ale niewystarczająco, aby mógł umrzeć.

*Nie wiedziałam*, chce powiedzieć Thuy, ale z jej ust nie dobywa się ani jedno słowo. Statek oczywiście nie odpowiada.

Nieruchomy do tej pory rój botów za nią wznosi się teraz i pokrywa ją niczym chmara motyli, blokując pole widzenia; ich garstka przysiadła na dłoni Thuy, która czuje, jak coś zasyssa jej ciało, oddziela mięśnie od kości.

Gdy *Łódź Wysłana przez Dzwon* ją wypuszcza, Thuy stoi cała roztrzęsiona – próbuje znów złapać oddech, a boty odpadają od niej niczym zrzucana skóra, przysiadając na wypukłości obok Umysłu. Skafander Thuy został załatany i wzmocniony; ekran, migoczący na skraju niebytu, oznajmia jej, że pozostało dwadzieścia minut. Ból pulsuje, naprawiona ręka zaczyna piec,

przypominając Thuy, co ją czeka, jeśli sobie nie poradzi.

Znaki na ścianach zastąpiła mapa, która faluje i obraca się od serca statku do wyłomu w kadłubie.

– Trzynaście minut i pięćdziesiąt siedem sekund – mówi statek spokojnym głosem. – Jeśli będziesz poruszać się wystarczająco szybko.

– Ja... – Thuy próbuje coś powiedzieć. Cokolwiek. – Dlaczego?

To jedyne, co przechodzi jej przez gardło.

– Dziecko, to nie jest prezent, a umowa. – Statek przemawia tym samym bezbarwnym, beznamiętnie spokojnym głosem i Thuy zdaje sobie sprawę, że *Łódź Wysłana przez Dzwon* ostatecznie straciła rozum; tu i tam w jej strukturze widnieją drobne pęknięcia niczym na porcelanowej filiżance; choć nie jest już *cała*, to wciąż jednak nie przepuszcza wody. – Przed odejściem wyrwij to miejsce... które obsiadły boty.

– Przecież boty same mogą to zrobić – mówi Thuy.

Gdyby statek był człowiekiem, pokręciłby głową.

– Nie. Mogą naprawić drobne uszkodzenia, ale nie mogą... zrobić czegoś takiego.

Nie mogą zabić. Nie mogą nawet naprawić wyłomu w kadłubie czy też sprawić, żeby statek znowu ruszył. Thuy sama nie wie, dlaczego zмага się ze łzami, w końcu przecież nie zna tego statku – o ile ktokolwiek może znać byt żyjący od stuleci.

Kobieta rusza w stronę miejsca, gdzie usadowiły się boty – wykręconej wypukłości złączonej z pięcioma przewodami, wystarczająco cienkimi, by mogła objąć je dłonią. Wiją się i pulsują, rozlewając jej na palce opalizujący olej. Boty podnoszą się niczym rozeźlony rój pszczół, ale nie mają siły walczyć. Ich ruchy są powolne i niezdarne; naprawa je wykończyła. Thuy odgania boty równie łatwo jak muchy; posyła je w stronę

ścian – ciemnych od konturów mapy statku – i przygląda się, jak krwawią olejem i maszynowymi flakami po całym sercu statku, aż w końcu wszystkie przestają działać.

Gdy wrywa wskazane miejsce, *Łódź Wysłana przez Dzwon* wzdycha – i Thuy zostaje sam na sam z duchem, wznosząc się poprzez warstwy popękanych, stygnących zwłok statku.

\*\*\*

Później – znacznie później, już po tym, jak Thuy, ledwie dysząc, wyczołgała się z wraku, bo pozostały jej tylko dwie minuty, po tym, jak udało się jej wywołać przez radio Xuan, gdy ktoś znalazł jej inną linę, gdy wciągnięto ją do statku i obejrzał ją pozbawiony emocji lekarz, po przesłuchaniu – Thuy wraca do swojej kabiny. Wraz z nią udaje się tam duch Kim Anh, zamazany i niewyraźny; wydaje się, że nikt poza Thuy nie jest w stanie go dostrzec.

Thuy stoi przez chwilę w niewielkiej przestrzeni naprzeciw ołtarza przodków. Przyglądają się jej stamtąd obie Matki Tlenu; pozostają niewzruszone i odległe – a zresztą, kto powiedział, że Thuy ostatecznie nie otrzymała od nich błogosławieństwa?

Kim Anh również tu jest – na holo. Uśmiecha się i odwraca głowę, by spojrzeć na coś, co utraciła dawno temu. Szkatułka na ołtarzu oczekuje przyobiecane mu kryształ; upominku, dla którego Thuy tak wiele poświęciła. Ktoś – pewnie Xuan albo Le Hoa – zostawił na tacy czarkę z winem ryżowym oraz zniekształcony kryształ, którego Thuy nie chciała przyjąć w herbaciarni.

– Nie wiedziałam – mówi na głos. *Lazurowy Wąż* milczy, ale Thuy czuje, że mimo to i tak jej słucha. – Nie wiedziałam, że statki mogą przetrwać.

*Po co się nas buduje?* – szepcze w myślach Thuy *Łódź Wysłana przez Dzwon*. Kobieta nie ma na to odpowiedzi.

Wyciąga ze swych szat kryształ Kim Anh, który przekłada do prawej dłoni. Pozwolono jej go zatrzymać – jako świadectwo tego, jak wiele musiała znieść.

Dłoń wygląda zwyczajnie, ale Thuy odczuwa ją jako dziwnie odległą, jakby... nie należała już do niej. Dotyk kryształu jest obcy, jakby przydarzał się w innym świecie.

Thuy wie, że jej opowieść krąży już po statku – może za jakiś czas odkryje, że jej samej wzniesiono ołtarz oraz świątynię i załogantki modlą się do niej tak, jak teraz robią to do jej matek. Po drugiej stronie stołu, przy ślepej ścianie odgradzającej kabinę Thuy, czeka na nią duch jej córki, przezroczysty i niemal pozbawiony jakichkolwiek cech.

*Witaj, Matko.*

Thuy myśli o *Łodzi Wysłanej przez Dzwon*, osamotnionej w głębinie; o skafandrach, obietnicach i duchach, o pozostałościach tego, co tak naprawdę nie umiera, i co powinno zostać uwolnione.

– Witaj, dziecko – szepcze. I, zanim zdąży się rozmyślić, upuszcza kryształ do czarki.

Duch niknie niczym kurczący się płomień świecy. Nastaje ciemność – cicha, kompletna i pełna spokoju.

**ALIETTE DE BODARD** TO AMERYKAŃSKO-FRANCUSKA PISARKA WIETNAMSKIEGO POCHODZENIA, JEDNA Z NAJCZĘŚCIEJ NAGRADZANYCH AUTOREK SF OSTATNICH LAT; LAUREATKA NEBULI, LOCUSA ORAZ NAGRODY BRITISH SCIENCE FICTION ASSOCIATION, ZWYCIĘZCZYNI WRITERS OF THE FUTURE, NOMINOWANA DO HUGO I NAGRODY IM. JOHNA W. CAMPBELLA. JEJ SZTANDAROWYM UNIWERSUM JEST XUYA – ŚWIAT ROZUMNYCH STATKÓW, WYCHOWYWANYCH W MIESZANYCH RODZINACH SI ORAZ KOSMICZNYCH CYWILIZACJI POCHODZENIA CHIŃSKIEGO I WIETNAMSKIEGO: TO WŁAŚNIE TAM ROZGRYWA SIĘ AKCJA *WYŁAWIANIA DUCHÓW*. ALIETTE MIESZKA W PARYŻU, GDZIE PRACUJE JAKO INŻYNIER KOMPUTEROWY. UWIELBIA GOTOWAĆ – NA SWOJEJ STRONIE INTERNETOWEJ ZAMIESZCZA RÓŻNE PRZEPISY. [PZ]

*W poprzednich odcinakach:  
(niniejsze streszczenie dedykuję blogerce, która  
ucieszyła się z poprzedniego)*

*Pisząc krótko: w przyszłości ludzie nauczyli się podróżować w czasie,  
co zaowocowało potwornym chaosem wywołanym przez mnożące  
się bez kontroli równoległe rzeczywistości. Co więcej, zgodnie  
z ludzką naturą, światy równoległe skakały sobie nawzajem do gardeł,  
wywołując wojny na skalę, jakiej wcześniej nie znano.*

*Z chaosu wyłoniło się Oko Cyklonu – najwredniejszy ze światów,  
dysponujący najbardziej zaawansowaną technologią i trzymający  
całą resztę wieloświatowej rzeczywistości w żelaznym uścisku  
bojowych chronokrętów.*

*Kiedy zapanował pokój, do akcji mogli wejść naukowcy  
i zacząć komplikować to, co wydawało się i tak trudne do ogarnięcia  
umysłem. Nasi bohaterowie to właśnie naukowcy, starający się  
z badać jeden ze światów równoległych, by potwierdzić teorię  
dowodzącego wyprawą profesora Hasneka. Uważa on mianowicie,  
że prócz rzeczywistości powstałych w wyniku łamania czasu, istnieją  
także „światy spontaniczne”, „światy zerowe”, które powstały  
na drodze naturalnych procesów.*

*Tyle krótkiego wstępu. Co dalej?*

*Tajemnice, spiski, sprytnie nawiązania do naszej historii; nieudane  
romanse i zapowiedzi potencjalnie udanych. Rozmowy z wielokrotnymi  
osobowościami wywodzącymi się z zapisów jaźni przodków, ludzie tak  
poprzeksztaleni przez technologie i eksperymenty genetyczne,  
że właściwie nie przypominający już ludzi.*

*Należy też wspomnieć, że zbliża się strzelanina.*

*Ale jeszcze nie w tym odcinku. W tym szalony naukowiec będzie  
pograżał się w szaleństwo, bawiąc się w preppersa na dalekiej  
planecie, kryjącej wredną tajemnicę.*

*Ale strzelanina jest już naprawdę blisko.*

# Oko Cyklonu

## CZĘŚĆ SZÓSTA

Paweł Majka

### V

W milczeniu sprowadzili Tianowicza na dół, do obozu. On też się nie odzywał. Nie pozwolił sobie odebrać podniszczonego plecaka. Potrząsnął tylko głową, wytrzepał z fajki resztkę tytoniu i ruszył w dół zbocza. Chcąc nie chcąc, podążyli za im. Dopiero na dnie kotlinki pozwolił się wyprzedzić. Wtedy zaprowadzili go do jeziora, wsadzili na ponton i zawieźli do lądownika.

Pierwsze słowo, jakie tam wypowiedział, brzmiało: „Inni”.

– Inni. Sprytnie, Hasnek – wymruczał Tianowicz. – Aż za sprytnie na ciebie. Może właśnie dzięki nim jeszcze żyjecie?

Potrząsnął głową i zdjął plecak. Usiedli w mesie.

– Macie coś ciepłego do jedzenia? – za-  
pytał. – Od tygodnia nie mogłem rozpalić  
ognia. Tutaj cały czas pada, do tego skończył  
mi się zapas chrustu.

– Przygotuję panu zupę – zaferowała  
Tana, uśmiechając się łagodnie. – Będzie  
syta i gęsta.

– Dziękuję, dziewczyno. Jesteś kobietą  
Hasneka, tak?

– Jestem Tana – odpowiedziała i odeszła.

Starzy konkurenci wymienili spojrzenia. Tianowicz zrozumiał. Znów wyciągnął fajkę.

– Nie wyłazicie stąd zbyt często, co? – wymruczał. – Słusznie. My rozbiliśmy obóz nad brzegiem morza. Zamiast siedzieć w lądowniku, otoczyliśmy je polem czasowym i partryliśmy, jak migoczą wokół nas lata. Ganges siedział nad swoim komputerem, zbierał dane od sond i nie mógł się im nadziwić. Bo nic tu nie było, wiesz o tym Hasnek, co?

– Zupa na stole! – zameldowała Tana, podchodząc z parującym naczyniem.

– Stół! – wyszeptał Tianowicz, a oczy ponownie zaszyły mu łzami. – Stół! Dziewczyno, nie masz pojęcia, jak dawno nie widziałem stołu!

Oparł się wygodnie, odchylił głowę i przyknął oczy. Zorientowali się, że zasnęła, gdy zaczął chrapać.

– Lepiej wezmę zupę. Podgrzeję mu ją później – Tana pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Musiał być wyczerpany – stwierdził Iwan.

– Wyczerpany! – zawołał Hasnek. – Skałał po tych skałach jak kozica! Ledwie mogliśmy za nim nadążyć!

– A jednak. Ciekawe, co się z nim działo. Co przytrafiło się im wszystkim?

Dowiedzieli się dziesięć godzin później, gdy Tianowicz zjadł wreszcie zupę.

– Pewnie z trudem opanowuje pani chęć zatkania nosa, co? – zagadnął Tanę pomiędzy jednym a drugim młasińciem. Jadał głośno, z niemal wyzywającą pogardą dla manier. Długo zastanawiał się, oglądając dokładnie plastikową łyżkę i obracając ją w ręce, zanim zdecydował się z niej skorzystać. A potem cały czas jadał, domagał się dodatków, chlupał, ciamkał i mlaskał. – Ale nie zrezygnuję tak łatwo ze swojego brudu. O nie! Nie wiadomo co nas czeka, a wszystkie te zapachy pozwolą mi się w razie czego ukryć, gdy wy – wycelował łyżkę w Tanę – pachnący swoimi mydlami i szamponami, będziecie dla drapieżników jak na widelcu.

Skiniął głową do swoich myśli, westchnął, po czym zaskoczył wszystkich, zwracając się nie wiadomo do kogo:

– Tak, tak, stary Igor wie, co mówię. Oczywiście, nauczę ich. Jak przeżyć, nie zwracając mi głowy. Nie mam teraz dla was czasu. Muszę zająć się nimi. Póki mogę. Nie wiadomo, jak wiele jeszcze mam czasu. Lada chwila może znów zacząć się mną bawić.

– Co się stało, Tianowicz...? – zapytał wreszcie Hasnek. – Gdzie twoja ekipa? Jak długo tu jesteś? Tysiąc lat? Nie znaleźliśmy śladu waszej obecności!

– Pytania! – zawołał Tianowicz, wznosząc oczekującą zupą łyżkę ku sufitowi. – Wiele masz pytań, co, Hasnek? Ale najbardziej interesuje go, czy byłem tu przed nim według czasu OC – zachichotał, znów zwracając się ni to do załogi lądownika, ni do kogoś, kogo nie widzieli.

„Oszalał?” – zastanawiał się Iwan.

Dane wskazują, że mógł długo przebywać sam. Tacy ludzie często wykształcają zwyczaj

rozmawiania samemu ze sobą albo z wyimaginowanymi towarzyszami. Jeśli to zaburzenie nie rozwinęło się nadmiernie, będzie można odfiltrować pozyskane od niego dane, odsiewając prawdę od fantasmagorii.

– Otóż byłem tu przed wami. I wcale nie jest mi przykro z tego powodu! – ogłosił dumnie Tianowicz i zaraz zmienił zdanie. – Chociaż, gdybyście to wy byli pierwsi, może to wami by się bawił. A nie mną... i Sarą.

– Tianowicz, skup się – poprosił Hasnek. – Opowiedz wszystko od początku.

– Odkąd wyruszyłem? Chcesz wiedzieć od kiedy? – zachichotał Tianowicz. – Ciesz się, Hasnek. Nie mam żadnych dowodów, że byłem tu przed tobą. Wszystko wyparowało, znikło. Masz tylko moje słowo.

– Nic mnie to nie obchodzi! – oświadczył stanowczo Hasnek, ale wyraz zadowolenia na jego twarzy przeczył słowom. – Chcę tylko wiedzieć, co ci się przydarzyło.

– Tak, tak... – mamrotał Tianowicz, najwyraźniej nie radząc sobie z resztką zupy przy pomocy samej łyżki. Wreszcie podniósł talerz do ust i wypił to, co zostało. – Tak, tak, chcą wiedzieć. Tak im się wydaje: że chcą – uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Dobrze! Posłuchajcie.

\*\*\*

– Dzięki małej wojence dzieci Stalina dotarłem tu przed wami. Ale i tak zamierzałem oszukiwać. Przybyć, cofnąć się w czasie do momentu przed waszym przybyciem i zhażkować komputery pokładowe, żeby wskazały wcześniejszą datę OC. Miałem nawet na pokładzie zdolnego informatyka gotowego to zrobić. Ale poszczęściło mi się. Wybuchła wojna i wasza wspaniała Stacja Achillesa została przejęta przez wojsko. A wy zostaliście uziemieni. Moja, niby gorsza sytuacja startowa, przecież nie przydzielono nam priorytetów wyprawy oficjalnej OC, okazała się lepsza. Ot, los.

Ostatecznie i tak wylądowaliśmy jakieś tysiąc lat przed wami, jak teraz widzę, tak jak planowaliśmy. Od początku ten świat okazał się cudem. Zbadałeś Stałą, prawda, Hasnek? I wyszło ci to, co mi, prawda? Na początku nie wiedziałem, czy nie upić się ze szczęścia, że twoje wcześniejsze obliczenia, cały wielki system Hasneka, okazał się być kompletnie do dupy. No, może nie kompletnie, bo jakoś tu trafiliśmy, ale błędy w nim były. Błędy, które mogłem wykazać!

Teoretycznie mogliśmy już wracać z tymi pomiarami Stafej. Ale było nam mało. Tak jak wam, jak tobie, Hasnek. Zbliżyliśmy się więc do tutejszej Ziemi i pokręciliśmy się po jej orbicie. Ale nie było tam nikogo. Przekonaliśmy się o tym, gdy wysłaliśmy wreszcie sondy, a one nie znalazły ani śladu ludzi. Nic. Owszem, zwierzątka jak trzeba, ale to wszystko. Gadaliśmy o tym, klóciliśmy się. Aż wreszcie wylądowaliśmy.

Wylądowaliśmy, na całej szczęście, blisko. Gdybyśmy wybrali na przykład Amerykę, nigdy bym was nie znalazł. No więc Afryka. Wicie, kolebka ludzkości. Traktowaliśmy to trochę jak piknik. Czekaliśmy na was, żeby zobaczyć wasze miny, zwłaszcza twoją, Hasnek. Sondy obserwowały i gromadziły dane, a myśmy się bawili.

Aż któreś nocy zniknął Adam, nasz człowiek Służby. Żadne czujniki nie zarejestrowały jego odejścia, ale to akurat nic dziwnego. Służba mogła mieć swoje sposoby. Ale czemu odszedł? Na statek nie wrócił, nasz lądownik wciąż tkwił tam, gdzie go zostawiliśmy. Po prostu przepadł. Trochę się tym pomartwiliśmy, ale uznaliśmy, że pewnie wyruszył na jakąś samodzielną tajną eskapadę. Tylko Lena, nasz archeolog... Tak, tak, Hasnek, ja swoją wyprawę przygotowałem lepiej niż ty! No więc, tylko Lena się zamartwiała, bo zdążyła się zakochać w tajniaku. I wicie co, nagle zaczęła go

widzieć, rozmawiać z nim. Łaziła po obozie, niby to go obejmując, cały czas uśmiechając się do niego i gadając z facetem, którego nie było. Pomyśleliśmy, że zwariowała ze zmartwienia, sami zresztą zaczynaliśmy się już martwić nie na żarty, bo facet długo nie wracał. Do tego nie mogliśmy włączyć pola i zwolnić czasu, żeby nie zostawić go na zewnątrz. A któreś nocy przyłapał się Lenę jak... ech... jak kochała się z facetem, którego nie było. Tego było dla nas za wiele. Odesłaliśmy ją na statek, żeby czekała na nas, nafaszerowana środkami uspakajającymi. Statek umieścił ją w swoim wewnętrznym polu, zsynchronizowanym z naszym. My machnęliśmy ręką na agenta. Uznaliśmy, że jakoś sobie poradzi, trudno. Jeśli jeszcze żyje. Ciągle też liczyliśmy na sondy nieustannie przeczesujące teren.

Mówiąc krótko – nie znalazły go. Za to zniknął Ganges, nasz informatyk. No, niezupełnie zniknął. Ktoś wyrzucił go na lewą stronę i to, co pozostało, przybił do drzewa. Wtedy porzygałem się na sam widok tego dzieła sztuki. Teraz pewnie bym już się tak nie przejął... Dobra, dobra, streszczam się! Kurde. Urządziliśmy mu pogrzeb, zupełnie wbrew rozsądkowi. Przecież trzeba było zabezpieczyć zwłoki i odesłać je na statek, żeby mieć dowody przeciw temu świrowi, Adamowi – nikt już nie miał wątpliwości, że agent jednak żyje i to jego dzieło. To znaczy, nikt oprócz mnie. Ale prawdę mówiąc, nawet ja trochę wtedy od tego zgłupiałem. A inni... Nawet nie ma co gadać. Histeria i tyle. Dawaliśmy wiarę każdej, nawet najgłupszej teorii. Nie macie pojęcia, jak szybko naukowiec może zmienić się w panikującego głupca. Chciałem wysłać ciało na statek, ale Sara się nie zgodziła. Powiedziała, że nie wyobraża sobie, że gdzieś tam, na orbicie, czekać na nas będzie chronokręt ze zmasakrowanym trupem i szaloną kobietą na pokładzie. To było tak irracjonalne, tak niemądre. I tak

przekonujące zarazem. W każdym razie nas, wtedy. Prawie uwierzyliśmy, że zmasakrowane zwłoki mogą ożyć... Pewnie mnie nie rozumiecie, ale my wtedy nie byliśmy już cywilizowanymi ludźmi. Byliśmy prymitywnymi dzikusami z mrocznych wieków, wierzącymi w duchy i przesady. No i koniec końców spaliliśmy te nieszczęsne zwłoki.

Zostało nas tylko troje. Robert, mój asystent, chciał zakończyć ekspedycję. Uważał, że nic więcej nie osiągniemy, co najwyżej ktoś jeszcze zginie. Ja się z nim spierałem. Sara milczała. Potrafiła przesiedzieć całe dnie, wpatrując się w niebo. I kiedyś, podczas najbardziej zażartej kłótni z Robertem, odezwała się niespodziewanie i oznajmiła, że statek zniknął. To było wieczorem. Niebo było pełne gwiazd, ale nasz statek wyróżniał się wśród nich jasnością, łatwo było go dostrzec. Kiedy był.

Pomyśleliśmy, że z jakichś powodów zmienił orbitę. Nic wielkiego. Zaczęliśmy go wywoływać. Bezskutecznie. Ciągłe jeszcze otrzymywaliśmy obraz z sond, ale statku nie potrafiliśmy odnaleźć.

„Obudziła się!” – krzyczała Sara – „Obudziła się i zostawiła nas tutaj!”

Pocieszałem ją, tłumaczyłem, że to niemożliwe, żeby nasza szalona koleżanka uciekła chronokrętem. Statek był w pełni zautomatyzowany, kierował nim kwanputer. Żeby zmusić go do odlotu, potrzebna była autoryzacja dowódcy wyprawy, czyli moja. Nawet gdyby Lena wyszła jakimś cudem z uśpienia, nawet gdyby wpadła na szaleńczy pomysł pozostawienia nas tutaj, nie byłaby w stanie tego zrobić. Ale spróbuj, człowieku, przekonać przerażoną kobietę!

Robert upierał się, że powinniśmy spakować wszystko do lądownika i udać się na orbitę. Przekonywałem go, że to bez sensu, że nic tym nie osiągniemy. Powietrza i żywności nie starczy nam na długo. Koniec końców będziemy musieli ukryć się w zeroczasie, co



Monika Gluza

skaże nas na całkowitą bierność. A paliwa nie starczy nam na kolejne lądowanie. Tutaj, na Ziemi, przynajmniej mieliśmy szansę na jakąś inicjatywę.

Nie dał się przekonać. Krzyczał. Widziałem, że bardziej boi się czegoś, co zabija nas na Ziemi, niż ryzyka w kosmosie. W końcu ustaliliśmy, że on wyniesie się z lądownikiem na orbitę, skąd będzie kontynuował poszukiwania chronokrętu i nadawanie wezwania pomocy na wszystkich możliwych częstotliwościach, my zaś z Sarą zostaniemy na Ziemi.

Po trzech dniach i lądownik zniknął z orbity. Tak samo jak chronokręt. Sonden nie potrafiły odszukać także i jego.

Tym razem nie można było tego wytłumaczyć ucieczką przez czas czy przestrzeń. Lądownik nie był do tego zdolny. Wszystko, na co było go stać, to opaść na planetę albo uciec z niej na orbitę.

Sara znalazła schronienie w mistycyzmie. Zaczęła się modlić, by coś, co zabiło naszych towarzyszy, nas oszczędziło. W pewnym momencie wysnuła teorię, że tamci okazali się niegodni, my zaś mamy stać się pierwszymi Adamem i Ewą nowego świata. Starałem się ignorować jej majaczenie. Przytakiwałem, niby to się z nią zgadzałem, uczestniczyłem nawet w składaniu ofiar wymyślonego przez nią bóstwu. Przynajmniej dopóki nie wymyśliła, że powinniśmy zastąpić owoce zwierzętami, na które zaczęła polować.

Któregoś dnia obudziłem się bez niej. Początkowo myślałem, że wyruszyła na jedno ze swoich polowań i pojawi się lada chwila. Potem znalazłem jej ubranie i rzeczy na brzegu morza. Wśród nich pożegnalny list. Żałuję teraz, że zniszczyłem go zaraz po przeczytaniu. Był pełen mistycznych bredni. Jedno było pewne – utopiła się.

Wróciłem do obozu i odkryłem, że zamilkły sondy. Przepadły jak chronokręt

i lądownik. Nie przejąłem się tym. Miałem własną, odmienną od Sary teorię. Uważałem, że to ty nas zabijasz, Hasnek. Ty prowokujesz te wszystkie wypadki. Bo przybyłeś do świata Zero po nas – i postanowiłeś wykończyć nas, by wygrać. Nie kręć tak głową, Hasnek, nie wiesz w jakim byłem w stanie.

Postanowiłem, że ci się nie dam. Że wytrzymam. Poobwieszałem się bronią, jeszcze bardziej wzmocniłem środki bezpieczeństwa. Faszerowałem się chemią, żeby nie spać, i nie wypuszczałem karabinu z ręki. Czekałem na ciebie.

A potem, nie wiem po jakim czasie, odkryłem, że to bez sensu. Że nie wytrzymam tutaj sam. Że wygrałeś. Wydałem się sobie śmieszny. Samotny mężczyzna przytulony do splotu, siedzący na plaży po ochroną pola czasowego. Po co mi takie życie? Po co mi życie bez Sary?

W przeciwieństwie do niej, nie umiałem się zabić. Nie bezpośrednio. Pomyślałem, że pozwolę naturze załatwić to za siebie. Wyłączyłem generator, a wraz z nim pole czasowe i wszystkie zabezpieczenia. Pomyślałem, że załatwisz mnie ty – albo czas. Jadłem, piłem, spałem i czekałem. Ale nic się nie zdarzyło. Nie przyszedłeś mnie zabić.

W końcu porzuciłem obóz i wyruszyłem w podróż. Może miałem nadzieję, że coś mnie zeżre w puszczy? Teraz już nie wiem, to wszystko było tak dawno temu. Dziwne, ale wszystkie wydarzenia do śmierci Sary pamiętam dokładnie, jakby zdarzyły się wczoraj. Reszta się zaciera. Ale też wszystkie dni po śmierci Sary były takie same. Szedłem przez las i gadałem do siebie. Do drzew, ptaków, drapieżników, które ignorowały mnie i omijały z daleka, zamiast zaatakować i nażreć się do syta. Miałem ze sobą tylko to, co niezbędne. Karabin, kilka noży, śpiwór, apteczkę, zapasy jedzenia, znikające w zastraszającym tempie. Nie chciałem umrzeć z głodu,

miałem wrażenie, że to straszna śmierć. Nauczyłem się więc polować. Najpierw karabinem, a gdy skończyła mi się amunicja, nożem, łukiem, procą, prymitywną włócznią. Nie liczyłem dni. Mój rytm czasu zmienił się, biegł od posiłku do posiłku, od polowania do polowania. Łowy stały się jedyną aktywnością. Kiedy nie polowałem, miałem wrażenie, jakby mój umysł spał.

A potem, któregoś dnia, znalazłem Sarę. Ha, zdziwiliście się!

Nie, to nie była moja Sara. Z żalu, a może okrucieństwa wobec siebie, nazwałem tak młodego kruka z przetrąconym skrzydłem. Znalazłem go tuż przed tym, jak prawie dopadły go lisy. Odgoniłem je pod wpływem impulsu, którego sam nie rozumiałem. Nastawiłem ptakowi skrzydło – diablo ryzykowałem, mówię wam, przecież nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłem! Przewiązałem całe jego ciało paskiem z jakiejś mojej portaganej koszuli i karmiłem przez jakiś czas, nim zrozumiałem, że jakimś cudem uleczyłem ptaka i znów może on latać.

Nie odleciał. Został ze mną, a ja nazwałem go Sarą, choć nawet nie wiedziałem, czy jest samicą. No i powędrowaliśmy razem. Znalazłem nowy sens życia, znalazłem kogoś, z kim mogłem rozmawiać. Bo wiecie, nauczyłem Sarę kilku słów. Kruki to cholernie inteligentne ptaki, toteż wypowiadała je z sensem, nie przypadkowo. Zazwyczaj chodziło jej o jedzenie. A prawie zawsze chciała jeść.

Przy mnie nie latała głodna.

Pewnego dnia umarła.

To było straszne. Rozpaczałem bardziej niż po śmierci prawdziwej Sary. Usypałem jej kurhan. Możecie się śmiać, ale nigdy nie kochałem nikogo bardziej niż tego ptaka. Obwinałem siebie, że może ją przekarmiłem, może otrujęm czymś niestrawnym dla kruków?

A potem do mnie dotarło. To nie ja ją zabiłem. To czas. Uświadomiłem sobie, że

obserwowałem, jak się starzała, choć długo nie zauważałem objawów. Jak coraz trudniej przychodziło jej latanie, pod koniec już tylko siedziała na moim ramieniu, całe plecy miałem obsrane. Oczywiście miała stare, a pióra siwe. Zrozumiałem, że próbowała się ze mną pożegnać przy użyciu tych niewielu słów, których ją nauczyłem.

To było przerażające odkrycie. Jedno z najbardziej wstrząsających na tej planecie.

Bo wiecie, kruki potrafią przeżyć i sto lat. Tak słyszałem. A Sara była młoda, gdy ją znalazłem.

Jeśli więc ona przeżyła kilkadziesiąt lat, może nawet wiek, to ile miałem ja? Nie przybyłem tu jako młodzieniaszek. Tuż przed rozpoczęciem wyprawy świętowałem pięćdziesiątkę.

W porządku – liczyłem i starałem się uspokoić – średnia życia wynosi teraz jakieś sto trzydzieści. Ale tu byłem odcięty od ośrodków medycznych i całej tej nowoczesnej farmakologii. Z drugiej strony, powiedzmy, że przez to ganiecie po lesie prowadziłem wyjątkowo zdrowy tryb życia. Moja średnia mogła więc i tak być niezła. To ile teraz miałem? Dzieciwiećdziesiąt lat? A może sto dwadzieścia? Sto trzydzieści? A może więcej? Bardziej zdumiało mnie, jak szybko te lata minęły, niż zakładany wiek. Być może już zbliżała się śmierć, ale ja czułem się rześko i całkiem młodo. Mogłem się więc położyć i czekać na śmierć – albo jakoś żyć. Wybrałem to drugie.

Grób Sary umieściłem w charakterystycznym miejscu, żeby móc do niego wracać. Jest taka śmieszna skała, przypominająca prymitywną maczugę. W Oku Cyklonu niedaleko niej wznosi się miasto. Tutaj otaczają ją tylko skały i las. Ale łatwo ją znaleźć, jeśli się wie, czego szukać. Tam pochowałem Sarę, i tam ponownie zacząłem liczyć czas. Od Roku Śmierci Sary. Wyrulem w skale jej imię, a nad nim wielką, grubą krechę.

Potem wyruszyłem w drogę, ale miałem ze sobą długi, gruby kij, na którym oznaczałem dni. Kiedy mijał rok, odrzucałem kij, a do woreczka, który miałem przytroczony do pasa, wrzucałem kamyk. Gdy uzbierało się dziesięć kamyków, wracałem do skały Sary i wydłubywałem kolejną kreskę. Tak mijały mi dziesięciolecia.

Dziesięciolecia, Hasnek. Nie wytrzeszczaj tak oczu. Nie zwariowałem.

Kiedy wyryłem dziesiątą kreskę, wcale nie byłem zdziwiony. Było mi już wszystko jedno. Kolejne sto lat przeszło jak z bicza strzelił. Phi. Przez chwilę myślałem, że to ten świat daje nieśmiertelność, ale wystarczył rzut oka na grób Sary, by przypomnieć sobie, że ona umarła ze starości. A więc nie. To tylko ja zostałem wyróżniony. Jak? Przez kogo? Pozostawało uwierzyć w boga, boga pierwszej Sary. Okrutnego, a może głupiego drania, który bawił się nami wszystkimi, a potem już tylko ja mu zostałem. Przyszło mi do głowy, że mógłbym go wypróbować, wspiąć się na skałę Sary i rzucić się z niej. Ale chyba za słaby ze mnie wierny, bo zabrakło mi odwagi. Przypomniała mi się stara legenda o facecie, który nie może umrzeć, dopóki nie spotka, już nie pamiętam, mesjasza czy innej mitycznej postaci. Wymyśliłem, że tak będzie ze mną. Że nie będę mógł umrzeć, póki nie spotkam ciebie, Hasnek. Bo może, kiedy przylecisz, mój durny bóg znajdzie sobie nowe zabawki, i mi da wreszcie spokój?

To wszystko, wdzięczni słuchacze. Dziękuję za cierpliwość. Teraz, z łaski swojej, dajcie mi się napić, bo w gardle mi zaschło.

\*\*\*

Tana podsunęła mu w milczeniu butelkę soku. Długo nikt się nie odzywał.

– Który mamy teraz rok? – zapytał wreszcie Hasnek. – To znaczy, który rok Sary?

– Siedemset czterdziesty trzeci – odparł wesoło Tianowicz. – Latka lecą, nie?

– Chcę zbadać twój plecak, Tianowicz. Sprawdzić, ile ma lat.

– Nie wierzcie mi, co? A co mi tam, nie wierzcie. Przekonacie się, gdy zabierze się za was!

– „Zabierze się za nas”? – powtórzył Iwan. – Kto?

– Jak to „kto”? Bóg Sary. – Tianowicz mrugnął do Trbaska i ziewnął. – A teraz wskażcie mi jakieś miejsce do spania. Najlepiej łożko. Od ośmiuset lat nie spałem w łożku. Chcę sobie przypomnieć, jak to jest!

– Pomogę panu – zaoferowała się Tana.

– Los ci odpląć, dziewczyno!

Nocleg przygotowali mu w odosobnionym kącie mesy, z dala od innych sypialni. Rozłożyła dla niego łożko i przyniosła pościel. A kiedy, bynajmniej nie zdejmując ubrania – tylko smutno się uśmiechnął, kiedy wspomnieli mu o możliwości kąpieli – położył się spać, nachyliła się nad nim i sprawdziwszy, czy nikt im się nie przygląda, wyszeptala:

– A teraz opowiedz nam resztę.

Zdążył już zamknąć oczy. Teraz otworzył je szeroko.

– Resztę? Chcesz posłuchać o polowaniach, dziewczyno?

– Daj spokój. Opowiedz o strzępojach, Tianowicz. Przecież były z tobą przez wszystkie te lata. Chcemy posłuchać. – Zdawała sobie sprawę, że Ciszobłysk nie przegapi jej słów. Miała nadzieję, że kapitan Innych doceni jej gest.

– A więc to ty! – Wyszczerył się radośnie. – Siadaj, dziewczyno! Opowiadały mi o tobie.

**PAWEŁ MAJKA** UŁATWIA SOBIE ŻYCIE, NACIĄGAJĄC ZNAJOMYCH NA ROZMOWY I ARTYKUŁY DO „SMOKOPOLITANA”, ZAMIAST PISAĆ TAM TEKSTY SAMODZIELNIE. PONIEWAŻ NIE UDAJE MU SIĘ STOSOWAĆ PODOBNEGO PRZEKRĘTU W LITERATURZE, POWIEŚCI (*POKÓJ ŚWIATÓW*, *NIEBIAŃSKIE PASTWISKA*, *CZŁOWIEK OBIECANY I DZIELNICA OBIECANA*, *WOJNY PRZESTRZENI*, *BERSERK*) I OPOWIADANIA PISZE SAM.

## ***(Potencjalni) zajdliści dla „Smoko”, czyli rozmowy (nie)kontrolowane***

Polcon to nie tylko jeden z najważniejszych polskich konwentów, ale także festiwal, podczas którego wręczane jest słynne odznaczenie w dziedzinie fantastyki: Nagroda Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla. W sierpniu już po raz trzydziesty trzeci zostaną ogłoszeni autorzy najlepszej powieści i najlepszego opowiadania, które ukazały się w 2016 roku. Cieszy nas to szczególnie, gdyż, podobnie jak przed rokiem, pisarze publikujący w „Smokopolitanie” znów zostali zaszczycony nominacjami. Również i Wy, nasi Drodzy Czytelnicy, będziecie mogli przyczynić się do wyłonienia zwycięzcy.

Wraz z Karoliną Łukasik postanowiłyśmy przybliżyć Wam sylwetki wszystkich tegorocznych nominowanych, więc zebrałyśmy i opracowałyśmy pytania do pisarzy (w czym oczywiście pomagali nam dzielnie koleżanki i koledzy z redakcji). Nie są to klasyczne wywiady, a raczej indywidualnie dobrane tematy, które rozwijały autorzy. Nie narzucaliśmy im formy tekstu, dlatego wypowiedzi bywają bardzo różnorodne. A zresztą, sami zaraz zobaczycie. Miłej lektury!

Katarzyna „Ophelia” Koćma

### **JULIUSZ BRAUN, LO FARESTI PER ME?, W: „SMOKOPOLITAN” 1 (4) 2016**

*Oprócz tego, że sam piszesz opowiadania, zajmujesz się także ich przekładem. Czy masz jakiś ulubiony gatunek literacki, który chętnie tłumaczysz, lub taki, którego przekład zupełnie nie sprawia Ci przyjemności? Jak proces tłumaczenia wpływa na pisanie Twoich własnych utworów?*

W ogólności można powiedzieć, że tak jak szczególnie lubię czytać fantastykę, tak i szczególnie lubię ją tłumaczyć. A jeśli chodzi o podgatunki, to nie ma sensu tego

rozbijać, bo są znacznie ważniejsze czynniki, które wpływają na to, czy dane opowiadanie (a właściwie dany tekst – rozumiany szeroko, również jako dialogi w filmie czy teksty piosenek) „dobrze się tłumaczy”.

I tak – najważniejsze jest dla mnie, czy tekst jest dobry. Pomijając już fakt, że długotrwałe obcowanie ze szmirą rodzi frustrację i ostatecznie prowadzi do uderzania w klawiaturę głową, nie palcami, chodzi nawet o zupełnie trywialną (zdawałoby się) kwestię zrozumienia. W słabych tekstach zaskakująco często pojawiają się zdania, które nie mają sensu. Gorzej – zdania, które *nic nie znaczą*. Wyglądają niepozornie, nierzadko nawet ładnie brzmią, ale po bliższej analizie okazuje się,

że nic z nich nie wynika, użyte przez autora słowa nijak się do siebie nie odnoszą. I jak to się ma do głównej zasady przekładu – tłumaczenia sensu? Poza tym (chyba jak każdy) lubię tłumaczyć coś, co mi się podoba, same-mu wciągając się w fabułę. Wtedy tym bardziej chcę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby zapewnić polskiemu odbiorcy równie dobre wrażenia. Nawet jeśli tekst jest trudny (a może zwłaszcza wtedy?), satysfakcja z powodzeniem wynagradza włożoną pracę.



Kolejnym ważnym punktem jest to, że dobrze tłumaczy się teksty, które „się czuje”. Gdy dokładnie rozumie się, co autor chciał zrobić, takie, jakich styl przychodzi tłumaczowi naturalnie. Ja na przykład zazwyczaj wolę science fiction od fantasy, ale jednym z opowiadań, których tłumaczenie wspominał najlepiej, jest *Dziwięte uwiedzenie* Seana McMullena – historia o szpetnych goblinskich rzemieślnikach i pięknych elfach w zdobnych pałacach. Z przyjemnością wchodziłem w jej baśniową, kwiecistą (dosłownie – połowa akcji toczyła się w pałacowych ogrodach) narrację.

Ale ponad wszystko uwielbiam wyzwania językowe. Bodaj największą satysfakcję w tłumaczeniu daje mi walka z neologizmami albo problemami w stylu niepoprawnego zapisu języka, jak w *Kwiatach dla Algernona* Daniela Keyesa. I tu już zupełnie nieistotne jest dla mnie, czy te neologizmy opisują

statki kosmiczne, czy magiczne krainy, czy występują w zupełnie realistycznym tekście.

A czy tłumaczenie wpływa na pisanie własnych opowiadań? Raczej nie w jakiś wyjątkowy sposób – na podobnej zasadzie jak czytanie. Tyle że jako tłumacz obcuje z tekstami znacznie bliżej niż czytelnik – powiedziałbym, że w warstwie językowej nierzadko bliżej niż co poniektórzy mniej drobiazgowi autorzy. Na każdym kroku, przy każdym sformułowaniu muszę zastanawiać się, dlaczego autor użył akurat takich słów i jak można osiągnąć taki sam efekt po polsku. W tym wymiarze przekład byłby takim „czytaniem do sześcianu”.

## **MICHAŁ CETNAROWSKI, WYWIAD Z BORUTĄ, ALLEGRO, POWERGRAPH (WRAZ Z ŁUKASZEM ORBITOWSKIM)**

*Wiele osób kojarzy Cię jako redaktora „Nowej Fantastyki”, masz ogromne doświadczenie w pracy z tekstami innych osób. Jak to wpływa na Twój własny proces twórczy? Czy musisz uciszać swojego „wewnętrznego redaktora”? Który etap pracy pisarskiej sprawia Ci najwięcej radości i satysfakcji?*

Podobne pytanie słyszałem już parę razy, więc widocznie musi coś być na rzeczy – tzn. ludzi akurat ta strona mojej działalności interesuje bardziej niż inne. Ale wiecie – to trochę tak, jakby pytać, czy znajomość budowy łódki przeszkadza żeglarzowi żeglować; czy musi uciszać swojego wewnętrznego inżyniera, żeby rozwinąć żagle, wziąć kurs na to, co za horyzontem, stanąć za kołem sterowym? Gdy tymczasem moja praktyka podpowiada, że jedno i drugie doświadczenie uzupełniają się nawzajem; tzn. pisarz czerpie od redaktora, redaktor, mając z tyłu głowy, jak może wyglądać proces twórczy, ma

możliwość od nieco innej strony podejść do tekstu pisarza. Zresztą, najbardziej to „ukąszenie redaktorskie” widać może w proce-



sie przygotowywania się do pisania (konспект, *research*, planowanie struktury tekstu i wszystko, co z tym związane) – i oczywiście „na końcu”, to znaczy w procesie redakcji tego, co się napisało.

## **MICHAŁ CHOLEWA, INWIT, WARBOOK/ENDER ORAZ BUNT MASZYN, W: GENIUSZE FANTASTYKI, GENIUS CREATIONS**

*Chociaż tworzysz fantastykę militarną, wielokrotnie wspominałeś, że uważasz się za pacyfistę. Czy przeniesienie świata przemocy i wojny poza naszą rzeczywistość, do literatury bądź innych mediów kulturowych, jest dobrym sposobem na sublimację takich popędów? Jaką przestrogę mogą wnieść czytelnicy Twoich dzieł? I wreszcie – jak sądzisz, czy przyszłość fantastyki stoi pod znakiem utworów militarnych?*

Przede wszystkim teksty – i w ogóle dzieła – związane z wojną mają cele bardzo zindywidualizowane. Od radosnego dżingoizmu począwszy, przez odreagowywanie problemów politycznych, aż po jakieś rozliczenie z własnymi traumami. W związku z tym odpowiedź na tak zadane pytanie jest trudna – bo to zależy, w jaki sposób i na

jakiego czytelnika się trafi. Do mnie na przykład bardzo przemawiają teksty antywojenne, więc trudno uznać, że sublimuję popęd. Innym wystarczy, że poczytają o wojnie (albo obejrzą film) i już własna agresja im spada zatrzymana przez wyczyny bohaterów. Kogoś innego tylko to jeszcze bardziej nakręci.

Zatem – to dość niejednoznaczne. Na pewno natomiast powstanie fantastyki militarnej – a raczej jej powodzenie – wynika z tego, że literatura bez konfliktu jest raczej rzadkim zjawiskiem, a konflikt militarny jest po prostu bardzo wyrazisty.

Myślę, że czytelnika trudno pouczać, jakie ma wynieść przestrogi/rady/złote myśli z tekstów, które przeczyta, każdy przecież czyta trochę inaczej. Ja starałem się kłaść nacisk na stopniowe przekraczanie wyznaczonych sobie granic, na interakcje z technologią, na problemy ludzi „czasu wojny” kiedy wrócą do domu. Próbuję pokazywać konflikt bez realnych „złych”, gdzie każda strona ma swoje pozytywne i negatywne aspekty. Wreszcie zajmować się konkretnymi problemami, już niekoniecznie z wojną związanymi. W *Forcie* na przykład skupilem



się na tym, do czego społeczeństwo jest gotowe posunąć się, by przetrwać, z kolei w *Inwicie* – jak rozgrywana jest rewolucja przeciwko zbrodniczemu systemowi, tak przez siły zewnętrzne, jak i samych uczestników. Więc samą wojną jako starciami zajmuję się

niewiele. Mam wrażenie, że jeśli bym musiał wyekstrahować jedną myśl dotyczącą wojny z AW, to byłyby to: „To prawie nigdy nie jest jednoznaczna rzecz”. Co nie jest może jakąś niesamowicie odkrywczą myślą, ale – patrząc na postrzeganie tych spraw dzisiaj – być może za mało akcentowaną. Czy przyszłość fantastyki stoi pod znakiem utworów militarnych – nie, dlaczego? To jeden z tematów, takich jak eksploracja, kryminał, romans, groza czy społeczeństwo. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek zniknęła, bo sama wojna i wojsko nie tylko jest tematem żywym, co dodatkowo naturalnie rozwija popularny topos wojownika, ale też nie sądzę, żeby zdominował gatunek jako taki. Jesteśmy zbyt różnorodni – tak pisarze, jak czytelnicy.

**AGNIESZKA HAŁAS,  
PANICZ Z ERTEL-SEGA,  
W: NA NOCNEJ ZMIANIE.  
PIÓRA FALKONU,  
FABRYKA SŁÓW**

*Chociaż wykształcenie masz ścisłe, to jednak w swojej twórczości częściej opisujesz światy fantasy. Czy celowo unikasz swojej branży, czy to zwykły przypadek? Czym charakteryzuje się rygor światów fantasy? Jak łatwo przychodzi Ci zawieszanie niewiary?*

Lubię czytać SF, natomiast rzeczywiście nie wychodzi mi pisanie w tej konwencji. Próbowalam, ale nie byłam zadowolona z efektów i nie miałam motywacji, żeby te teksty kończyć. Mam wrażenie, że sztafaż fantasy pozwala mi inaczej operować atmosferą i emocjami. Kiedy próbowałam się przerzucać na SF, czułam się jak ktoś, kto na co dzień maluje akwarelami, a dostał do ręki farby olejne. Na pewno obawa przed popełnianiem błędów merytorycznych też ma znaczenie. Ale bardziej mnie blokuje poczucie, że w konwencji SF 1) nie jestem w stanie

wymyślić niczego oryginalnego i 2) tracę to, co sama lubię w swojej prozie: klimat.

Światy fantasy to temat rzeka. Jedni autorzy starają się stworzyć spójne historycznie i cywilizacyjnie alternatywne uniwersum, wykazujące minimum podobieństw z naszym światem (vide Feliks W. Kres i jego cykl o Szerni), inni – jak Terry Pratchett albo Andrzej Sapkowski – celowo wrzucają do swoich światów mnóstwo postmodernistycznych nawiązań, mieszając style i epoki. Ramy tego gatunku są bardzo szerokie i myślę, że przy zachowaniu minimum lo-



giki oraz zdrowego rozsądku dobry autor jest w stanie czytelnikowi „sprzedać” prawie wszystko. Osobiście lubię światy fantasy, które na własny użytek określam jako „spójne estetycznie” – przemyślane pod względem symboliki, wyglądu miejsc i brzmienia nazw. Zawsze podobało mi się od tej strony uniwersum J.R.R. Tolkiena.

Gdy chodzi o zawieszanie niewiary, jako czytelniczka jestem z jednej strony okropnie wymagająca, a z drugiej – całkiem tolerancyjna. Wybaczam, kiedy dobrze skonstruowana fabuła z udziałem wiarygodnych, fajnych bohaterów zawiera kiksy naukowe czy historyczne, nawet dużego kalibru – trochę mnie to drażni, ale rozumiem, że literatura to nie podręcznik. Nie ocenię ładnie napisanej, angażującej emocjonalnie powieści na jedną gwiazdkę tylko dlatego, że występuje

tam scena, gdzie bohaterowie kradną z laboratorium zawieszinę komórek macierzystych, a potem w piwnicy drukują na drukarce 3D ludzkie ucho. Nie wybaczam topornego stylu, braku wiarygodności w zachowaniach postaci oraz problemów z elementarnym realizmem. Jeśli autor opíše, jak bohaterowie zakopują zimą trupa w zamrażniętej ziemi, to złapię się za głowę i będę pytać retorycznie, gdzie był redaktor.

## MARTA KISIEL, SIŁA NIŻSZA, UROBOROS

*Dla wielu czytelników jednym z kluczowych aspektów Twojej twórczości jest humor. Czy trudno jest rozbawić odbiorców? Co śmiesz w fantastyce? Czy każdy podgatunek fantastyki da się napisać z humorem?*

Wszystko da się napisać z humorem, nie tylko fantastykę. A czy powinno – to już zupełnie osobna kwestia, rzecz jasna. Usłyszałam raz, na początku tej mojej „pożal się borze” kariery pisarskiej, że my, poloniści, potrafimy wyłącznie wyśmiewać cudze, zamiast tworzyć coś własnego. Było w tym strasznie dużo goryczy i złości, która mnie autentycznie zaskoczyła. Jak gdyby humor oznaczał wyłącznie parodię lub wręcz szyderstwo i nigdy, w żadnych okolicznościach, nie mógł być wartością samą w sobie. Jak taki brokat, który w zasadzie lepiej sobie darować, bo koniec końców i tak się obsypie i trzeba będzie toto odkurzyć z dywanu po prababci. Osobiście uważam humor za jedno z najbardziej uniwersalnych narzędzi, jakimi dysponuje pisarz. Wydobędzie z bohatera to, co dobre, lub to, co złe, zwyczajne lub nadzwyczajne. Podkreśli jego wielkość albo małość, ośmieszy go albo wyniesie na piedestał. Uczłowieczy lub odczłowieczy, wedle potrzeb i uznania. Ale też zbuduje scenę, rozcieńczy każdy morał do żońskiego stężenia lub też rozładuje napięcie,

stopniowo lub jednym zgrabnym cięciem. A przede wszystkim humor odsuwa autora na pewien dystans – od historii, od bohaterów, od całej tej waty przesłania, którą wypycha fabułę, żeby robiła większe wrażenie na czy-



telniku – dzięki czemu pozwala mu dostrzec ich wady i naprawić je lub w ciekawy sposób wyzyskać, ale też nie utracić osobistego kontaktu z ziemią. Oczywiście, pisząc z humorem, nie trzeba od razu popełniać powieści humorystycznej, tak jak sięgając po grozę, nie zostaje się z automatu kolejnym Kingiem. Kwestia proporcji.

Humor jest narzędziem uniwersalnym, owszem, ale też trudnym. Arcytrudnym wręcz. Przede wszystkim bardzo łatwo popaść w przesadę. Pamiętam taką recenzję *Dożywocia*, której autor zasugerował, że bym następnym razem pożyczyla pęsetę od własnego bohatera i wyrwała trochę dowcipów tu i tam. Natrafiłam na nią chyba ze dwa lata po premierze, więc zdążyłam nabrać dystansu – i całkowicie się z tą sugestią zgodziłam. Każda przesada jest zła, a w przypadku humoru można bardzo łatwo przytłoczyć i zmęczyć czytelnika. Ale to jeszcze nic. Pisząc z humorem, zwłaszcza w pewnym natężeniu, wystawiamy się na zarzut, z którym nie sposób dyskutować, czyli „mnie nie śmiesz”. I koniec, ściana. Dowcipu nie da się wytłumaczyć, wskazując palcem jego walory, wykładając genezę

i tak dalej. To znaczy, owszem, da się, ale to wcale nie sprawi, że dowcip zadziała tak, jak założył autor. Albo z miejsca trafi do czytelnika, albo nie, efekt zamierzony idzie się kochać. I często nie jest to kwestia na przykład braków warsztatowych, czegoś, co można poprawić, wypracować, tylko czysto subiektywnego, indywidualnego poczucia, co uważamy – a w zasadzie nie tyle uważamy, bo to zakłada wyłączny udział rozumu i świadomości, ile odbieramy jako zabawne, a co nie. A gdy na dodatek ten humor jest immanentnie wpisany w styl, tak jak u mnie, wówczas prawdopodobieństwo, że autor po prostu rozminie się z czytelnikiem bardzo wzrasta. Zapewne dlatego nigdy nie podbiję świata, co nie oznacza, że nie zamierzam próbować!

A śmieszyc może wszystko. Pod tym względem fantastyka w moich oczach nie różni się niczym od twardej rzeczywistości. Nie mogę jednak powiedzieć, żeby jakoś szczególnie ciągnęło mnie w stronę czystej parodii, ani jako czytelnika, ani tym bardziej jako autora. Parodia wymaga, owszem, dobrej znajomości danego motywu, gatunku czy konwencji, ale w gruncie rzeczy to ślepa uliczka, na dodatek bardzo wąska. A ja cenię sobie tę swobodę ruchu, jaką dają mi humor i fantastyka. Mogę więc obejrzeć od czasu do czasu *Kosmiczne jaja*, ale pisać tak bym nie chciała, umarłabym z nudów. Ech, nie dość, że polonista, to na dodatek kiepski...

## **MARTA KRAJEWSKA, IDŹ I CZEKAJ MROZÓW, GENIUS CREATIONS**

*Piszesz o dawnych Słowianach, o kulturze, która dla wielu osób jest odległa – a jednak zdajesz się świetnie Słowian znać i rozumieć. Czy widzisz ciągłość między ich kulturą*

*a naszą? Jak dużo ich zwyczajów zachowaliśmy? Czy są takie elementy, które sprawiają Ci trudność lub wydają się zbyt obce – a jeśli tak, co wówczas robisz?*

Wiecie co, chciałabym znać Słowian lepiej, bo wciąż mam wiele wątpliwości i białych plam, ale staram się nieustannie doskonalić. Odpowiem nie po kolei i na wszystkie pytania razem.

Najtrudniej jest myśleć jak tamci Słowianie, bo jesteśmy do bólu współcześni. Można się oczywiście starać, ale to wszystko i tak będzie tylko słowiańskość przez pryzmat charakteru, kultury i wiedzy danej osoby. Inaczej wczuły się w tę rolę Witkacy, inaczej Słowacki, a jeszcze inaczej Rej. Każdy z nich był potomkiem tamtych, każdy starałby się najlepiej, ale to zawsze będzie tylko widok przez pryzmat. Wystarczy spojrzeć na stare filmy o wikingach i serial *Wikingowie*. Przypatrzeć się konwencji, strojom i przede wszystkim fryzutom (fryzury najbardziej zdradzają w filmach czas, w którym dzieło powstawało). Odskakuję ku wikingom, ale tylko dlatego, że o Słowianach tytu filmów jeszcze nie mamy. No



więc zdaję sobie sprawę, że moi Słowianie to Słowianie widziani przez pryzmat zwanej Martą Krajewską. Z drugiej strony nie jestem przecież kosmitą, czuję się w pewnym stopniu spuścizną tamtych ludzi, jestem ich potomkinią i mam w sobie to coś,

co zwiemy słowiańską duszą, więc mogę próbować wczuć się w moje postacie. Myślę, że oni na pewnym poziomie byli pewnie tacy, jak my – emocjonalni, odważni aż po głupotę, sentymentalni (do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych). Jasne, zmieniliśmy się, ale każdy naród ma w sobie jakiś trzon, cechę wspólną na przestrzeni całej historii i sądzę, że każdy z nas potrafi ją w głębi siebie gdzieś uchwycić. Więc myślę, że na pewnej płaszczyźnie byli jak my, a na innej już byśmy ich nie rozumieli. Można się tylko starać. Zwyczajów zachowaliśmy bardzo wiele, w zeszłym roku opowiadałam o tym na konwentach podczas prelekcji, ale też trzeba tu pewnego dystansu, by nie dać się ponieść i nie dopatrywać pogańskich naleciałości w każdym rytuale i tradycji. To jest bardzo trudne. Obiektywizm jest bardzo trudny. Ale moim obowiązkiem jest się starać.

(Obiektywizm jest prawie tak trudny jak wiszenie z krawędzi dachu na opuszkach dwóch palców).

## **MAGDALENA KUCENTY, PARADOKS BLIŻNIĄT, W: „SMOKOPOLITAN” 3 (6) 2016**

*Piszesz o nowych, ambitnych technologiach i o ludziach ukształtowanych przez nie – całkiem dosłownie. Czy „Zodiaki” i inni bohaterowie to w Twoim zamyśle postludzkie? Co to dla nich oznacza? Czy czytelnicy mogą współodczuwać z postaciami, które się od nich różnią na fundamentalnym, biologicznym poziomie?*

Hm, tak, moje ukochane „Zodiaki” to zdecydowanie dzieci transhumanizmu, choć staram się, by nie brakowało im też zwykłych ludzkich przywar. Może nie wiadać tego na pierwszy rzut oka, zważywszy z jaką premedytacją „wykoczycylałam” swoich

bohaterów, ale po wzlotach każdego z nich czekają też upadki. Co zresztą zasygnalizowałam już w *Paradoksie Bliźniąt* – tam postać Capriego staje się bezradna, podczas gdy w *Koziorożcu i Smoku* chłopak był głównym przekazem. Czy to natomiast pozwala z nim współodczuwać? Nie jestem pewna. Czytelnicy raczej narzekali, że nagle zrobiłam z fajnej postaci taką pierdołę, ale uczyniłam to z rozmysłem, by przekuć na nowo i zahartować Capriego. Nie zamierzam



pisać o postludzich, którym wszystko udaje się z palcem w nosie. Chcę, by mimo swoich zdolności mieli też wady – inne od naszych, codziennych słabości, a jednak wciąż zrozumiałe dla zwykłego człowieka.

Z kolei bohaterowie moich pozostałych opowiadań to przeważnie uparte, charakterne istoty, które zostały postawione w niezwykłych okolicznościach, ale są raczej pozbawione jakichś niezwykłych cech lub zdolności. Ot, wciąż muszą mierzyć się z takimi pytaniami, jak: „Co dziś na obiad?” tudzież z wizją nieuniknionej śmierci. Czasami stawiam ich na granicy między zwykłym a postczłowiekiem, lecz zostawiam interpretacji czytelnika, czy powinni ją przekroczyć. Innym razem sama popycham ich na drugą stronę. Z takimi postaciami chyba łatwiej współodczuwać, chociaż to i tak zawsze zależy od umiejętności autora. Można opisywać losy bohaterów „do zakochania się”,

którzy nic ze zwykłymi ludźmi nie mają wspólnego, a można też pisać o pani Kasi ze spożywcza, której los nie obejdzie czytelnika. Według mnie to jest akurat rzecz mocno zależna ode mnie – na ile udźwignę kreację własnych bohaterów. Oczywiście, są pomysły, przy których niełatwo wzbudzić sympatię czytelnika – z reguły im ciekawszy, tym trudniej. A że nigdy nie byłam dobra w chodzeniu na skrót, w kółko łamię sobie głowę nad losami moich biednych, wymęczonych, zmaltretowanych dziwnymi wizjami autorki bohaterów.

**KRZYSZTOF PISKORSKI,  
CZTERDZIEŚCI I CZTERY,  
WYDAWNICTWO  
LITERACKIE**

*W swoich powieściach tworzysz alternatywną historię dziewiętnastowiecznej Polski czasów zaborów i powstań. Czy uważasz, że temat ten wymaga przepisania we współczesnej literaturze? Czy dobrym pomysłem jest, aby pisarze fantastyczni, zamiast tworzyć nowe, odrębne światy, odnosili się raczej do elementów rodzimych, twórczo przekształcając historię?*

Przed wszystkim uważam, że wszystko, co piszą fantastyczni autorzy, jest przetworzeniem historii. Nawet najbardziej uduchowione światy opieramy na skojarzeniach z prawdziwymi dziejami – niezależnie, czy będzie to średniowiecze i mit arturiański, czasy szogunatu w Japonii, czy też bardziej egzotyczny miks. Można te fragmenty wydarzeń i kultur rozdrobnić nie do poznania, pozmieniać im nazwy, ale autor zawsze będzie w jakiś sposób wzorował się na doświadczeniach świata rzeczywistego. Albo na kimś, kto się na nich wzorował. Ja lubię szukać u samej góry tego strumienia; publikacje historyczne dobrze sprawdzają mi się jako

źródło inspiracji. Używam ich, żeby wyjść poza przestrzeń skojarzeń i tropów, które podsuwa popkultura. Stąd wzięła się zarówno siedemnastowieczna Hiszpania zmieszana z płaszczem i szpadą, kryminałem noir oraz mistyką cienia w *Cieniorycie*, jak i spiski polskich emigrantów w przeźartej etherem Europie, połączonej z pozaświatowymi koloniami w *Czterdzieści i cztery*.

Jak widać, nie czuję się popularyzatorem historii; nie piszę książek, by ją przywracać czy przybliżać. Po prostu wierzę, że praca autora polega na odnajdywaniu i szarpaniu jakichś czulszych strun zbiorowej wyobraźni. Ja większość z nich znajduję w przeszłości. A jeśli kogoś to zachęci, by poczytać o prawdziwych ludziach czy wydarzeniach, którymi się inspirowałem, to tylko przyjemny efekt uboczny.

**ŁUKASZ ORBITOWSKI,  
WYWIAD Z BORUTĄ,  
ALLEGRO, POWERGRAPH  
(WRAZ Z MICHAŁEM  
CETNAROWSKIM)**



*W Innej duszy z wielką dbałością o szczegóły opisałeś Bydgoszcz z lat 90. Odmalowałeś niepokojąco brudny obraz małomiasteczkowej rzeczywistości w okresie przemian i wpływu owych przemian na mieszkańców, zwłaszcza tych młodych. Bez upiększeń zgłębiłeś*

temat zła drzemiącego w ludzkiej duszy. Czy według Ciebie to zło ewoluowałoby w dzisiejszych czasach? W końcu postęp już na dobre osiedlił się na polskiej ziemi, a ludzie stali się całkiem uzależnieni od technologii. Jak ukształtowałoby to inną, tę drugą duszę opisaną przez Ciebie postaci?

Nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć. Temat tzw. zła zajmował mnie przy okazji tej akurat książki i chyba powiedziałem wszystko, co potrafiłem. Wydaje mi się jednak, że zło pozostaje złem niezależnie od okoliczności, w jakich się ujawnia. Technologicznych także. Mój bohater, Jędrrek, zabija i zabijałby tak samo w Rzymie cesarów, w XXV wieku, bez znaczenia. Dziś być może nagrałby zbrodnię telefonem komórkowym. No i zostałby złapany po pierwszym zabójstwie, a to ze względu na rozwój metod śledczych, właśnie w związku z technologią.

## **RADEK RAK, PUSTE NIEBO, POWERGRAPH**

*W rozmowie na temat prowincji, która ukazała się w ostatnim numerze „Smokopolitana”, powiedziałaś: „Można napisać fantastyczną powieść przygodową strumieniem świadomości, tylko pytanie po co”. Jak odnosisz się do eksperymentów formalnych w fantastyce? Czy w każdym wypadku uważasz je za zbędne, czy może istnieją takie tematy lub takie gatunki, które Twoim zdaniem domagają się ich bardziej niż inne? Czy uważasz, że zbyt „ostra i brutalna” gra z konwencją może być szkodliwa i odwraca uwagę od treści bądź maskuje braki w konstrukcji świata? A może masz jakiś ulubiony utwór, w którym taki eksperyment się sprawdził?*

Język to część opowieści. Wieczny Grunwald Twardocha opowiedziany w inny sposób nie miałyby sensu; podobnie Prawiek

Olgi Tokarczuk, który uwielbiam, bez swojej pozornie obojętnej, surowej, „biblijnej” narracji byłby zupełnie inną książką. Język nie może być tylko szatą, którą zakłada się na opowieść.

Z konwencją należy grać, bo konwencja od tego jest, co z wdziękiem pokazuje Paweł Majka w *Pokoju światów* i *Wojnach przestrzeni*. Jednak oprócz mnogości analogii, nawiązań i smaczków, są to książki o czymś więcej. Cykl o mitoświecie bawi się konwencją bezpardonowo i bardzo niegrzecznie, ale pozostaje przede wszystkim przygodową opowieścią o zemście i pojednaniu, a więc o sprawach uniwersalnych, sięgających do pokładów mitologii, które każdy z nas nosi w sercu.

Pamiętam jednak inną książkę, uważaną przez niektórych za genialną, która z konwencją obchodzi się w sposób jeszcze bardziej karkołomny – mówię o *Mieście szaleńców i świętych* Jeffa VanderMeera. Czego tam nie było – i opowiadania, i komiks, i notatki pacjenta szpitala psychiatrycznego (chyba), i jakieś zagadki, cuda-wianki. Tylko opowieści brakło i czegoś uniwersalnego.

Takie formalne eksperymenty bardziej grają mi przy opisie codzienności – naszego życia takiego, jakim jest. Może dlatego, że pozwalają wydobyć na wierzch niezwykłość rzeczy zwykłych?

## **ANNA SZUMACHER, NA NOCNEJ ZMIANIE, W: NA NOCNEJ ZMIANIE. PIÓRA FALKONU, FABRYKA SŁÓW ORAZ TO BYLIŚMY MY, W: „SILMARIS” 2 (2) 2016**

*Z wykształcenia jesteś archeologiem – czy wiedza wyniesiona ze studiów jest dla*

*Ciebie inspiracją podczas pisania? Czy historie sprzed stuleci mogą się zestarzeć? Czy dawne kultury mogą nauczyć nas czegoś nowego o opowieściach?*

Zacznę od pytania numer jeden, później będzie już z górki... Studia może nie do końca są inspiracją, ale wielką pomocą przy kreowaniu światów. Wiadomo, klasyczne fantazy uwielbia zamki, smoki, miasteczka z karczmami – czyli tak naprawdę typowe późne średniowiecze, z odchyłem na renesansowe kreacje u dam. Przy projektowaniu w miarę logicznego tła do wydarzeń warto wiedzieć, czego bohaterowie mogą się spodziewać. Oczywiście, nie mówię tu o stuprocentowym wzorowaniu się na wiedzy historycznej – w końcu nie piszę tekstu naukowego. Jednak łatwiej jest skorzystać z informacji, jakie już posiadamy o dawnych czasach, niż próbować tworzyć od nowa całe krawiectwo, architekturę murowaną, rozmieszczenie budynków w mieście czy nawet gastronomię. Poza tym korzystając z wiedzy, jaką dosłownie wykopali archeolodzy przez wieki, o wiele łatwiej ustrzec się błędów logicznych. No, chyba że badacze je popełnili, ale to pewnie wyjdzie z czasem...

Jeśli chodzi o aktualność historii sprzed stuleci i to, czy mogą się zestarzeć, to odpowiedź będzie brzmieć: i tak, i nie. Wszystko zależy od tego, o czym opowiadają. Z pewnością znajdziemy lekturę z czasów pozytywizmu, która będzie dla nas zupełnie niezrozumiała, a jednocześnie bez najmniejszego problemu uwierzymy i będziemy w stanie wczuć się w sztukę Shakespeare'a czy mitologię grecką. Ponadto czasowość niektórych dzieł wynika z tego, o czym mówią. Jeśli o ludziach, ich przywarach i czynach, to – jeśli tylko zostały spisane odpowiednio dobrym językiem – przetrwają próbę czasu. Wyobraźmy sobie

mrożącą krew w żyłach historię: dwóch gostków założyło się o to, który z nich jest lepszy w swoim fachu, a na koniec ten, który przegrał, dopadł wygranego, powiesił go i zdarł z niego żywcem skórę. Jak kronika policyjna, a to „tylko” Apollo i Marsjasz. Natomiast dwoje zakochanych, niezrozumianych przez świat nastolatków zawsze będzie chciało uciec i być razem, przysięgając sobie miłość aż po grób, a może i dalej. Ewentualnie do najbliższych wakacji, chyba że znajdą miłego pana, który podrzuci im truciznę. Will S. w pełnej krasie, a sprzedaje się jak nigdy. Historie o tym, jak bardzo niedoskonali jesteśmy, a jednak z całych sił walczymy o swoje miejsce na ziemi, nie starzeją się, bo ludzie tak naprawdę w ogóle się nie zmienili. Są tylko trochę wyżsi i mają mniej wydane łuki brwiowe.

A czy możemy wyciągnąć jeszcze coś nowego ze sztuki tworzenia opowieści u minionych kultur? Nie jestem pewna, czy u dawnych, ale nieskończenie wiele można nauczyć się o opowieściach u innych grup etniczno-kulturowych. Islandia i jej elfy to jedno, modni ostatnio nordyccy bogowie i ich historie to drugie, są też potworne baśnie europejskie, które zebrali m.in. Giambattista Basile i później Grimmowie, ale chyba nikt nie patrzy na świat pod takim kątem, jak ludność dalekowschodnia. Każdemu, kto chce wyjść poza konwencjonalny i utarty sposób myślenia, polecam przegląd japońskich demonów albo mniej znanych opowieści grozy. W pewnym momencie człowiek łapie się za głowę i myśli: „O rany, to tak też można?!”. Serio, cały czas myślę nad tym, jak wcisnąć w swoje opowiadania kobietę jadącą na płonącym kole, ducha liżącego sufit czy nogę konia, która wisi na drzewie i kopie przechodniów. Nawet drugoplanowa rola ducha tarki do rzodkiewek zadowoli mnie na początek...

# W nowej skórze SF, posthumanizm i płęć kulturowa

Część pierwsza: poza płcią

Karolina Łukasik

W ubiegłym roku miałam okazję wysłuchać panelu dyskusyjnego o płci w posthumanizmie. Posthumanizm otwiera mnóstwo możliwości interpretacji tego, jak technologie przyszłości ukształtują nasze rozumienie tożsamości płciowej – i to ich omówienia spodziewałam się na wspomnianym panelu. Bardzo się zawiodłam. Niemal pięćdziesiąt lat po publikacji *Lewej ręki ciemności* dyskutanci nie byli w stanie zaproponować niczego, co wychodziłoby poza dzisiejsze dychotomie i powszechne rozumienie tematu, choć zagadnienia, takie jak upload świadomości czy genetyczne i mechaniczne „usprawnianie” organizmu, zostawiają ogromne pole do dywagacji. Spróbujmy przyjrzeć się propozycjom kilku autorów na temat tego, jak mogłaby funkcjonować płęć i tożsamość płciowa w światach innych niż ten, który na co dzień oglądamy za oknem.

Moje wstępne narzekania nie znaczą, oczywiście, że całe science fiction ogranicza się do wojowników w skafandrach i kobiet do uratowania. Poza jego głównym nurtem, który wciąż jest dość zachowawczy, istnieją twórcy budujący fabuły wokół coraz śmielszych

eksperymentów myślowych. Rozważanie genderu w fantastyce nie pojawiło się wcale niedawno – teksty Joanny Russ, publikowane w latach 70. i 80., a w Polsce do dziś prawie nieznanne, w angloamerykańskim SF są kanonem. Mimo to, jak pisze Alex Dally MacFarlane w serii esejów poświęconych postbinarności płci kulturowej w SF, większość autorów przyjmuje założenie, że gender przejawia się tylko na dwa sposoby. Być może taka dychotomia jest prawdziwa w niektórych kulturach i społeczeństwach – przede wszystkim w tych, które zwykliśmy określać jako „zachodnie”, choć i w ich obrębie rozumienie płci kulturowej ulegało znacznym przemianom – ale nie musi taka być w świecie, gdzie można dowolnie zmieniać swoje ciało i umysł. Więcej – gdzie można ciała nie mieć. Czy potrafimy wyjść poza gender, myśleć o sobie i innych z pominięciem kategorii płci?

Gender to, w największym skrócie, sposób, w jaki komunikujemy w społeczeństwie swoją tożsamość płciową: poprzez dobór słów i gestów, zachowania, manieryzmy, akcesoria (ubrania, biżuterię, makijaż) lub ich brak. Jest tak samo zmienny i ulegający modom,

jak pozostałe aspekty kultury, trudno więc, by możliwość transferu tożsamości i zmiany ciała nie wpłynęła i na niego. Dopóki jednym z pierwszych pytań, jakie zadajemy rodzicom nowo narodzonego dziecka, jest: „chłopiec czy dziewczynka?“, trudno to sobie wyobrazić. Popatrzmy zatem na inne światy.

W powieści *Lock In* Johna Scalziego fabułę osnuto wokół śledztwa toczącego się w świecie dotkniętym epidemią nowej odmiany wirusa grypy. Wirus wywołuje u chorych zapalenie opon mózgowych, a co za tym idzie – zespół zamknięcia (*lock-in syndrome*) polegający na tym, że mimo zachowanej świadomości pacjent jest całkowicie sparaliżowany. Ofiary zespołu Haden, jak nazwano nową jednostkę chorobową, są na tyle liczne, że z myślą o nich stworzono humanoidalne sztuczne ciała, umożliwiające im życie w przestrzeni fizycznej – i społecznej. Te roboty, choć powszechne, często spotykają się jednak z ostracyzmem, jeśli nie wręcz otwartą agresją; ich konstrukcja obwarowana jest licznymi przepisami, uniemożliwiającymi stworzenie robota zbyt podobnego do ludzkiej fizjonomii. Do użytkowników sztucznych ciał należy Chris Shane, od wczesnego dzieciństwa ofiara zespołu Haden. Chris godzi życie w rodzinie znanego polityka – i bycie poniekąd żywą reklamą robotów – z pracą dla FBI. Scalzi daje czytelnikowi wartką akcję, intrygującą zagadkę i zawiłe tło społeczne, skłaniające do myślenia o postrzeganiu zdrowia i cielesności. Ale naprawdę ciekawie robi się przy słuchaniu audiobooka. Nagranie powstało bowiem w dwóch wersjach: w jednej narratorem jest Wil Wheaton, w drugiej – Amber Benson, znana z roli Tary w serialu *Buffy: Postrach wampirów*. Płeć lektorów to jedyna różnica między audiobookami, bo treść książek pozostaje bez zmian.

John Scalzi nosił się z tym pomysłem od początku pracy nad powieścią. Wszak Chris

nie zdążył bądź zdążyła wykształcić sobie koncepcji własnej płci kulturowej – ma niesprawne ciało mężczyzny i nosi męskie imię, ale roboty, którymi się posługuje, są wyraźnie bezpłciowe. Dla postaci ów brak nie wiąże się jednak z żadnym dyskomfortem. Chris definiuje siebie poprzez inne cechy: funkcje, pochodzenie, chorobę, cele. Dostrzega gender i jego zewnętrzne oznaki u innych osób, ale nie używa tego aspektu do określania własnej tożsamości i nie dba o niego.

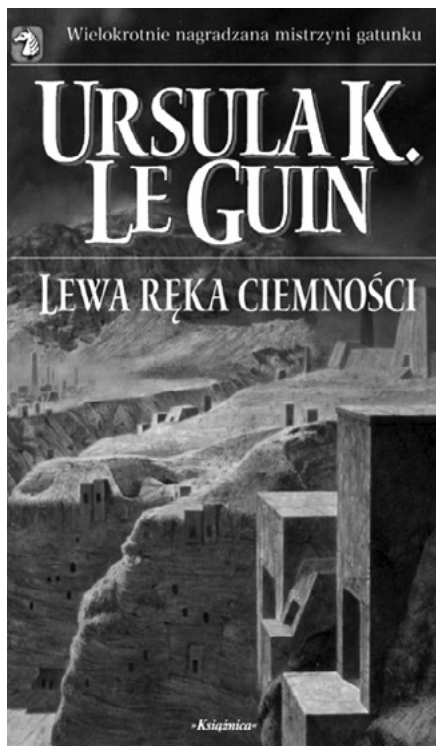
W anglojęzycznym oryginale książki, napisanej w czasie teraźniejszym, zabieg zastosowany przez Scalziego – brak oznak genderu, gdy Chris mówi o sobie – jest na tyle subtelny, że mało uważny czytelnik może go nie spoznać. Tym bardziej, że we własnej narracji Chris przedstawia siebie jako kompletną osobę – nie potrzebuje genderu. Scalzi przyjął, że płeć kulturowa wynika bezpośrednio z subiektywnego doświadczenia cielesności, a tego Chris nie ma. Rodzi to wiele pytań na temat społeczeństwa osób z zespołem Haden, ale można też zapytać: czy aby gender kształtuje się tylko poprzez ciało? Czy Chris nie przeżywa, mimo wszystko, socjalizacji na męczyznę? Tak postrzegają go/ją inni – ze względu na imię, fizyczność i funkcję. Chris potrafi spojrzeć na siebie w oderwaniu od tego kontekstu, choć wynika to z choroby, na którą cierpi. Nie zastanawia się nad tym, czy jego/jej cechy są bardziej męskie czy kobiece, ani czy w pewnych sytuacjach jest mu/jej łatwiej, czy trudniej ze względu na przypisywany gender. Nie ocenia siebie, choć robią to inni.

Świat, w którym żyje Chris, jest w zasadzie wciąż bliski naszemu. Czas sięgnąć dalej, po książkę, która – choć nawet w momencie jej wydania nie była najbardziej radykalną spekulacją na temat genderu – zmieniła oblicze SF.

*Lewa ręka ciemności* Ursuli K. Le Guin ukazała się po raz pierwszy w 1969 roku.

Genly Ai, wysłannik Ekumeny, przybywa na planetę Gethen, zamieszkałą przez ambiseksualne istoty. Getheńscy przybierają płęć tylko w celach reprodukcyjnych, w momencie cyklu nazywanym kemmerem – i traktują ją jako cechę okresową. Pojawienie się terrańskiego dyplomaty w jednym z getheńskich państw odbija się szerokim echem, ale nie mniej ważny jest osobisty wątek Genly'ego, który – będąc mężczyzną przywykłym do życia w społeczeństwie, gdzie płęć (i gender) są dla wielu istotne – próbuje przywyknąć do ambiseksualności Getheńczyków i określić swoje uczucia względem nich.

W tym otoczeniu Genly odkrywa, że ma głęboko zakodowane wzory zachowań wobec kobiet i mężczyzn – a świadomość, że żadne z nich nie stosują się do Getheńczyków, jest dla niego problemem. Brak mu



prostych wytycznych określających ludzi poprzez role, jakie ci pełnią w społeczeństwie. Wobec bliskich związków i silnych emocji ten problem tylko narasta. Odczytywanie intencji rozmówców i towarzyszy staje się wręcz pułapką: to, co na rodzimej planecie Genly'ego byłoby flirtem lub przyjacielską zażyłością, dla Getheńczyków może mieć zupełnie inne znaczenie. Dla Genly'ego płęć kulturowa, proste przełożenie płci fizycznej, jest na tyle podstawowym pojęciem, że nie potrafi on nawigować w społeczeństwie pozabawionym genderu. W trakcie swojego pobytu na Gethen Genly zmienia się – można powiedzieć, że jego psychika staje się bardziej androgeniczna – lecz nigdy nie pokonuje tej kulturowej bariery całkowicie.

Getheńczycy, rzecz jasna, nie mają takiego problemu z odczytywaniem własnych intencji (choć traktują siebie nawzajem bardzo ostrożnie). Ich kultura powstała wokół ambiseksualności. Nigdy nie było potrzeby, by istniały w niej sztywne wzorce zachowań zależne od roli, jaką dany osobnik przyjmuje, gdy powołuje na świat dziecko. Wręcz przeciwnie, to Genly, eksponujący swój gender w życiu codziennym, nie tylko w celach prokreacyjnych, jest na Gethen czymś nie-normalnym, jeśli nie wręcz wulgarnym. Jednocześnie Getheńczycy nie stanowią prostej sumy kobiety i mężczyzny – są czymś więcej, są inną jakością, której nie dotyczą genderowe ograniczenia.

Dla Le Guin gender w ogóle nie był punktem wyjścia fabuły *Lewej ręki ciemności*. Jak sama przyznaje, chciała przede wszystkim przedstawić kulturę wolną od wojen. Inspirując się taoizmem, XX-wieczną myślą anarchistyczną i pracami C.G. Junga, Le Guin powiązała wojnę i agresję z tradycyjnie rozumianą męskością i faktem, że w większości ziemskich kultur to mężczyźni dominowali życie społeczne. Autorka skupiła się zatem

na *yin*, ale szybko odkryła, że to rozwiązanie nie wystarczy – i że wciąż operuje w obrębie dychotomii, której samo istnienie jest źródłem napięcia. Getheńcyzy zaś mieli symbolizować nie dualizm, a integrację, łączenie w sobie pozornych przeciwieństw. Stąd wynikała decyzja o skonstruowaniu kultury płci na nowo (sama autorka przyznała, że odkryła ambiseksualność Getheńcyzy dopiero w trakcie pisania) – lub dekonstrukcji norm, do których przyzwyczajeni byli czytelnicy. Według słów samej Le Guin, ciekawiło ją, co „zostanie w społeczeństwie”, jeśli usunąć z niego gender.

Tekst *Lewej ręki ciemności* wzbudza jednak uzasadnione wątpliwości co do tego, czy zabieg się udał. Mimo androgynicznej natury Getheńcyzy, Genly opisuje ich, używając męskich zaimków. Być może wynika to z jego własnego przyzwyczajenia i utrwalonego stereotypu (istniejącego, niewykluczone, również w głowie autorki – która nie skorzystała z neutralnego płciowo „they”, używanego w angielskim także w liczbie pojedynczej), że w społeczeństwie władza leży raczej w rękach mężczyzn, on zaś jako dyplomata utrzymuje kontakty głównie z innymi politykami – niemniej rzutuje to na odbiór powieści i stawia pod znakiem zapytania relacje Genly’ego z tubylcami. Ponadto Getheńcyzy wykształcili heteronormatywne wzorce kulturowe dotyczące bliskich związków, choć można przypuszczać, że w społeczeństwie o płynnej płci ta dynamika wyglądałaby inaczej. Jednak w roku wydania nawet w tej formie powieść szokowała i była jednym z najważniejszych eksperymentów myślowych, jakie opublikowano. Sama Le Guin w eseju *Is gender necessary?* z 1976 roku broniła się przed zarzucaniem jej subtelny kodowaniem genderu, pisząc, że płeć kulturowa jest drugorzędny motywem powieści,

mniej ważnym niż lojalność. W latach 80. uzupełniła swój esej o przypisy i przyznała jednak, że teraz napisałaby tę książkę inaczej, odważniej eksplorując społeczeństwo Getheńcyzy, porzucając „nawnie pragmatyczną” ideę heteroseksualności w kemmerze, pokazując mieszkańców planety w bardziej różnorodnych rolach społecznych i decydując się na neutralne zaimki.

Jeszcze inną odpowiedzią Le Guin na krytykę są dwa opowiadania osadzone na Gethen: *Królowa Zimy* (tekst chronologicznie starszy od *Lewej ręki ciemności*, lecz zredagowany na nowo pod wpływem analiz powieści) i *Dojrzwowanie w Karhidzie*. W angielskim oryginale w obu tekstach autorka używa żeńskich zaimków w odniesieniu do wszystkich Getheńcyzy niebędących w kemmerze. Decyduje się jednak na zachowanie tytułów i funkcji w męskiej formie, wnioskując, że Getheńcyzom byłoby potrzebne tylko jedno, ogólne określenie – co jest o tyle łatwe, że w angielskim rzeczowniki nie mają rodzaju gramatycznego. Dlatego też oryginalny tytuł *Królowej Zimy* to *Winter’s King*. Z kolei tłumacz *Dojrzwowania w Karhidzie*, podjął decyzję o użyciu męskich zaimków do momentu, gdy bohater wchodzi w kemmer jako kobieta, co na pewno zmienia odbiór tekstu względem oryginału. Niezależnie jednak od różnic w tłumaczeniu, oba opowiadania przybliżają życie na Gethen, porzucając perspektywę – w słowach Le Guin – „biednego, sztywnego gościa z Ziemi, który próbuje zrozumieć, co się dzieje, i jest tym zaniepokojony”<sup>1</sup>. Autorka chciała pokazać kulturę Gethen nie jako coś obcego, a jako normę, naturalny stan, którego Getheńcyzy nie kwestionują. Opowiadania pozwoliły jej odważniej pisać

1 Nick Gevers, *Driven By A Different Chauffeur: An Interview With Ursula K. Le Guin*, <https://www.sfsite.com/03a/ul123.htm> (dostęp: 9.03.2017). Tłumaczenie cytatu własne.

o getheńskiej seksualności i zdystansować się od heteronormatywności, jaką implikowała powieść.

Le Guin nie napisała nowej wersji *Lewej ręki ciemności*, ale jej pomysł ma wielu spadkobierców; wśród nich w ostatnich la-



tach najgłośniej było o Ann Leckie, autorce posthumanistycznej trylogii o imperium Radch. Pierwsze sceny otwierającej cykl *Zabójczej sprawiedliwości* przenoszą czytelnika w zaśnieszony krajobraz, nieprzypadkowo przywodzący na myśl podróż Gely'ego po Gethen. Przez to wrogie otoczenie przedzierają się Breq i Seivarden. Narratorką jest sama Breq, według słów której... otaczają ją wyłącznie kobiety. Zaimek „on” nie pada ani razu.

Dla Breq domyślnym zaimkiem jest „ona”. „Ono” z kolei używa się tylko wobec

statków – rzeczy obdarzonych świadomością, ale przedmiotów, nie osób. Rodzaj męski wśród Radch nie istnieje, choć Breq, gdy później opisuje osoby z innych kultur, stara się poprawnie przypisać im gender (często z oplakany skutkiem). Na miejscu „ona” można zatem postawić dowolny inny zaimek – ale wybór Leckie nie jest przypadkowy. „Ona”, szczególnie w kontekście militarnej space opery, budzi u czytelnika lekki niepokój. Nakazuje raz jeszcze rozważyć przyzwyczajenie, że bohaterami takich tekstów są zazwyczaj mężczyźni – w trylogii Leckie męski zaimek nie wzbudziłby nawet uniesienia brwi. Tymczasem użycie żeńskiej formy skłania do mimowolnego zgadywania, jak identyfikuje się dana postać. Czy Tisarwat o fiołkowych oczach ma więcej cech kobiecych czy męskich? A władczyni Radch, Anaander Mianaai? I czy to ważne? Nie dla samych Radch – w ich kulturze bliskie związki cechuje raczej lekko feudalny charakter patronatów, kontekst seksualny zaś nie ma znaczenia, nie musi wręcz istnieć. Co więcej, tę wolność od genderu uważają oni za oznakę cywilizacji, a podbite nacje są jawnie ośmieszane za przywiązanie do tak błahych aspektów tożsamości.

Radch mogą szczyć się tym, że gender jest dla nich przereczysty, ale uważny czytelnik dostrzeże, że to nieprawda. W rękach Anaander Mianaai płeć kulturowa stała się subtelnym narzędziem kontroli – przede wszystkim skierowanym przeciw nowo podbitym podwładnym imperium. Gender jest też dla Radch przywilejem, o czym świadczą nierówne traktowanie innych obdarzonych świadomością bytów. „Ona” cieszy się w społeczeństwie szczególnym statusem, w odróżnieniu od „ono”. Dla anglojęzycznego odbiorcy ten kontrast staje się tym wyraźniejszy, że w angielskim statki zwyczajowo

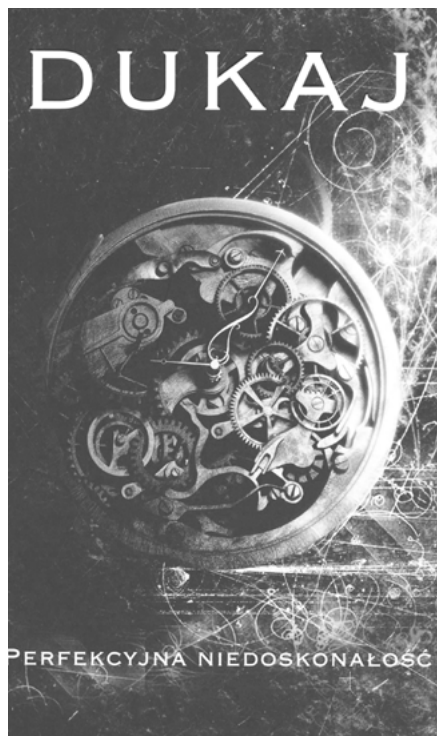
opisuje się za pomocą żeńskich zaimków – tu autorka odwróciła ten wzorec. Nie wystarczy mieć świadomości i osobowości, ani nawet ciała, by dostąpić przywileju bycia „oną”. Gender to przywilej dla cywilizowanych, czyli Radch.

Tak nakreślona linia różnic w płci kulturowej przebiega w zupełnie innym miejscu niż w znanym nam świecie. Z naszego punktu widzenia Leckie osiągnęła postawiony przez Le Guin cel – opisała społeczeństwo, w którym gender nie gra roli, nie kształtuje relacji między postaciami, nie stanowi cechy charakterystycznej żadnej osoby (po wzięciu poprawki na definicję osoby w Radchaai). I nie jest potrzebny – bohaterki świetnie radzą sobie i bez tego. Społeczeństwo Radch ukształtowało się wokół rytuałów i konwensansu – podlega sztywnym normom zachowań. Postaci identyfikują się poprzez tytuły, stanowiska, relacje między rodzinami. Przywiązują niewielką wagę do wyglądu, chyba że jakiś jego element pozwala wnioskować o charakterze osoby; spośród cech zewnętrznych w opisach najczęściej przewija się nietypowy kolor oczu Tisarwat – przywoływany jako koronny dowód na jej młodzieńczą lekkomyślność.

Kulturę Radch poznajemy w jej technologicznym rozkwicie – trudno zatem ocenić, czy gender kiedykolwiek pełnił w niej istotną rolę, czy przestał być ważny wskutek przemian technologicznych. Nie jest to zresztą ważne dla fabuły. Powstały natomiast inne książki, których autorzy opisują wpływ rozwoju na postrzeganie własnej tożsamości – także w kontekście płci kulturowej.

Na rodzimym podwórku niewątpliwie najgłośniejszą książką podejmującą pośrednio tę tematykę jest *Perfekcyjna niedoskonałość* Jacka Dukaja. Rozwój ludzkości stanowi oś fabuły. Ponad stahsami (*Standard Homo Sapiens*) na krzywej rozwoju znajdują się phoebe, czyli

*Post-Human Beings*, istniejące wyłącznie na pozbawionym fizycznego wymiaru Plateau i posiadające umiejętność rozdzielania swoich świadomych procesów myślowych i prowadzenia ich równolegle. Dla nich Dukaj wymyślił nowy rodzaj gramatyczny („onu”), by w jasny sposób zasygnalizować, że oto mamy



do czynienia z osobami, które nie są ani kobietami, ani mężczyznami. Phoebe transcending płę kulturową (wśród stahsów pełniącą wciąż istotną rolę i kształtującą interakcje między nimi według tradycyjnych wzorców). Mogą zachować imiona, które dla stahsów mają genderowy kontekst, ale te konotacje ich nie dotyczą. Postać, jaką przybierają, zależy wyłącznie od nich samych – jak w przypadku phoebe Słowińskiego, który w rozmowie z Zamoykim prezentuje się w kobiecej formie. Ponadto, podobnie jak w przypadku Radch,

nowy rodzaj gramatyczny jest przywilejem i świadectwem przede wszystkim statusu, pozycji władzy i nadludzkiej możliwości – dopiero w dalszej kolejności, jeśli w ogóle, oznaką posiadania innej płci kulturowej.

Dukaj nie zagłębia się w tę tematykę, ale zaprezentowana przez niego wizja phoebe pozwala wysnuć ciekawe wnioski na temat genezy płci kulturowej – transcendencja ponad tę fasetkę tożsamości wymaga porzucenia fizycznego ciała i podporządkowania sobie własnego umysłu. Trudno porównać sytuację phoebe ze stahsami, którzy wykraczają poza binarność płci – bo takowe postaci nie pojawiają się w powieści. Na podstawie posiadanych informacji czytelnik może przypuszczać, że większość społeczeństwa stahsów identyfikuje się zgodnie z płcią biologiczną i dopiero wyzbycie się jej umożliwia spojrzenie na siebie w innym kontekście, wyrażanym przez użycie nowych zaimków. Nakreślenie przez autora punktu odniesienia w postaci androgenicznego stahsa rzuciłoby nowe światło na relacje między grupami istnień.

Dynamika między phoebe i stahsami bardzo przypomina tę między Radch a „nieucywilizowanymi”, podbitymi kulturami: jest nierówną relacją siły. Nie bez powodu samo określenie phoebe powstało w opozycji do „standardowych” ludzi. Jeśli przyjąć, że płeć kulturowa jest nierozzerwalnie połączona z zagadnieniem władzy, „ona” u Radch i „onu” pełnią tę samą funkcję: oznaczania osób posiadających wpływ większy niż ludzie („onu” odnosi się także do istot wyżej rozwiniętych od phoebe, nie różnicuje więc tak silnie, jak zaimki u Leckie). Różnica polega na tym, że w trylogii o imperium Radch postaci mają fizyczne ciała i płeć biologiczną, na podstawie której „nieucywilizowani” przypisałiby mieszkańcom imperium płeć kulturową. To, co dla samych Radch jest

przezroczyste, u czytelnika nawykłego do dostrzegania zewnętrznych oznak płci kulturowej staje się przyczynkiem do nieustannego zgadywania. Dukaj nie pozostawia wątpliwości: phoebe istnieją poza kategoriami płci kulturowej. Nie ma sensu zastanawianie się, kim są lub byli, bo dominującym elementem ich tożsamości stały się ich niesamowite umysły.

Przekonanie, że technologia – szczególnie w trans – i posthumanistycznym ujęciu – zmieni nasze postrzeganie społeczeństwa, więc i płci kulturowej, wydaje się dość intuicyjne. Najodważniej rozwijają je zwolennicy odłamu posthumanizmu, jakim jest postgenderizm. Wszak każda nowa technologia budzi reakcję użytkowników ją ludzi. W przypadku sztucznych ciał, uploadowania świadomości i wdrukowywania wspomnień można wyobrazić sobie cały wachlarz hipotetycznych reakcji. Zapewne należliby się ci, dla których tożsamość płciowa byłaby ważną kategorią, a użycie ciała płci przeciwnej zakrawałoby na abominację. Byłyby też osoby traktujące to zagadnienie z obojętnością lub eksplorujące wyrażanie genderu w różnych ciałach – i ludzie prezentujący postawy, które trudno sobie nawet wyobrazić. Pewne jest tylko, że nastąpiłaby jakaś reakcja. Jaka? I które elementy tożsamości płciowej są kluczowe dla tego, jak się określamy? To pytania tak obszerne, że ich omówienie zasługuje na osobny felieton – w następnym numerze „Smoko”.

**KAROLINA ŁUKASIK** POCHODZI Z KRAKOWA,  
CHOĆ NATURA NOMADY WZIEŁA GÓRĘ  
NAD SENTYMENTEM WOBEC RODZINNEGO MIASTA.  
PRZEPLATA ZAINTERESOWANIA NAUKOWE Z LITERACKIMI.  
LUBI KAWĘ, SOWY, UCZYĆ SIĘ JEZYKÓW OBCYCH  
I ROBIĆ NA DRUTACH.  
PISZE W DWÓCH JEZYKACH; JEJ TEKSTY UKAZAŁY SIĘ  
W „STRANGE HORIZONS”, „ESENSJI”,  
„STARLINE” I „SMOKOPOLITAN”.  
TWEETUJE JAKO @KARIGRAFIA.

# Pyrkon 2017

Elin Kamińska, Michał Szymański, Martyna Walerowicz

Dla zwykłego konwentu to, czy w danym roku przyjedzie na niego pięćset osób mniej czy więcej, oznacza przyrost lub spadek od 25 do 100% uczestników. Na Pyrkonie taka zmiana jest całkowicie niezauważalna. Przy liczbach, którymi operuje poznańska impreza, niewiele już może się zmienić.

Rozmiar Pyrkonu sprawia również, że niewiele może o nim powiedzieć pojedynczy uczestnik, ponieważ imprezy tego rodzaju nie da się „zwidzieć” w jedną czy nawet trzy osoby. Siłą rzeczy relacja z Pyrkonu musi więc być relacją do pewnego stopnia ograniczoną.

Spośród czternastu bloków programowych i stref tematycznych naszej redakcji udało się odwiedzić sześć: blok literacki, gier bez prądu, naukowy, gier elektronicznych, komiksowy oraz strefę fantastycznych inicjatyw. Byliśmy także w hali wystawców oraz w „strefie gastronomicznej”.

Z każdego z tych bloków przygotowaliśmy opis jednego, losowego punktu programu. Zaciekawieni?

## **BLOK LITERACKI: PRELEKCJA PETERA WATTSA (MARTYNA WALEROWICZ)**

Uczestniczyłam w większości spotkań z Peterem Wattsem, bo cenię wykłady,

z których mogę wynieść konkretną wiedzę naukową. Przypominają mi wspaniałe czasy studiów. Ach, młodość. Peter, który z wykształcenia jest biologiem morskim, poprowadził prelekcję „Worst-case Neuroscenarios from the Peanut Gallery”, dotyczącą głównie jego ulubionego tematu – świadomości.

Jednak autor zaczął swój wykład od przykładu na to, że czasami najdziwniejszy pomysł na opowieść może okazać się faktem. Wspominał o tym, jak kilka lat temu jego była dziewczyna, patrząc na burzowe chmury, stwierdziła, że wyglądają niesamowicie – zupełnie jakby żyły. To zdanie zainspirowało Petera do napisania opowiadania *Nimbus* o myślących chmurach. Wydawca Watts'a stwierdził, że tekst jest całkowicie bezsensowny, ale zamieścił je w zbiorze.

Kilka lat później w magazynie „Science” ukazał się artykuł o mikroorganizmach, które żyjąc w chmurach, wpływają na klimat... Dlatego namawiamy autorów: jeśli uważacie, że wasz pomysł na historię jest z czapy, to i tak ją napiszcie. Później będą o was mówić, że jesteście wizjonerami.

Wracając do świadomości, czyli tematu, który Watts pieścił w swoim *Ślepowidzeniu*. Autor podkreślił, że jest to ciągle niewyeksplutowane zagadnienie, pobudzające wyobraźnię. Do tej pory nie wiemy, co powoduje, że mięso (czyli my) zdaje sobie sprawę



ze swojego istnienia. W dodatku nie wiemy, po co nam świadomość – są badania, które udowadniają, że to ludzie nieświadomi podejmują najlepsze decyzje. Jażn wydaje się być obciążeniem dla mocy przerobowej mózgu. Watts przytoczył też przykłady gatunków zwierząt, które są świadome – jednym z nich jest papuga żako.

Jednak największe wrażenie zrobiła na mnie informacja o bliźniaczkach syjamskich, które są połączone mózgami. Krista i Tatiana Hogan urodziły się w 2006 r. w Kanadzie. Na ich temat można przeczytać w internecie sporo artykułów naukowych. Wspomnę tylko, że gdy Krista ogląda telewizję, a Tatiana ma zamknięte oczy, to i tak może opowiedzieć, co widzi jej siostra. Z wykładu Watts'a dużo się dowiedziałam, a facet ma taką charakterystykę, że mogłabym go słuchać godzinami.

## **BLOK NAUKOWY: O KOBIECACH W ASTRONOMII (MARTYNA WALEROWICZ)**

Postacie, które przedstawiła Karolina „Cassiopeia” Bąkowska z Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika, to kobiety, które swoimi badaniami popchnęły wiedzę astronomiczną o lata świetlne. Annie Jump Cannon, asystentka Edwarda Charlesa Pickeringa, stworzyła Harvardzką klasyfikację widm. W 1925 roku została doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Oksfordzkiego.

Była również oficerem Amerykańskiego Towarzystwa Astronomicznego – nigdy wcześniej żadna kobieta nie otrzymała tych tytułów. Henrietta Swan Leavitt również pracowała z Pickeringiem. Od dzieciństwa była głucha, tak samo zresztą jak Jump Cannon. Dzięki tej pani wiemy, że wszechświat nie ogranicza się do Drogi Mlecznej. Jocelyn Bell Burnell przyczyniła się do odkrycia pulsarów, a dokonała tego, budując (razem z innymi doktorantami) radioteleskop. Dzięki tytanicznej pracy, jaką włożyła w badania, ona i jej promotor, Antony Hewish, otrzymali nagrodę Nobla. Karolina Bąkowska wspominała również o roli, jaką w opracowaniu teorii względności miała Mileva Marić, żona Alberta Einsteina. Ale najbardziej znaną panią astronom jest z pewnością Vera Rubin, która zaznajomiła świat nauki z ciemną materią dzięki swoim obserwacjom galaktyki Andromedy. Prelegentka, mówiąc o tych kobietach, w przystępny sposób omawiała też zjawiska, które odkryły. Fajnie było odświeżyć sobie wiedzę na ich temat.

## **STREFA FANTASTYCZNYCH INICJATYW: FORUM FANDOMU (ELIN KAMIŃSKA)**

Na Pyrkonie 2017 – dość niespodziewanie – odbywało się w tym roku Forum Fandomu. Podobnie niespodziewanie zebrało się

na nim kworum. Niestety, miejsce, w którym umieszczono „punkt” (bo nie sale) prelekcyjny dla SFI był wyjątkowo nieatrakcyjny. Właściwie była to niewielka scena i kilka krzeseł. Przyjęto do ZSFP Opolski Klub Fantastyki „Fenix”. Przedyskutowano kwestie związane z KONGresem, zaproponowano stworzenie ogólnej polconowej „checklisty” i wspólnej strony internetowej oraz identyfikacji wizualnej dla kolejnych Polconów.

Z powodu złej akustyki żadnych istotnych decyzji nie podjęto.

Pozostaje mieć nadzieję, że w przyszłości organizatorzy Pyrkonu znajdą dla Forum nieco bardziej dostosowane do tego celu miejsce.

## **BLOK GIER BEZ PRĄDU: SKĄD BRAĆ POMYSŁY NA SESJE RPG (MICHAŁ SZYMAŃSKI)**

Mam od jakiegoś czasu taki mały kryzys: nie jarają mnie prelekcje na konwentach. Ciężko mi znaleźć taką, na którą chciałoby mi się pójść, bo głosy w mojej głowie z góry zakładają, że będzie nieciekawie albo że już



to wiem. Na Pyrkonie jednak spróbowałem. W bloku RPG wybrałem wykład o tym, skąd brać pomysły na sesje, i faktycznie – nic nowego nie usłyszałem. Poza tym, prowadzącemu po pół godzinie skończyły się pomysły na to, skąd brać pomysły, i zarządził dyskusję. Więc sobie poszedłem, lekko zażenowany.

## **BLOK KOMIKSOWY: [PANEL] SPOTKANIE Z POLSKIMI AUTORKAMI KOMIKSÓW (ELIN KAMIŃSKA)**

Sam pomyśl na panel z udziałem komik-siarzy „nowej fali”, choć nie jest nowy, to jednak powoli staje się obowiązkowym punktem programu każdego konwentu. Na Pyrkonie dziwiło jednak to, że panel tego typu był tylko dwuosobowy. Na konwencie poza Kobieta Ślimak oraz Katarzyną Witescheim było co najmniej kilkoro innych uznanych autorek i autorów „zabawnych komiksów”, a trochę więcej można było jeszcze na niego zaprosić. Ostatecznie panel wydawał się dość ubogi osobowo. Cieszył się jednak dużą popularnością i należał raczej do ciekawych.

## **STREFA GIER ELEKTRONICZNYCH (MICHAŁ SZYMAŃSKI)**

Chyba najgłośniejszy i najbardziej rzucający się w oczy fragment Pyrkonu. I jak zwykle doskonale ulokowany – obok budynku, w którym pomieszczono gry „z prądem” i ich sympatyków, przechodziło się w zasadzie podczas każdej dłuższej wędrowki przez teren targów. No więc zająłem za którymś razem, ale szalu nie było. Może nie jestem targetem tego bloku?

Pierwszy zawód: obszedłem strefę ze wszystkich stron, lecz nigdzie nie znalazłem

interesujących mnie gier muzycznych. Może źle się rozglądałem, a może w sobotę już ich nie było – w każdym razie nie znalazłem. Trochę szkoda, ten gatunek zawsze był silnie reprezentowany na konwentach przewidujących elektroniczną rozrywkę, a tu nic.

Drugi zawód: żadna z prezentujących się niezależnych inicjatyw jakoś specjalnie mnie nie porwała. Pochodziłem, poprzyglądałem się, zagadałem paru stoiskowych i poszedłem na obiad. Znowu trochę szkoda, bo Pyrkon to dobre miejsce, żeby zareklamować zaangażowanym fanom fajny projekt, choćby pod kątem zbiórki czy dotarcia do potencjalnej bazy odbiorców. Więc albo nic fajnego się na ten rok nie szykuje, albo twórcy nie wiedzą, że warto być na wiosnę w Poznaniu.

Rzecz jasna, w strefie królowały niepodzielnie multiplayery, wśród których prym wiodły (oczywiście) produkty Blizzarda. Turnieje toczyły się praktycznie przez cały konwent i zapewne skutecznie ściągnęły na miejsce rzeszę fanów gier, dla których fantastyka jest co najwyżej pobocznym zainteresowaniem – ale hej, jakoś przecież trzeba to nasze hobby popularyzować! Więc może ostatecznie strefa nie wypadła tak źle, tylko nie jest to miejsce dla każdego?

## WRAŻENIA OGÓLNE

A jak było poza tym na Pyrkonie 2017? Jak zwykle na Pyrkonie – tłoczno, gwarno, wesoło, na ogół dość profesjonalnie jak na fandomowe standardy.

Karmienie wypadło lepiej niż w zeszłym roku, dużo większy wybór gastronomii, plus ogromna hala do grania w planszówki wieczorami zamieniała się w ogromną halę do jedzenia, picia i socjalizacji. Zdecydowanie miły akcent tegorocznego Ziemniaku (tak, frytki też były i były to dobre frytki).

Logistyka nie sprawdziła się najgorzej,



choć Strefa Fantastycznych Inicjatyw mogła nie być na tak dalekim końcu konwentu – pewnie więcej ludzi by do niej zawitało, i lepiej by spełniła swoją funkcję. Z drugiej strony – darmowe stoisko nie bardzo uprawnia do narzekania.

Wystawcy – cóż, na Pyrkonie nigdy nie można narzekać na ten punkt. Znowu było dużo, różnorodnie i okazjynie. Było czym zapakować bagażnik na drogę powrotną.

Jeśli wierzyć gźdaczom, konwent przebiegał spokojnie i bez niespodzianek, obyło się również bez większych kryzysów i incydentów. Choć być zapewne mogły, bo pierwszego dnia udało mi się wejść na teren bez plakietki, w dodatku z wielkim kartonowym pudłem „Smokopolitanów”. A skąd państwo ochrona wiedzieli, co ja niby niosę w tym pudle, hm? Tajemnica lasu...

Odkładając drobne narzekania na bok, trzeba jednak powiedzieć, że Pyrkon się udał. Za rok pewnie pojedziemy znów. Można ten dziwny megakonwent lubić albo nie, ale coraz mocniej wyrasta on na miejsce, w którym aktywnemu członkowi fandumu wypada co jakiś czas się pojawić.

## 3xZ

Impresja z lektury *Zabawy w Boga*

## Katarzyna „Ophelia” Koćma

Zachwyt, złość, znudzenie. Oto trzy „Z”, które towarzyszyły mi podczas zgłębiania *Zabawy w Boga*, antologii opowiadań Śląskiego Klubu Fantastyki pod redakcją Anny Kańtoch.

Skąd taki dysonans?

Cóż, najpierw wyjaśnię, dlaczego **znudzenie**. A nawet bardziej obojętność niż znudzenie; połączona z rozczarowaniem, że z dwóch elementów – treści i formy – tylko jeden wystarczająco wyeksponowano. W *Chirurgu* Anny Hrycyszyn wrażenie robią kompozycja (fragmenty przesłuchania sądowego przeplatane z retrospekcjami bohatera, zupełnie jak w *Czyż nie dobija się koni?*) i temat (chirurg jako szarlatan), styl zero sprawia jednak, że nie umiałam wczuć się w opowieść. Natomiast w *Ordanie* Magdaleny Czarneckiej, historii o nietypowej substancji z motywem wędrownki w tle, zabrakło zwyczajnie klimatu „drogi”. *Serce Vann* Karoliny Fedyk oraz *Korona Północy* Anny Aksaldowicz to piękne, mitologiczne narracje o próbie ocalenia miasta (Fedyk) i powolnym umieraniu bogów (Aksaldowicz). Obie autorki mistrzowsko operują językiem, lecz ich opowieści zwyczajnie mnie nie poruszyły.

A teraz **złość**. Nie na autora ani jego tekst, a raczej okrutną rzeczywistość, którą opisuje. To interesujące historie ze świata, w którym przynigdy nie chciałabym żyć. W *Kocie z pudelka* Łukasza Marka Fiemy – złość na ludzi,

którzy sztucznie stworzenie traktują wyłącznie jako eksperyment (na szczęście protagonistka podchodzi do sprawy inaczej). W *Marzeniu* Rotha Małgorzaty Binkowskiej – złość na dziecko manipulujące dorosłymi i dorosłych manipulujących dzieckiem (ale poza tym próba przedstawienia sposobu myślenia Innego wypadła przednio!). No i *Lek* Marty Potockiej, jeden z tych tekstów, które – ze względów osobistych – wzbudziły we mnie najwięcej emocji. W skrócie: wynaleziono remedium na raka i chociaż wiadomo, że „lek” przyczyni się do upadku ludzkości, pod naciskiem opinii publicznej zaczyna się go stosować. Długość życia wzrasta o kilkadziesiąt lat, ale następuje kryzys: ekonomiczny i etyczny, generalnie na świecie dzieje się coraz gorzej. Okropnie dołujące...

Wreszcie pora na **zachwy**t. Nie jest tajemnicą, że wielbię to, co dziwne i nietypowe i/lub mocno intertekstualne, a każde z opowiadań, o których zaraz napiszę, właśnie takie jest. W *Wylizance* Agnieszka Zapart opowiada o przemocy – realnej i symbolicznej, radzeniu sobie z traumą i światotwórstwie. Gwara śląska i nietypowe ujęcie fenomenu RPG. Bo wyobraźcie sobie, że podczas gry naprawdę kreujecie własne uniwersum. I nie dość, że robicie to Wy, mając lat kilkanaście, Wasza babcia w czasach młodości również zabawiła się w podobny sposób... *Warunek*

początkowy Krystyny Chodorowskiej też przenosi nas w przyszłość, lecz tu pojawia się motyw odmiennej kultury – muzyki zespolonej z nowymi technologiami. Bardzo sympatyczna opowieść o festiwalu rockowym przyszłości! Intertekstualność literacka dominuje zaś w *Karym i żywiolach* Jesiona Kowala – transformacji *Burzy* Szekspira. Narracja jest dziwna, klimat jest dziwny, wszystko tu jest nietypowe, choć rzecz dotyczy się smętnego, leniwego życia mieszkańców komunalnej kamienicy. Gdy umrze jedna z lokatorek, miejscowy pisarz, bezbarwny pan Rospro, zacznie ujawniać swą prawdziwą naturę. Chyba odgadniecie jaką, prawda? *My Eter* Alicji Tempłowicz i *Pomarańcza*, miniaturka Benjamina Rosenbauma (w przekładzie Magdaleny Grajcar), to z kolei utwory, których jeszcze nie do końca rozumiem, ale ich nietypowość połączona z przepięknymi opisami mocno mnie oczarowała (w pierwszym przypadku chodzi o życie w niebycie, a przynajmniej na innym poziomie organizacji świadomości, w drugim – *Pomarańczę-Boga*). Jak to mówią: *sweet but psycho but sweet*. I wreszcie *Przyjmujący nowe*, również Rosenmauba (tłumaczka bez zmian) – przyznam, że wiele razy przeszedł mnie egzystencjalny dreszcz, gdy czytałam o Vru, który miał zaledwie pięć Ghennungów. Bo w świecie Vru to strasznie, strasznie mało. Świecie, gdzie boga można sobie wyrzeźbić, a życie wieczne nie jest kwestią wiary, lecz wyboru – specjalne istoty przypominające pasożyty przenoszą świadomość i wspomnienia, które dziedziczy się po przodkach. Oderwanie Ghennungów od ciała oznacza, że ich gospodarz po prostu umrze, a jego świadomość nie wstąpi do świadomości potomka.

Zbliżamy się do końca, ale jest jeszcze coś, co domaga się osobnego akapitu. Oprócz znużenia, złości i zachwyty istnieje też osobna kategoria... To kategoria „arcydzieło” i śmiało mogę przypisać ją opowiadaniu



*Mrok zabije wieloryba* Olgi Niziołek. Styl i nastrój jak z Murakamiego (a to dla mnie zaleta zalet!). Ponurość, depresyjny oniryzm, trochę groteski. Zdania jednocześnie poetyckie i dobitne. Historia obyczajowo-miłosna Magdy, dziewczyny, w której trzewiach załgał się wieloryb, i Kruka, chłopaka pracującego w fabryce barwiącej spodnie mrokiem. Zaintrygowani? Świetnie! Bo nie zdradzę Wam, jak to się skończyło.

Po wstępnie mogliście się spodziewać recenzji negatywnej. A *Zabawy z Bogiem* to jedna z najlepszych antologii, jakie miałam ostatnio okazję czytać. Rzecz jasna nie wszystkie narracje do mnie przemówiły, nie zawsze podobała mi się ich warstwa stylistyczna bądź sposób realizacji tematu, o żadnym nie mogę powiedzieć jednak: „Oto opowiadanie kiepskie literacko, zbędne, takie, które nie powinno się tu znaleźć”. Zgodnie z tytułem, każdy z autorów porusza tu kwestię zabawy w Boga i pokazuje, że bohaterom raczej nie wychodzi ona na dobre. Na szczęście my, bezpieczni zza kart książek, czytników i komputerów, raz lepiej, a raz gorzej, możemy trochę pobawić się wraz z nimi.

# Dobro złem czyn

Marcin Kłak

Ostatnimi laty można odnieść wrażenie, że typowe opowiadania cieszą się coraz mniejszą popularnością. Czasopism je publikujących mamy w kraju jak na lekarstwo, a to, co ukazuje się w książkach, często stanowi część większej całości. Nie ma oczywiście nic złego w tym, by opowiadania były wstępem do cyklu czy też jego uzupełnieniem, ale czasami brakuje możliwości przeczytania czegoś krótkiego, treściwego i poruszającego.

*Dobro złem czyn* to antologia, w której zebrano teksty z konkursu pod tym samym tytułem. Zaprezentowani twórcy nie mają na swoim koncie licznych publikacji (dla niektórych opowiadanie w antologii było pierwszym opublikowanym). Może to wywoływać pewne obawy o jakość prezentowanych utworów, jednak po lekturze mogę śmiało stwierdzić, że doświadczonym autorem zdarzają się gorsze teksty.

Jak wskazuje temat konkursu, twórcy poruszali kwestie związane z moralnością, dobrem, złem oraz wyborami, jakich dokonujemy w życiu. Podejście poszczególnych

pisarzy do problematyki było bardzo rozmaite. Różnice widać chociażby w wyborze gatunków – część tekstów idzie w kierunku SF, inne w stronę fantasy, jeszcze kolejne to po prostu opowieści niesamowite. Jedni pisarze traktowali problematykę bardzo dosłownie, inni pozwolili sobie odejść w kierunku tematów mniej moralnie jednoznacznych. Odmierna jest też dynamika tekstów i ich nastroj. Reasumując, dziesiątka wybranych utworów znacząco różni się między sobą.

Podczas lektury często myślałem o tym, że poszczególne utwory oceniłbym inaczej niż jurorzy. Przeglądając opinie dostępne w Internecie, widzę, że inni czytelnicy wyrażają podobne odczucia, ale postulowane przez nich uszeregowanie tekstów nie pokrywa się z moim. Nie ma jednak sensu roztrząsać tu decyzji podjętej przez jury konkursu. Dużo ważniejsze jest odpowiedzenie sobie na pytanie, czy warto poświęcić swój czas na lekturę niniejszej antologii. Książkę można swobodnie zarekomendować, jednak nie wszystkie opowiadania są równie dobre.

# dobro/złem czyni antologia



GENIUS  
CREATIONS

*Algorytm mniejszego zła*, któremu Magdalena Kucenty zawdzięcza pierwsze miejsce, jest niewątpliwie tekstem ciekawym i poruszającym istotny problem etyczny – oddania ocen moralnych w ręce komputera. Rozumiem więc, dlaczego autorka wygrała konkurs wydawnictwa Genius Creations. Z drugiej jednak strony utwór ten finalnie oceniam niżej niż drugie opowiadanie tej samej twórczyni – *Papierowe dusze*, któremu jury przyznało miejsce piąte. *Papierowe dusze* są bowiem tekstem oryginalnym, kreującym niezwykle świat i barwnych bohaterów. W moim osobistym rankingu tekstów z antologii plasują się one w pierwszej połowie, jednak poniżej podium, o którym wspominam dalej.

Osobiście za najlepsze opowiadanie antologii *Dobro złem czyni* uznałbym *Duchy Ziemi*

*Obiecanej* Doroty Dobrzyńskiej. W swoim tekście autorka przedstawiła bardzo ciekawy pomysł na świat i wplotła w niego wątek przewodni antologii. Co prawda sama koncepcja głównej bohaterki nie jest szczególnie odkrywczą, niemniej w żadnym stopniu nie wpływa to negatywnie na mój odbiór tego poruszającego i do pewnego stopnia także trzymającego w napięciu tekstu.

W zbiorze wyróżniłbym także dwa opowiadania, które zwróciły moją uwagę swoim wyjątkowym i pięknym nastrojem. Trudno uznać je za podobne, jednakże poruszają we mnie tę samą strunę. Pierwszy z nich to *Kapelusz, garnitur i płaszcz z gabardyny* Filipa Laskowskiego, a drugi *Sklepek z motylami* Karoliny Cisowskiej. U Laskowskiego nastrój buduje głównie sposób prowadzenia fabuły. Rozwija się ona nieśpiesznie i próżno by tu szukać brawurowej akcji i fajerwerków. Zamiast tego autor kreuje wyjątkowy nastrój. Natomiast u Cisowskiej niebagatelną rolę nastrojotwórczą pełni stworzony świat. Tekst ten jest dużo bardziej dynamiczny niż *Kapelusz...*, jednak odkrywanie nietypowego „owadziego” świata czyni go niezwykle wręcz nastrojowym.

Pozostałe opowiadania zbioru wahają się w okolicach mocnej przeciętności. Nie zachwycam się nimi, ale też absolutnie nie żałuję czasu spędzonego na ich lekturze.

*Dobro złem czyni* to niewątpliwie ciekawa antologia, nad którą warto się pochylić. Co prawda w części tekstów widać pewne niedociągnięcia, ale nie jest to nic, co by czyniło tę pozycję nieciekawą. Prezentowane utwory stoją na dość wysokim poziomie i choć w mojej opinii nie ma w tym zbiorze tekstów wybitnych, to niewątpliwie należy docenić go jako całość. Wpływa na to zarówno poruszana problematyka, jak i czysta ludyczna przyjemność, jaką sprawia lektura poszczególnych opowiadań.

# Nowy grubszy Paweł Majka

Magdalena Kucenty

Zważywszy, że *Wojny przestrzeni* są kontynuacją, pominię skrótowne przedstawienie uniwersum, w którym rozgrywa się powieść. Kto czytał *Pokój światów*, ten wie, jak zakreconą rzeczywistość alternatywną stworzył Paweł Majka. A bez znajomości pierwszego tomu nie ma sensu brać się za drugi – człowiek tylko dostanie zawrotów głowy. Ba! Nawet znając *Pokój...*, można się nieźle zakreścić.

Dlaczego?

Cóż, ja na ten przykład, przeczytawszy kilka pierwszych stron *Wojen przestrzeni*, nabrałam wątpliwości, czy to nie jest aby trzeci tom serii. No bo nic mi się nie zgadzało! Czas o 200 lat przesunięty do przodu, miejsce oddalone o bagatela miliony kilometrów od Ziemi (czyli statek kosmiczny) i bohaterowie też jacyś nie tacy, których

zapamiętałam... Ale dobra, czytam dalej. Z tyłu okładki jest wprost napisane, że mam do czynienia z częścią drugą, więc biorę to na wiarę i hajda do przodu.

Po prologu moje wątpliwości zaczęły się rozwiewać. W pierwszym rozdziale opowieść przenosi się wstecz, wracamy na Ziemię i do znanych nam postaci. Te są wprawdzie odmienione, wokół panuje chaos – w zasadzie nie wiadomo jeszcze, o co chodzi – ale czytelnik powoli odzyskuje jako taki grunt pod nogami.

Aż do drugiego rozdziału.

Wtedy to znowu przenosimy się dwa wieki do przodu, miliony kilometrów od Ziemi. I tak w kółko. Karuzela bez trzymania. Na szczęście jest w tym szaleństwa metoda. I to całkiem intrygująca, złożona oraz spójna.

W przyszłości co rusz napotykamy na skutki wydarzeń jeszcze z czasu *Pokoju światów*. Ot, chociażby Malowana Moskwa, która przez lata urosła do rangi specyficznego kraju, w którym polityka miesza się ze sztuką. Namalowani przez jurodiwych ludzie to pełnoprawne postaci; znana z pierwszego tomu, a w rzeczywistości już martwa Olga Rostow wysuwa się wręcz na pierwszy plan *Wojen...* Co osobiście bardzo przypałało mi do gustu. Zakochałam się w krainie z obrazów, a Olga to postać naprawdę ciekawa i wielowymiarowa (mimo że w teorii jedynie dwu- ;)).

Równie ciekawym miejscem wydarzeń okazuje się statek piracki z okładki (której temat pozwolę sobie przemilczeć). Cel misji załogi *Czarnej Sary* – dowodzonej przez znanego już czytelnikom olbrzyma, Burzymura – jest jedną z najbardziej intrygujących zagadek książki. Co tu dużo pisać – tajemnica goni tajemnicę! Zresztą nic dziwnego, skoro rzecz rozgrywa się na drewnianej lajbie w kosmosie!

Poza tym powieść Pawła Majki jest naszpikowana odwołaniami do popkultury, do ikon fantastyki, a nawet do fandomu. *Wojny przestrzeni* są niesamowicie intertekstualne i momentami aż czułam lekką przesyt. Zdarzało mi się zamiast postaci książkowych widzieć oczami wyobraźni rzeczywistych ludzi – chociażby „ojca redaktora” „Nowej Fantastyki”, czyli Macieja Parowskiego, który również ma swój epizod w powieści. Trzeba jednak przyznać, że przez ostatnie lata Paweł Majka nabrał rozmachu. Jego świat stał się dużo bogatszy, wątki rozmnożyły się, by na końcu spleść w spójną całość, a niegdyś poboczni bohaterowie zaczęli odgrywać znaczniejsze role. Ma to jednak też swoje wady. Kutrzeba wypada nieco błado na tym wielobarwnym tle, główny wątek zemsty przestaje już

## Paweł Majka WOJNY PRZESTRZENI



być taki główny, a kwestia Szóstego do samego końca czeka na rozwiązanie. W efekcie książki nie czyta się już tak lekko jak części pierwszej. Zresztą trudno się temu dziwić, skoro jest ponad dwukrotnie grubsza. Wysiłek umysłowy zostaje jednak czytelnikowi w pełni wynagrodzony. W finale mamy zaskakujący zwrot akcji, elementy układanki wskakują na swoje miejsca, a główna intryga kończy się z przytupem. Lecz nie wszystko zostaje rozwiązane. Są wątki, które wymagają dalszego rozwinięcia. „Ale to” – pozwolę sobie zacytować autora – „to już zdecydowanie inna historia, o innych bohaterach”.

Nie wiem jak wy, ale ja będę jej wycze-kiwać.

**CZYTAM - GŁOSUJĘ**



**Facebook.com/ZewZajdla**

XXXI ZIELONOGÓRSKI FESTIWAL FANTASTYKI

# BACHANALIA FANTASTYCZNE

KRZYWY KOMIN, UL. FABRYCZNA 13 15-17 WRZEŚNIA 2017, ZIELONA GÓRA



BACHANALIA  
ZA DARMO  
FANTASTYCZNE



Organizator:  
Zielonogórski  
Klub Fantastyki  
Ad Astra

# OSTATNI BASTION

[WWW.BACHANALIA.ZGORA.PL](http://WWW.BACHANALIA.ZGORA.PL)

Zielonogóra  
Zielonogóra  
przy pomocy Fundacji  
Miasta  
Zielona Góra

Libertel  
Zielona Góra  
Zielona Góra  
Zielona Góra

FOT. UOSB PRZECZYSLI